

MOCNA ROZMOWA „DO RZECZY”

Brudziński: Nasi przeciwnicy
chcą anihilacji PiS



TYGODNIK LISICKIEGO

DO
CENA 7,90 zł (W TYM 8% VAT)
RZECZY

NR 21/323 20-26 MAJA 2019

Morawiecki po Macierewiczu
– „Obsesje Tomasza Piątka”,
sezon 2.

„WYWIAD Z BOGIEM”
SZUKAJ WYDANIA
Z PORUSZAJĄCYM
FILMEM FABULARNYM



Cenckiewicz o filmie
braci Sekielskich

WOJNA HYBRYDOWA

Izrael kontra Polska



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



Nakład: 80 tys. egzemplarzy

BENIAMIN NETANJAHU

MATEUSZ MORAWIECKI



**polski
produkt**

**IV EDYCJA
KONKURSU**

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER



PARTNER GALI





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Kluczem jest kara

Film braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu” wstrząsnął opinią publiczną. Można na niego patrzeć z różnych punktów widzenia. Nie tylko bowiem dotyczy kwestii pedofilii lub raczej, jak słusznie zauważył prof. Ryszard Legutko, pederastii wśród księży, lecz także ma całkiem istotne przesłanie polityczne. Po kolei zatem.

To, co na pewno jest zasługą Sekielskich, to pokazanie ofiar, oddanie im głosu, następnie zaś opisanie mechanizmu, który nie tylko zapewnił sprawcom bezkarność, lecz także, co jeszcze gorsze, umożliwił długą przestępczą działalność. Nie ma chyba wątpliwości, że księży uwodzący dzieci, w większości chłopców, ministrantów, niekiedy starszych nieco kleryków, to coś moralnie obrzydliwego i podłego. Dla takich ludzi nie powinno być miejsca nie tylko w Kościele, lecz także w normalnym społeczeń-

w przypadku żadnej innej osoby nadużycie zaufania nie jest równie wielkie jak w przypadku księdza. Tak, zbrodnie zdarzają się wszędzie, również wśród nauczycieli, psychologów, aktorów, reżyserów. Wszędzie mogą pojawić się ludzie zdeprawowani. Jednak w przypadku księży, powtarzam, nadużycie zaufania jest najbardziej bolesne – są oni przecież nie po prostu wychowawcami, ale przewodnikami dusz do zbawienia. Są tymi, którzy mają troszczyć się o życie wieczne powierzonych im ludzi. Reprezentują nie firmę, nie stowarzyszenie, nie partię, ale Kościół, który mówi o sobie, że jest święty. Komu wiele dano, od tego dużo się wymaga. Dlatego nie dziwi mnie to, że gniew na sprawców w sutannach jest tak wielki.

Tym, co najbardziej uderza, jest właśnie niemrawość i opieszałość hierarchów. Tak samo było w Irlandii, Stanach Zjednoczonych, we Francji. Tak jakby biskupi przestali troszczyć się o świętość, jakby zapomnieli o związanej z nią sprawiedliwości, jakby nie wiedzieli, że to oni w pierwszej mierze powinni być tymi, którzy sprawców gwałtów i ataków na dzieci, głównie chłopców, wytropią i przykładnie ukarzą. Nie dlatego, że zależy im na wizerunku instytucji, ale dlatego, że taka jest ich misja. W ogromnej większości przypadków – widać to też na filmie – sprawcami są księży homoseksualni, poszukujący młodych chłopców. Skąd u licha wzięli się oni w seminariach, skoro zgodnie z tradycyjną nauką Kościoła homoseksualizm to grzech wolaający o pomstę do nieba? W jaki sposób mogli je ukończyć? Jak to możliwe, że nie zostali wcześniej wykluczeni? Wielu hierarchów zachowuje się tak, jakby nie spoczywał na nich podstawowy obowiązek, który zawsze ciąży na przełożonym – dostrzeżenie zła i ukaranie winnego w podległej mu grupie. Mam wrażenie, że ostatecznym źródłem takiego podejścia, krycia swoich i tuszowania jest

fałszywe, wypaczone rozumienie miłosierdzia, za którym kryje się apoteoza bezkarności. Tam, gdzie nie wspomina się o Boskim gniewie, o potępieniu wiecznym, o karze, o sądzie, wytwarza się chaos, w którym doskonale czują się sprawcy.

Celem tych, którzy film wspierali – czy takie też były intencje reżyserów, trudno powiedzieć – jest uderzenie w Kościół, zniszczenie jego autorytetu. Droga do zwycięstwa lewicy i rewolucji obyczajowej w Polsce prowadzi po trupie katolicyzmu. A wykazanie, że za fasadą kościelną kryją się zło i niegodziwość, ma być skutecznym narzędziem niszczącym wiarę i religię. Dlatego to, co jest skazą i plamą na honorze Kościoła, pokazywane jest przez jego przeciwników jako mechanizm, powszechny system działania.

Jak można z tego kryzysu wyjść? Mówiłem już o tym kilka razy, że Kościół potrzebuje osobnej instytucji, przypominającej działanie dawnej inkwizycji, która bezlitośnie oczyściła go zarówno z tych, którzy czynili zło, jak i z tych, którzy je tolerowali. Nie pozwoli też na fałszywe oskarżenia oraz powstrzyma atmosferę nagonki na księży i hysterii, którą próbuje rozpętać lewica. Dlaczego Kościół polski nie powoła mieszanej komisji świeckich i duchownych, złożonej z ludzi, co do których uczciwości, miłości do katolicyzmu, a także prawowierności nie ma wątpliwości? Taka komisja z jednej strony mogłaby doprowadzić do ukarania sprawców i oczyszczenia duchowieństwa, z drugiej nie dałaby się wykorzystać, jak to było w niektórych państwach Zachodu, do walki z katolicką doktryną. Wydaje się, że tylko surowość i bezwzględność może przywrócić to, co najważniejsze – zaufanie. Same przeprosiny, kajanie się i płacz nie wystarczą. To zło trzeba po prostu wytrzebić do cna. ©©

RYSUNEK TYGODNIA



ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA UNII EUROPEJSKIEJ

stwie. Jednak, jak pokazał film, byli i być może są. Czy jest ich dużo? Wielu komentatorów wskazuje na to, że rzeczywiście skazanych za pedofilię księży jest – w porównaniu z innymi grupami zawodowymi – niewielu, że to ułamek procenta. To prawda.

Czy stanowi to jednak usprawiedliwienie? Czy mamy do czynienia jedynie z rozrzedem marginalnego zjawiska do niebotycznych rozmiarów? Oby tak było. Trzeba też pamiętać, że

TEMAT TYGODNIA

16 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

TO JEST WOJNA

Reprywatyzacyjna dziura w obronie kraju

19 MARCIN MAKOWSKI

UDERZANIE KŁAMSTWEM



KRAJ

22 ROZMOWA Z JOACHIMEM BRUDZIŃSKIM

TUSK UŻYWA NOWEGO PALIKOTA

UE przynosi korzyści Polakom

26 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ

PATOLOGIE WSPÓŁCZESNEGO KOŚCIOŁA

30 TOMASZ ROWIŃSKI

POTRZEBA OCZYSZCZENIA



32 WOJCIECH WYBRANOWSKI

TOMASZ PIĄTEK O PREMIERZE, CZYLI JAK UDOWODNIĆ WSZYSTKO

34 ŁUKASZ ZBORALSKI

PORTFEL TEMIDY

36 ŁUKASZ WARZECHA

POGLĄDY NA PROFESURĘ

RAPORT



38 OLIVIER BAULT

UNIA OD NOWA?

Jaka będzie UE po wyborach

41 FRAGMENT KSIĄŻKI

PHILIPPE'A DE VILLIERSA

CHIŃSKI RABUŚ

KULTURA

44 MONIKA MAŁKOWSKA

RZECZPOSPOLITA KOLORU I KASY

Wystawa „Tycjan i renesans wenecki”

48 TOMASZ ROWIŃSKI

WYJŚCIE Z RUIN

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ROZMOWA Z ANNĄ FOTYGĄ

W BRUKSELI WARTO BYĆ CIERPLIWYM

Coraz trudniej o dialog z opozycją

59 KRZYSZTOF MASŁOŃ

EDUKACJA W ENERGYLANDII

HISTORIA

64 PIOTR SEMKA

KRZEPKI STULATEK BAUHAUS

Jedna z najbardziej wpływowych szkół wzornictwa i architektury w XX w.

68 PIOTR WŁOCZYK

CUD NA PLEBANII W DYŁĄGOWEJ

ŚWIAT

70 TOMASZ P. TERLIKOWSKI

DEMITOLOGIZACJA CESARSTWA

Jeden z najstarszych urzędów na Ziemi

73 WITOLD REPETOWICZ

POWRÓT TERRORYSTÓW

76 TERESA STYLIŃSKA

WOJNA O STAMBUŁ

EKONOMIA



80 JACEK PRZYBYLSKI

UZIEMIŁE MARZENIA PUTINA

Kłopoty konkurenta Airbasa, Embraera i Bombardiera

84 STEFAN SEKOWSKI

CI „STRASZNI” DEWELOPERZY

STYL

86 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

KURZ I BRUD, CZYLI ŻYŁA ŻŁOTA

Jak zrobić karierę na sprzątaniu?

ZDROWIE

88 JACEK PRZYBYLSKI

CEL: ZDROWY PACJENT

Rewolucja w finansowaniu systemu opieki zdrowotnej

90 ROZMOWA Z PROF. DR. HAB. PIOTREM KUNĄ

ATAK ASTMY GORSZY NIŻ ZAWAŁ

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (55), ZYCHOWICZ, KOPER (67), WARZECHA (78), GABRYEL, RYBIŃSKI (83), KOMUDA (92), NOWAK (96), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybyłski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Godek**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłoń**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, **Olivier Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojarczyk**,
Grzegorz Brzozowicz, **Marek Budzisz**, **Slawomir Cenckiewicz**,
Wiesław Chelminiak, **Dominika Coś** (*Bruska*), **Krzysztof Czabański**,
Piotr Gursztyn, **Maria Kądzelska**, **Katarzyna**, **Jacek Komuda**,
Stawomir Koper, **Piotr Kowalcuk** (*Rajm*), **Jakub Kowalski**,
Grzegorz Kucharczyk, **Tomasz Lenczewski**, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**,
Marcin Małkowski, **Monika Małkowska**, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**,
Gabriel Michalik, **Filip Memches**, **Agnieszka Niewińska**, **Andrzej Nowak**,
Maciej Pieczyński, **Katarzyna Pinkosz**, **Witold Repetowicz**, **Agnieszka Rybak**,
Krzysztof Rybiński, **Stefan Sękowski**, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**,
Artur Szeremeta, **Tomasz P. Terlikowski**, **Błażej Toralski**, **Szewach Weiss**,
Piotr Włoczyk, **Marcin Wolski**, **Tomasz Wróblewski**, **Wojciech Wybranowski**,
Igor Zalewski, **Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska**, **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak**, **Anna M. Piotrowska**,
Małgorzata Puzry, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express”)

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański**,
Jacek Nadratowski, **Anna Sobieska-Wójtowicz**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**,
Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzysztofa**
Okładka: **Michael Sohn/AP/East News**, **Aleksiej Witwicki/Forum**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, **Robert Pstrokoński**, **Ewa Rykaczewska**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu nakładu podstawowego 288829

Nr indeksu nakładu z filmem 296430

Nakład 80 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej
i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie
www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów
oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego
wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko
za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów
prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Szanowni Państwo,

Dziś między innymi nieco rozważań
nad przyszłością. E-maile prosimy
kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Komputerowy prawnik”, Krzysztof Rybiński, „DRz” 16/2019

Szanowna Redakcjo,

Krzysztof Rybiński w swoim felietonie
„Komputerowy prawnik” zawarł zbyt
optymistyczną ocenę systemów automa-
tycznego tłumaczenia.

To prawda, że w sytuacji, gdy języki
mają podobną strukturę, tłumaczenia
komputerowe są wręcz niesamowicie
dobre i dokładne. Języki polski i angielski,
mimo wszystkich różnic, są to języki
bardzo do siebie podobne, operujące pod-
stawową konstrukcją podmiot, orzecz-
nie, dopełnienie, będące pod ogromnym
wpływem gramatyki łacińskiej. W obu
językach w zdaniu obecne są informacje
o rodzaju gramatycznym oraz liczbie
rzeczowników.

W przypadku języków, które naprawdę
bardzo się od siebie różnią, tłumaczenie
automatyczne nie jest tak doskonałe,
ale wręcz pełne błędów.

Dla przykładu: język japoński jest
językiem o innej strukturze gramatycznej.
Rzeczowniki nie niosą ze sobą informa-
cji o liczbie ani rodzaju gramatycznym.
Czasowniki nie niosą ze sobą informacji
o liczbie i bardzo ograniczoną informację
o czasie gramatycznym. Zaimki często są
po prostu pomijane. Wszystkie te informa-
cje wynikają z kontekstu, który trzeba znać
i zrozumieć. Widziałem teksty tłumaczone
przez zawodowych tłumaczy, które były
błędne, bo ci tłumacze byli pozbawieni
informacji o kontekście – w efekcie np.
pomyłone były płeć i liczba rozmówców.

Za to jestem przekonany, że prawników
zastąpimy stosunkowo szybko. Czytałem
o eksperymencie, w którym komputerowy
sędzia podejmował decyzje na podsta-
wie analizy dokumentów procesowych
w procesach dotyczących praw człowieka
toczących się przed trybunałem w Stras-
burgu. Ponad 80 proc. symulowanych
wyroków było zgodnych z rzeczywistymi
rozstrzygnięciami Trybunału.

Jestem przekonany, że już dziś byłoby
możliwe zastąpienie orzekania w pierw-
szej instancji zautomatyzowanym,
obiektywnym algorytmem – odwołań od
wyroków pierwszej instancji jest znacz-
nie więcej niż 20 proc. [...] Automatyczny

sędzia skuteczny w 80 proc. sytuację by
raczej poprawił. [...]

Obawiam się jednak, że stosowanie
takiego systemu w dalszej perspektywie
może spowodować opisane w innym
tekście numeru zjawisko, które dotyczy pi-
lotów, którzy tracą umiejętności pilotowa-
nia samolotu po awarii elektroniki. Może
się okazać, że prawnicy też zaczną tracić
swoje umiejętności.

Pozdrawiam
Wojciech Tomanik

„Krew na naszych rękach?”

Dopiero teraz przeczytałem „Krew na
naszych rękach?” Pawła Lisickiego. Nie
znałem wcześniej książki w sposób tak ca-
łościowy przedstawiającej bardzo groźne
zjawisko, którego przejawy dotyczą nas
coraz częściej i coraz boleśniej, a których



przyczyny bywają nie do końca dla nas
zrozumiałe. Ten fascynujący erudycyjny
traktat uświadamia skalę i zarazem grozę
budowania załganych historycznych
narracji, upowszechniających fałszywe
przekonania, toksyczne nawet dla prasta-
rych kultur, destrukcyjne dla największych
nawet zbiorowości. Lektura to nie tylko
poruszająca, lecz także znakomita, a dla
każdego zainteresowanego historią
i współczesnością – wręcz obowiązkowa.

Z ukłonami
Artur Adamski, Wrocław

Wyjaśnienie

W artykule pt. „Tropem »Tarzana«”
(nr 15/318, wyd. 8–14 kwietnia 2019 r.)
błędnie podpisaliśmy zdjęcia głównego
bohatera. Ich autorem jest Feliks Kondenko
ps. Jerzy, a wyłącznym posiadaczem
autorskich praw majątkowych pan
Mariusz Baran-Barański. Za pomyłkę prze-
praszamy.

Redakcja



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Kto chce opcji chilijskiej?

Ileż było w ostatnich dwóch dekadach sygnałów alarmowych, że pilnie potrzebne jest rozliczenie polskiego Kościoła z wewnętrznymi brudami? Afera z abp. Juliuszem Paetzem, skandal z o. Hejmą, kularowe informacje o ciężkiej walce z lawendową mafią w diecezji płockiej, sprawa abp. Stanisława Wielgusa czy fasadowa lustracja w Kościele. O wszystkich tych sprawach pisałem w swoim czasie i biłem na alarm. Bez efektu. Dzisiaj widać już wyraźnie, że największą zmarnowaną szansą na oczyszczenie była sumienna lustracja, która odsiałaby także pedofilów, którzy w przeważającej liczbie wypadków byli jednocześnie tajnymi współpracownikami SB.

Dzisiaj trzeba było filmu Tomasza Sekielskiego, aby odkryć, że pedofilów w sutannach nie kontrolowano należycie, że ofiar zgłaszających swe krzywdy nie informowano o decyzjach w sprawie ich prześladowców. I tak Kościół doczekał się wielkiego szoku, a w ślad za nim oczekiwania na szybkie i radykalne działania. Chociaż w filmie Sekielski pominął niektóre informacje zmniejszające

skandaliczność pokazanych przypadków, to jednak jego opowieść musi budzić przygnębienie.

Jak zwykle gdy biskupi zostają przyłapani na zaniedbaniu porządków na swoim podwórku, szybko znajdują się chętni do podpowiedzi, co i jak zmieniać. Dominikanin Paweł Gużyński – ulubieniec liberalnych mediów – już z ogromną pewnością siebie orzeka, który z hierarchów powinien odejść. Inny kościelny liberał, były rektor KUL prof. Andrzej Szostek, lekkim tonem się zastanawia, czy nie rozważyć na wzór Chile podania się do dymisji całego polskiego episkopatu. Te wypowiedzi to symptom nowej tendencji. Dla przedstawicieli „Kościoła otwartego” obecny kryzys to szansa na rewolucję od góry. „Gazeta Wyborcza” donosi o grupie świeckich i księży, „Emisariuszy oddolnego ruchu odnowy”. Mieli oni z pominięciem nuncjusza swoimi prywatnymi kanałami dotrzeć do papieża Franciszka i przekonywać go, że sytuacja wymaga radykalnych kroków, takich samych, jakie podjął w Chile.

Takie informacje mogą być projekcją chciejstwa „GW”. Jednak pomysł rewolucji „od góry” w polskim Kościele musi budzić uwagę.

Wizja dymisji obecnego episkopatu to okazja do obsadzenia ważnych metropolii postępowymi hierarchami. Taki oddolny ruch odnowy, o którym pisze „GW”, mógłby być początkiem odpowiednika ruchu „Wir sind die Kirche” („To my jesteśmy Kościołem”), który zachwiał pod względem doktrynalnym episkopatem Niemiec. Tak samo jest z internetowymi akcjami żądań dymisji abp. Głódzia.

Mamy więc trzy równoległe problemy. Pierwszy to Kościół, który musi wyczyścić się z przypadków bagatelizowania pedofilii i otworzyć się na ofiary. Drugi to bezprecedensowy atak na pozycję Kościoła ze strony lewicy – od Leszka Jażdżewskiego poprzez partię Wiosna do SLD. I trzeci to pomysły wykorzystania szoku społecznego związanego z filmem Tomasza Sekielskiego do pchnięcia Kościoła na lewo.

Po jednej stronie bezruch, kumoterstwo i skłonność do kurialnej kultury sekretu, po drugiej zapał przebudowy Kościoła, często z lekceważeniem dla jego doktryny. Niech Stolica Apostolska i polscy biskupi szukają lekarstwa na wyleczenie Kościoła. Byłe lekarstwo nie było równie toksyczne co sama choroba. ©

POLAK SZEFEM ŚWIATOWEJ AGENCJI ANTYDOPINGOWEJ

Minister sportu Witold Bańka (na zdjęciu z Agnieszką Radwańską) został wybrany na prezydenta Światowej Agencji Antydopingowej (WADA). Jego kadencja rozpocznie się 1 stycznia 2020 r. Były polski lekkoatleta pokonał m.in. minister sportu Norwegii Lindę Helleland i członka Komitetu Wykonawczego WADA Marcosa Diaza z Dominikany. (jap) ©



FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

500+ na każde dziecko



FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

To już pewne. Prezydent Andrzej Duda podpisał w zeszłym tygodniu nowelizację ustawy, na podstawie której świadczenie 500+ od lipca będzie przyznawane na każde dziecko w rodzinie.

– Jeżeli na koniec prezydentury będę mógł usłyszeć od polskiej rodziny, że żyje im się bezpieczniej, lepiej, żyje wygodnie, to uznam, że główny cel, który sobie postawiłem, został osiągnięty – oznajmił Andrzej Duda po podpisaniu nowelizacji.

– Program 500+ zrewolucjonizował życie polskiego społeczeństwa. Jeśli spojrzymy na statystyki dotyczące ubóstwa, to zobaczymy, że spadło

o 90 proc. To nie jest jałmużna, to jest udział państwa w wychowaniu dzieci, które są dobrem narodowym – dodał prezydent po podpisaniu nowelizacji.

Wnioski o nowe 500+ rodzice mogą składać drogą elektroniczną już od lipca, a w dowolnej formie od sierpnia. Pieniądze na konta trafią jednak najwcześniej we wrześniu (za to od razu z wyrównaniem od lipca).

Po zmianach pieniądze będzie otrzymywało 6,8 mln dzieci, w tym blisko 2 mln jedynaków. W tym roku program 500+ będzie kosztował 31 mld zł, a w roku 2020 ponad 40 mld zł.

(jap) © ©

Sejm za zaostrzeniem kar

Parlamentarzyści uchwalili w ubiegłym tygodniu nowelizację Kodeksu karnego. Zmiana prawa zwiększa kary za przestępstwa m.in. dotyczące pedofilii. To rozwiązania, które przygotowało Ministerstwo Sprawiedliwości. Nowelizacja przegłosowana w Sejmie zakłada, że za zgwałcenie dziecka pedofil będzie trafiał do więzienia nawet na 30 lat. Za tego rodzaju czyny grozić będzie także dożywocie. Najcięższe zbrodnie pedofilskie nie będą się przedawniać. Mimo początkowych prób zmiany pozostawiono granicę ochrony karnej przed czynami pedofilskimi na poziomie 15. roku życia.

– Gdy tylko to będzie możliwe, będziemy z całą bezwzględnością żelazem wypalać pedofilię, gdziekolwiek by ona była. Świadczą o tym nasze działania w obszarze zmian w prawie karnym – mówi po głosowaniu w Sejmie minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro. Nowelizacja Kodeksu karnego zakłada wprowadzenie też do polskiego prawa bezwzględnego dożywocia – w takim przypadku skazany nie będzie się mógł jak do tej pory ubiegać o przedterminowe zwolnienie z więzienia. Pozostanie w nim aż do śmierci.

Nowelizacją przepisów zajmie się teraz Senat. © ©

Łukasz Zboralski

MOHAMMED CHCIAŁ PRZEPROWADZIĆ ZAMACH W POLSCE

Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego zatrzymała Mikołaja B., który nieoficjalnie posługuje się imieniem Mohammed. Według informacji służb deklarował on zamiar dokonania zamachu terrorystycznego w miejscu publicznym w Polsce, który miał być zemstą na przeciwnikach religii islamskiej. Funkcjonariusze ABW zatrzymali go jako podejrzanego o prowadzenie przygotowań do popełnienia przestępstwa o charakterze terrorystycznym, a sąd aresztował go na trzy miesiące. Według śledczych Mikołaj B. jest obywatelem polskim, członkiem społeczności muzułmańskiej w Warszawie.

– Zatrzymano go jako podejrzanego o prowadzenie przygotowań do popełnienia przestępstwa o charakterze terrorystycznym na terytorium Polski. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego doprowadziła go do nadzorującego śledztwo mazowieckiego wydziału zamiejscowego departamentu ds. przestępczości zorganizowanej i korupcji Prokuratury Krajowej w Warszawie – oznajmił rzecznik ministra koordynatora służb specjalnych Stanisław Żaryn.

Mikołaj B. nie przyznaje się do zarzucanych czynów. Aresztowanemu grozi od trzech miesięcy do pięciu lat więzienia.

(jap) © ©

KNF WYSYŁA KURATORA DO IDEA BANKU

Komisja Nadzoru Finansowego jednoznacznie – jak podkreśliła w komunikacie – zdecydowała w ubiegłym tygodniu o ustaleniu kuratora w Idea Banku. Kurator ma pomóc doprowadzić do poprawy sytuacji ekonomiczno-finansowej banku, a w szczególności opracować i zrealizować plan naprawy. Ma to być alternatywa dla innego sposobu poprawienia sytuacji banku, czyli znalezienia inwestora, który go dokapitalizuje. Bank Leszka Czarneckiego znalazł się na liście ostrzeżeń publicznych KNF pod koniec ubiegłego roku. Pod koniec kwietnia tego roku bank opublikował wyniki finansowe – okazało się, że w 2018 r. zanotował blisko 2 mld zł straty netto. (luz) © ©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Byty z niebytu

Cieszmy się, że możemy się dziś cieszyć – powiedział Grzegorz Schetyna, obwieszczając światu radosną nowinę: Koalicja Europejska rozszerza się, przyłączyły się do niej nowe polityczne „byty”. Ówe byty to między innymi Wolność i Równość, Inicjatywa Polska, Inicjatywa Feministyczna oraz Wolne Sądy. A także Unia Euro-

Marka Borowskiego, której ostatnie podrygi odnotowywały media za czasów Rywina, jeszcze istnieje – a tym bardziej „zasila szeregi”. Podobnie ostatnim „niusem” na temat UED, czyli trójcy Michał Kamiński-Protasiusz-Niesiołowski, było jej przejście do PSL, co zresztą ocaliło ludowcom klub sejmowy, malejący poniżej wymaganych regulaminem 15 posłów. Inicjatywa Polska to Barbara Nowacka – wydawało mi się, że już raz do PO przystąpiła, ale może mi się pomyliło. O istnieniu Inicjatywy Feministycznej, czyli resztki po „partii kobiet” Manueli Gretkowskiej, nie wiedzieli nawet uważni analitycy, a skróć WiR znają tylko redaktorzy programu „W tyle wizji”. „Byt polityczny”, który się za tym skrótem mieści, to panowie „Farmazon” Jagielski i niejaki Kirkałło, znani z pajacowania na manifestacjach KOD w przebraniach komandosów z dyngusowymi, plastikowymi

imitacjami karabinów, chamskiego ataku na dziennikarkę TVP oraz ogłoszenia światu, że ofiara Piotra Szczęsnego (kto to jeszcze pamięta?) była ważniejsza dla świata niż ukrzyżowanie Jezusa.

Nie można jednak powiedzieć, że poszerzenie Koalicji o kolejne literki nie ma żadnego znaczenia. Jest jasnym sygnałem, że ów byt nie chce być koalicją „od Sasa do Lasa”, ale dąży do tego, by być całkowicie „od Lasa” – jeśli pod tego „Lasa” wpisemy skrajną lewicę. Wszystkie te grupy, którymi cieszy się, że może się cieszyć, Grzegorz Schetyna, to agresywni krzykacze, licytujący się w radykalizmie i epatowaniu nienawiścią do Kościoła oraz „faszyzmu”, jak nazywają patriotyzm i polską tradycję narodową. Może więc żadnego postępu Schetyna tym rozszerzeniem nie dokonał, ale pokazał dość jasno, dokąd chce iść. ©©

Wszystkie te grupki w Koalicji to krzykacze, epatujący nienawiścią do Kościoła oraz „faszyzmu”

pejskich Demokratów, Socjaldemokracja Polska i Komitet Obrony Demokracji.

Te ostatnie nazwy może coś czytelnikowi mówią, choć – idę o zakład – na pewno jest on zdziwiony, że na przykład SdPI, partia



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Kara dla „Araba”

Podobno Temida jest nierychliwa, ale sprawiedliwa. Z tą powolnością wszystko w polskich warunkach się zgadza. Z uczciwością i rzetelnością też bywa bardzo różnie, chociaż przynajmniej teraz może stać się jej zadość. Prokurator wnioskuje o karę półtora roku pozbawienia wolności w zawieszeniu na cztery lata dla byłego szefa KPRM Tomasza Arabskiego. Chodzi o fatalną organizację podróży prezydenta Lecha Kaczyńskiego wraz z małżonką i przedstawicielami państwa polskiego do Smoleńska.

Natychmiast podniósł się krzyk, jakoby wniosek śledczych

mał być, jak twierdził poseł PO Andrzej Halicki, „działaniem politycznym”. Z kolei znany z imprez z politykami poprzedniego obozu rządzącego ks. Kazimierz Sowa zagrzmiał: „Nie pozwolę, żeby ktoś cię skrzywdził!”. Szkoda, że ks. Sowy nie stać na chwilę refleksji, bo niewykluczone, że to nieodpowiedzialność Arabskiego stała się jedną z przyczyn tragedii smoleńskiej.

Nie sposób nie przypomnieć, że już w 2011 r., a więc za czasów Platformy, kontrolerzy NIK przygotowali 266-stronicowy protokół pokontrolny, z którego jednoznacznie wynikało, że pod-

pisane w 2004 r. „Porozumienie w sprawie wojskowego transportu lotniczego” powierzało kolejnym szefom kancelarii premiera funkcję koordynatora lotów VIP-ów również „w aspekcie bezpieczeństwa”. Nie wykluczam, że Tomasz Arabski dokumentu nie znał, tak jak nie znał instrukcji HEAD regulującej zasady podróży najważniejszych osób w państwie.

Nieznamość przepisów nie zwalnia od kary, zwłaszcza gdy pełniona funkcja wymagała, żeby Tomasz Arabski miał je w małym palcu. Niestety, wygląda na to, że miał je w nosie. ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Leonardo unijny

W Italii obchodzimy hucznie 500. rocznicę śmierci Leonarda da Vinci.

Z tej okazji, a raczej z okazji wyborów do PE, włoscy postępowcy postanowili go wynarodowić i zeuropeizować.

2 maja w rocznicę śmierci geniusza prezydenci Mattarella i Macron złożyli wieniec na jego grobie w Amboise we Francji. Leonardo spędził tam trzy ostatnie lata swego życia na zaproszenie króla Franciszka I. Spiker francuskiej telewizji France 2 z powodu kompro-

pojawił się Carlo Cottarelli, który rok temu próbował utworzyć rząd ekspertów. Oświadczył, że we włosko-francuskim sporze nikt nie ma racji, bo tak naprawdę i w głębi duszy Leonardo był Europejczykiem. Tutaj konieczna uwaga. We Włoszech, gdy ktoś mówi „Europa” i „Europejczyk”, ma na myśli Unię Europejską lub jej entuzjastę. „Tak mówi Europa” po włosku znaczy „Tak mówi Unia”, a „Europejczyk” to światły przeciwnik eurosceptyka i głupich, zacofanych ludzi, którzy nie pojmują, że czas państw narodowych minął.

Za Cottarellim poszedł cały obóz postępu. Apostołowie progresu zaczęli przekonywać w mediach, że Leonardo był ojcem duchowym Unii Europejskiej, zwolennikiem Europy bez granic i internacjonalistą jak się patrzy. Mało tego! Uznali drugim ojcem duchowym Unii Dantego (który jest ojcem, ale literatury włoskiej, a nie unijnej – przyp. P.K.). Słowem włoscy postępowcy, startujący w wyborach pod hasłem „Jesteśmy Europejczykami”, wciągnęli Leonarda i Dantego na swoje sztandary.

Na potrzeby ideologii znów rewidowana jest historia. Tak jak u Orwella. Ale trzeba być wyrozumiałym. Nie zapominajmy, że ideologiczni antenaci dzisiejszych „Europejczyków” upierali się kiedyś, że żarówkę wynalazł Edisonow. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Zachodzę w głowę, po co jest ta itytująca szajba z dodatkami do wszystkiego ze słiskich koliczów, skoro kwestia bycia kobietem i mężczyzną jest uwodna?



cezetę ktys ztopd

mitującej luki w wykształceniu własnym i kolegów z pracy, informując o uroczystości, nazwał Leonarda francuskim geniuszem. Spiker przeprosił potem Italię, ale coś już musiało być na rzeczy z wynarodowianiem Toskańczyka, skoro zaraz potem włoska publiczna TV RAI mówiła o „geniuszu włosko-francuskim”.

Naturalnie w Italii wybuchła awantura. W mediach



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Pół żartem, pół serio

Ponieważ miniony tydzień obfitował w tak wiele ważnych wydarzeń, przegląd tweetów podzieliłem według złotej proporcji: dwa o Kościele, dwa o restytucjach, dwa humorystyczne, żeby nie było za poważnie.

„**Najbliższa niedziela** to będzie ważna data w historii Polski. Nie zawieziemy naszych kapłanów, i będziemy tam, gdzie należy być w niedzielę, prawda? Nie zagramy w scenariuszu Sorosa, prawda? PODAJ DALEJ” – stwierdził po premierze „Tylko nie mów nikomu” Jacek Karnowski. A mnie się zawsze wydawało, że do kościoła chodzimy po Eucharystię, a nie przeciw Sorosowi.

Do niedawna sądziłem również, że dziennikarze sumiennie opisują rzeczywistość. „Prezydent Andrzej Duda obejrzał film Sekielskich o pedofilii w Kościele i zaapelował o walkę z pedofilią na koloniach i obozach harcerskich” – wyprowadziła mnie jednak z błędu Dominika Wielowieyska, ucinając połowę stanowiska prezydenta. „»! na oazach i wszędzie tam, gdzie dzieci są narażone na tego typu ataki«. Zabrakło już miejsca w tweecie?” – uzupełnił Dawid Kamiński.

Teraz restytucje. „Powtarzam – ustawa JUST (447) nie nakłada na nikogo żadnych finansowych ani prawnych obciążeń. Jest to jednorazowy raport dla Kongresu USA, którego celem jest analiza prac krajów w zakresie restytucji” – tweetnęła ambasador Georgette Mosbacher. „A może jakiś taki raport, którego celem będzie analiza postępu prac krajów Osi nad wypłatą reparacji wojennych takim państwom jak np. Polska? Bo w sumie – czemu nie?” – zapytał Mateusz Parys. Odpowiedzi nie usłyszał.

Na koniec zapowiedziany humor. „Koledzy z różnych państw w PE pytają mnie: co się z wami stało?! Kiedyś byliście reprezentantami naszych interesów. Dzisiaj odwracacie się plecami. Jak Polska ma się rozwijać, jeżeli traci praworządność w UE?” – wyznał w przypływie szczerości Michał Boni (pisownia oryginalna). „Gazeto moja kochana <3 Dziś są Twoje Urodziny. Dziękuję za 30 lat. Dziękuję za solidarne towarzyszenie wolnej Polsce i Europie. Dziękuję za #WolneMedia. Dziękuję za obywatelski patriotyzm. Dziękuję za obronę wspólnych wartości! Nie ma wolności bez »Gazety Wyborczej«” – zadeklamował w przypływie miłości Michał Szczerba. ©©

ŁZY WZRUSZENIA?

Wokalista disco polo Zenek Martyniuk za sprawą piosenki „Przez twe oczy zielone” stał się prawdziwą, ogólnopolską gwiazdą. Jest świadomy swojej popularności, chętnie udziela wywiadów i wszędzie go pełno. Ostatnio na przykład opowiedział „Faktowi” o tym, że często grywa na weselach, czego efektem jest wielkie wzruszenie wszystkich gości. – Zagrałem już trochę tych wesel w swojej karierze – przyznaje gwiazdor disco polo. – Ludzie na mój widok się wzruszają. Czasami rodzice państwa młodych zamawiają mój występ jako niespodziankę. Mówią: „Panie Zenku, mój syn jest pana wielkim fanem”. Na takim ślubie muszę się ukrywać do momentu wejścia na scenę. I jak się w końcu pojawiam, to nikt nie może uwierzyć, że to ja. To jest dla nich wyjątkowy moment – mówi. Za ten wyjątkowy moment trzeba, jak donosi tabloid, zapłacić jakieś 30 tys. zł. Tak, 30 tys. To teraz już rozumiemy łzy i wzruszenie nowożeńców, gdy okazuje się, że prezentem od rodziców jest Zenek. Nic, tylko się i płakać.

MARZENIE AKTORA

Aktorka Kinga Preis, szerszej publiczności znana m.in. z serialu „Ojciec Mateusz”, w wywiadzie dla magazynu „Zwierciadło” wyznała, że jej największym marzeniem jest... porzucenie aktorstwa. – Teraz marzę już o przeprowadzce, bo niebawem przeniosę się

na wieś. Potrzebuję przyrody – wyznaje aktorka. – Jestem człowiekiem, którego uruchamia wyobrażenie o wygranej w totolotka. Gram bardzo rzadko, ale w momencie obstawienia liczb już stąd wyjeżdżam, już pakuję walizkę, już jestem na drugim końcu świata. Marzenia? Nie pracować. Albo nie pracować w tym zawodzie – mówi. Nie to, że zachęcamy, ale

tak tylko pragniemy zauważyć, że akurat do zmiany zawodu wygrana w totka nie jest wcale konieczna. A nawet nie jest wskazana.

CZEGO ZAZDROŚCI MARYLA

Maryla Rodowicz co jakiś czas potrafi zaskoczyć swoimi wyznaniem. Ostatnio stwierdziła na przykład, że bardzo podziwia amerykańską

celebrytkę, znaną głównie z tego, że jest znana. Chodzi o Kim Kardashian.

– Podziwiam Kim. To, jak ona wygląda, to jej d...sko takie wielkie i te jej fantastyczne stylizacje! Bardzo zazdroścę jej jednej torebki z białego krokodyla, która kosztuje majątek – stwierdziła. My z kolei podziwiamy Marylę. Za determinację i konsekwencję, z jaką kolejnymi wywiadami odbiera sobie resztki powagi. Świetnie jej to wychodzi, a trzeba przyznać, że w tej kategorii konkurencja w show-biznesie duża.

NAUCZONA DOŚWIADCZENIEM

Prezenterka Beata Tadla przeżywa właśnie nową miłość. Zapewnia jednak, że tym razem nie zamierza udzielać już wywiadów o miłości i pozować we wspólnych sesjach dla kolorowych magazynów, jak to robiła, będąc w związku z Jarosławem Kretem. Tamten związek zakończył się dość burzliwie, w świetle kamer niemalże, gdyż wszystko działo się podczas trwania show „Taniec z gwiazdami”, w którym i Tadla, i Kret brali udział. Skończyło się jednak nie najgorzej. Kret szybko odpadł z programu, a budząca sympatię widzów porzucona Tadla wygrała program. Potem jeszcze w paru gazetach Kret błagał ją o wybaczenie i chciał wracać, ale ona pozostała nieugięta. I teraz też pozostanie nieugięta w sprawie obnoszenia się ze swoją nową miłością. Przynajmniej tak deklaruje. – Jestem nauczona



FOT. PAMEŁ GROMADA



FOT. ARTUR ZAWADZIŃSKI/REPORTER

doświadczeniem i wyciągam wnioski z przeszłości – wyjaśnia. – Nie zdecyduję się na kolejny wywiad i okładkę o miłości. Po prostu cieszę się swoim związkiem i chwilą, którą mam. Celebрую ją – podkreśla. To w tej sytuacji dodamy tylko, że cieszy się swoim związkiem i celebrowa tę chwilę tylko w „Fakcie”, a nie na okładce „Vivy!”. Czyli jakiś postęp jest. ©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, już za parę dni w tym kraju rozpoczną się mistrzostwa świata w piłce nożnej do lat 20. Z jednej strony to nieźle, iż będzie to być może jedyna okazja dla wielu podkarpackich wąsatych januszów na zobaczenie osób pochodzących z innych kultur.

Z drugiej jednak strony nie możemy wobec tego wydarzenia przejść obojętnie, jako iż jest to modelowy wręcz przykład dyskryminacji i wykluczenia. Co prawda do Polski zjadą się osoby młode, pewnie wykształcone i z wielkich ośrodków Francji, Włoch czy Norwegii, ale też te mistrzostwa ewidentnie wykluczają osoby młode, ale nieco starsze. Poza tym znów mamy do czynienia, jak podczas Euro 2012, z wyłącznie męską formą rozgrywek. A zatem jeden turniej, a mamy tu seksizm, ejdżyzm, no i sport. A kto podkreślał rolę sportu w wychowaniu młodzieży? Fashyści. I wszystko jasne.

Trwa niezrozumiały festiwal oburzenia po prawej stronie, iż w Izraelu przypadkowy niewinny przechodzień, będący osobą judeopoztywną, zaatakował polskiego ambasadora.

Na szczęście po lewej stronie sceny politycznej i medialnej panuje spokojne milczenie. Trochę nas to jednak dziwi. No bo sami powiedzcie, czy ambasador tego kraju powinien ot tak sobie chodzić po izraelskich ulicach i prowokować przechodniów? Pamiętacie, jak niegdyś siostry Radwańskie prowokowały swoją obecnością izraelską publiczność, za co zostały przez nią upomniane werbalne? A już za kilka miesięcy do Izraela przyjedzie piłkarska reprezentacja tego kraju.

Naprawdę dość tych prowokacji, bo w końcu lewicowe media, politycy i światowa opinia publiczna przestaną milczeć i dostrzegą skalę zjawiska.

Do nieprawdopodobnych wniosków doszli analitycy jednej z organizacji zrzeszających producentów samochodów. Otóż ich zdaniem im niższe PKB na osobę w danym kraju, tym mniej po jego drogach porusza się elektrycznych samochodów. To rzuca nowe światło na fakt, iż w tym kraju tylko 0,2 proc. (podpowiadamy dyskalkulii: to mało) aut posiada napęd elektryczny. Do tej pory myśleliśmy, iż jest to kwestia złośliwości wąsatych januszów, którzy polonezami, ładami i wartburgami na olej celowo zatrują powietrze w tym kraju. A tu się okazuje, iż to wszystko dlatego, że ich nie stać. A na wakacje za „500+” to już stać? A jadąc na wakacje, kopcą tymi strasznymi dieslami, i koło się zamyka :(@@

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA



**XIX FESTIWAL
TEATRU
POLSKIEGO RADIA
I TEATRU
TELEWIZJI POLSKIEJ**

**DWA TEATRY
SOPOT 2019
24-27 MAJA**





PIERWSZE F-35 W POLSCE JUŻ ZA KILKA LAT

Pierwsza eskadra F-35 będzie kupiona do 2026 r. Druga eskadra zostanie kupiona po 2026 r. – poinformował w zeszłym tygodniu w Sejmie wiceminister obrony narodowej Wojciech Skurkiewicz. Zakup myśliwców piątej generacji ma znacząco zwiększyć możliwości polskich sił powietrznych. Wcześniej samoloty F-35, którego seryjna produkcja dopiero teraz rusza na dobre, kupiły takie kraje jak Dania, Norwegia, Holandia, Izrael czy Wielka Brytania. Obecnie poza samolotami MiG-29 i Su-22 Polska dysponuje 48 myśliwcami F-16 Block 52+. **(jap)** © ©

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARZINSKI

Jak u krawca – przymiarki trwają cały czas. Do czego? No do odnowionego rządu po eurowyborach. Wiewiórki opowiadają, że intensywne poszukiwania nowych ministrów trwają w Klubie Parlamentarnym Zjednoczonej Prawicy i ze szczególnym uwzględnieniem kobiet. Chodzi bowiem o to, że zbyt wiele pań odejdzie do europarlamentu, więc w trosce o wizerunek rządu zatrudnić trzeba ich równie wiele.

Wiadomo jednak, że w jednym przypadku zmiana będzie nieformalno-ministeryjna. Teresę od finansów Czerwińską zastąpi mężczyzna. „Fachowiec z rynku” – tak słyszeliśmy. Na naszą jakże mądrą uwagę, że każdy rząd musi mieć swojego Mateusza Szczurka, słyszeliśmy: „Ten rząd już swojego miał”.

Ameryka pisieje. Do tej pory wszyscy myśleli, że najgorszy jest w niej Trump, ale prawda jest jeszcze straszliwsza. Sekretarz edukacji Betsy DeVos oświadczyła, że jeśli nauczyciele chcą strajkować (tak, w Ameryce też nie ma dla nich zbyt wielu pieniędzy), to powinni to robić w czasie przeznaczonym dla siebie, a nie na uczenie dzieci. Czas, żeby Broniarz przebrany za krowę zaczął protestować solidarnościowo pod ambasadą amerykańską.

Niestety, nie mamy dobrych wieści dla krów oraz ludzi przebranych za krowy, bo wiemy, co Amerykanie robią z wołowiną. Wiedzą to wszyscy, którzy wzięli udział w Country Tweeter Meeting u Georgette Mosbacher, amerykańskiego namiestnika w Vistula County. Tylu burgerów w jednym miejscu nie widzieli od bardzo dawna.

W rządzie skarżą się tymczasem, że z panią Mosbacher jest coraz większy kłopot. Chodzi o to, jak porusza się po Warszawie. Zawsze na bogato, w świecie limuzyn. Raz podobno było nawet tak, że kolumna rządowa musiała przepuszczać kolumnę Mosbacher. Cóż, nie bez powodu nazywamy ją w naszej rubryce „namiestnik w Vistula County”.

Wśród wierchuszki PiS panuje mocne zaniepokojenie premierą filmu Sekielskiego o pedofilii w Kościele, bo istnieje obawa, że zdemobilizuje część elektoratu prawicy. Inne lęki budzi zapowiadany kolejny film Sekielskiego

o SKOK-ach – ponoć jak znalazł na jesienne wybory. No i planowany film Vegi o polityce polskiej. „Za..bią nas tą popkulturą” – słyszeliśmy od pewnej ważnej figury. Nie rozumiemy, skąd ten brak wiary w skuteczną kontrę TVP.

Równie wielkie emocje budzą w PiS książki. Na przykład te o premierze Mateuszu. Głównie dlatego, że Kazimierz Dyktator czyta książki, więc wszyscy się zastanawiają, czy autorzy biografii „Delfin” nie wydali jej z myślą przede wszystkim o tym jednym czytelniku. A dokładnie z myślą o tym, by nadwładzić

Widzieliśmy plakaty Koalicji Łeuropejskiej, na których są Boni i hasło: „Przyszłość Polski”. Uchowaj, Boże!

zaufanie Pierwszego Czytelnika do premiera Mateusza.

Oprócz emocji jest i oczekiwanie – na przykład na premierę książki o Mariuszu Kamińskim, krwawym okrutniku od służb. W mediach na razie poszedł przeciek, że od miesiąca w rządzie leży projekt reformy służb i długo wyczekiwanej opcji zerowej, czyli pogonienia esbeckiego pomiotu. Niestety, na razie uchwalona nie będzie. Wiewiórki używają takiego pięknego zdania: „Póki co brakuje woli politycznej”.

Wracając do nauczycieli. W ciągu kilku ostatnich tygodni stawiają się licznie na spotkaniach wyborczych z kandydatką Anką Zalewską. Zawsze jest tam też kamera TVN24, ale bieżących relacji jakoś w kanale brak. Zbierają materiały na ostatni piątek kampanii? Nie, to byłoby przecież niemożliwe!

Wterenie trwa ostra walka kandydatów. Na Mazowszu najaktywniej od spotkania do spotkania pielgrzymują Richard Henry Czarnecki po stronie PiS oraz Władysław Teofil Bartoszewski po stronie Koalicji Łeuropejskiej. W ciągach komunikacyjnych Warszawy najbardziej widać zaś Andrzeja Halickiego. Cimoszewicza nie widać, gdyż postanowił wygrać spokojem, kulturom oraz godnościom osobistom.

Tymczasem w Parlamencie Europejskim. Europosłowie pakują swój dobytek do skrzyń i przenoszą do magazynu. Jeśli będzie reelekcja, to odbiorą i z powrotem zaniósł do pokojów. Na razie z pokojów nie korzystają, gdyż trwa w nich remont. Europarlament to w ogóle piękne miejsce. Obecni posłowie będą mieli jeszcze jedno posiedzenie, miesiąc po wyborach. Dzięki temu jedna więcej pensja cyknie. Taka tradycja.

Eurodepy wydają też ostatnie pieniądze z funduszu reprezentacyjnego. Przecież szkoda, żeby się zmarnowały. Jeden z europarlamentarzystów PiS (nie, nie jest to Richard Henry) kupił na przykład na zapas całą szafę butelek coca-coli. Żałujemy, że nie jesteśmy eurodepami, mamy przecież większą wyobraźnię.

Nie jest prawdą, jakobyśmy nie zwracali uwagi na opozycję pozaparlamentarną. Na przykład zwróciliśmy ostatnio uwagę na billboard Adriana Zandberga. „Europejskie płace w Polsce” – brzmiało hasło. Dziwne. Myśleliśmy, że Zandberg to kandydat Lewicy Razem, a nie PiS.

Widzieliśmy też plakaty Koalicji Łeuropejskiej, na których jest Michał Boni. I hasło: „Przyszłość Polski”. Uchowaj, Boże!

Na szczęście Boni szybko przedstawił na spotkaniu w Milanówku swoje prawdziwe hasło wyborcze. A nawet hasło całej Koalicji Łeuropejskiej: „Koleddy z różnych państw w PE pytają mnie: »Co się z wami stało?!. Kiedyś byliście reprezentantami naszych interesów«” – opowiadał smutny Boni. To dobre hasło. A nawet dwa: „Co się z wami stało” oraz „PO – zawsze w cudzym interesie”.

Huszę odpoczęć... Wszędzie
widzę strzałki Piętki...



Zapamiętajmy mocno miniony czwartek. Epokowa chwila w dziejach polskiego Sejmu. Poseł Peło Sławomir Nitras podczas debaty nad zaostreniem przepisów antypedofilskich rzucał w Kaczora Dyktatora dziecięcymi bucikami. Zdobył więc nowy przydomek: Kaligula. Sławomir Nitras.

Mniej wyedukowanym wyjaśniamy: Gajusz Juliusz Cezar Germanik zdobył przydomek Kaligula, bo gdy był mały, ubierano go w strój legionisty, w tym żołnierskie buciki – caligae. Odrzucamy protesty tych, którzy przypominają, że caligae to sandały, a nie buciki. Bo przecież to też pasuje do sytuacji. „Sandał” rymuje się z „cymbał”.

Tymczasem u zielonych braci. Jak zapewne wiecie, prezes Peezelu Kosiniak-Kamysz dostał w samym środku kampanii najpiękniejszy prezent – córkę. A teraz także drugi najpiękniejszy prezent – śpioszki od politycznego przeciwnika. Dokładnie od żony jednego z politycznych przeciwników, zwanej czasem polską Hillary Clinton. Śpioszki były

różowe. Nieszczęśni ludowcy. Tłumaczeniu się z karty LGBT+ nie będzie końca.

Do TVN przyjechała delegacja z USA, przedstawiciele właścicieli. Mocna delegacja, z prawą ręką prezesa oraz specami od HR i finansów. Nie przywieźli dobrych wieści. Podstawowy komunikat brzmiał tak: „No, to sobie poobserwowaliśmy, jak dajecie radę, ale że nie dajecie,

Żli ludzie opowiadają, że instrukcja w tefauenach na czas kampanii to: o Wiośnie Biedronia albo wcale, albo źle

to nadchodzi czas cięć i restrukturyzacji”. Wiedzieli, co mówią – wyniki pierwszego kwartału słabiotkie, tort reklamowy kurczy się w zastraszającym tempie. Tak, jesteśmy poruszeni, ale nie nieszczęśliwi.

Żli ludzie opowiadają tymczasem, że podstawowa instrukcja w tefauenach na czas kampanii euro-parlamentarnej była taka: o Wiośnie Robika Biedronia albo wcale, albo źle. Oczywiście nie wierzymy w te plotki, podobnie jak w podłe sugestie, jakoby Adam Pieczyński był w dobrych relacjach z Grzegorzem Ludojadem Schetyną.

Propos Schetyny. Wiewiórki opowiadają, że Adam Szłapka, sekretarz generalny Nowoczesnej Kropki, ugaduje z Grzegorzem Ludojadem ostateczne połączenie z Peło. Czyli definitywne połącznie przystawki, którą stała się dawna partia Ryśka Petru. Rozmowom aktywnie kibicuje Myszką Agresorka. Nie wierzymy w te plotki. Praktyka uczy, że można połączyć coś z czymś. Nie da się natomiast połączyć czegoś z niczym. ©©

REKLAMA

Prestige
MJMREGENT
WARSAW HOTELRadio
złote przeboje

wprost

RZECZY

onet

VIXON
RADIOPRESS
SERVICE
monitoring mediu

pap



Rafał A. Ziemkiewicz

Sprawa mienia bezspadkowego jest częścią większej wojny – o uznanie win całego świata wobec Żydów. Polska właśnie przegrywa bitwę

Kolejny kryzys w stosunkach polsko-żydowskich? Trudno nie odpowiedzieć znaną maksymą Kisiela: to nie kryzys, to rezultat. Rezultat jednobiegunowej polityki zagranicznej, całkowicie opartej na spełnianiu oczekiwań Stanów Zjednoczonych, naiwnej wiary, że w stosunkach międzynarodowych liczą się takie wartości, jak prawda, słuszość i przyzwoitość, oraz strusiej taktyki chowania głowy w piasek.

Jeśli te trzy filary polskiej bezradności wobec agresywnej polityki Izraela i amerykańskich organizacji żydowskich się nie zmieniają – kryzys przejdzie w stan permanentny i będzie stale się pogłębiał. A nasze buńczuczne zapewnienia, że „nie zapłacimy nikomu ani grosza” okażą się w końcu równie wiele warte, co znane z historii „nie oddamy ani guzika od munduru”. Czy też, by nie szukać analogii w historii aż tak dawnej – jak równie buńczuczne zapewnienia, że nikt z zewnątrz nie będzie nam dyktował, co wolno nam zawrzeć w ustawie o IPN albo czy wolno nam odesłać na emeryturę prezes Sądu Najwyższego.

WCIAŻ NAS ATAKUJĄ

„Polska jest najbardziej bezczelnym przestępcą, który rozsiadł się na majątku trzech milionów ofiar nazistów. To jedyny kraj we współczesnej Europie, który odmówił ustanowienia systemu odszkodowań” – takie słowa padły w ubiegłym tygodniu w brytyjskiej Izbie Lordów, wypowiedziane przez Ruth Deech, potomkinię polskich Żydów, która tytuł szlachecki otrzymała w roku 2005 za wybitne osiągnięcia naukowe. Możemy oczywiście udawać, że ich nie słyszeliśmy – i tak zresztą robimy, wypowiedź baronessy Deech nie została odnotowana przez główne polskie media, zapewne po to, by „nie zadrażniać” stosunków i „nie prowokować” reakcji, które nieżyłowi nam media zachodnie (czyli praktycznie

wszystkie) mogłyby przedstawić jako dowody „narastania w Polsce nastrojów antysemickich”. Ważne, że usłyszano je na świecie, wpisując się w powszechnie podzielany stereotypowy wizerunek naszego kraju.

„Trzy miliony Żydów zginęły w Polsce i Polacy nie będą po nich dziedziczyli. Nigdy na to nie pozwolimy. [Na całym świecie] będą o tym słyszeli od nas tak długo, jak długo Polska będzie istnieć. Dopóki Polska nie zaspokoi żydowskich roszczeń, będzie atakowana i upokarzana na forum międzynarodowym” – trudno nie usłyszeć w słowach baronessy Deech echa tych słów Izraela Singera, przewodniczącego Światowego Kongresu Żydów, wypowiedzianych prawie 20 lat temu. Wielokrotnie były one przez polskie elity bagatelizowane i deprecjonowane z uwagi na późniejsze losy ich autora (z funkcji odwołany został w roku 2007 w atmosferze skandalu, gdy wyszło na jaw, że „odszkodowania dla ofiar Holokaustu”, które

z wielką wprawą wymuszał od różnych krajów, takich jak Norwegia, Szwecja czy Austria, zostały w znacznym stopniu zdefraudowane – organizacja zresztą nigdy publicznie tej sprawy nie wyjaśniła). Samo ich zauważenie i cytowanie uchodziło przez wiele lat za antysemityzm i skutkowało wykluczeniem z debaty publicznej, sam cytat był też wielokrotnie usuwany przez korporacyjną cenzurę z Wikipedii i mediów społecznościowych, mimo iż wypowiedź Singera miała charakter publiczny.

A jednak to one właśnie, a nie żadne górnolotne frazesy o wyjaśnianiu trudnej wspólnej historii, określają wzajemne stosunki III RP, amerykańskich (choć światowych z nazwy) organizacji żydowskich i rządu Izraela. Nie tylko w tym sensie, że Polska, zgodnie z zapowiedzią Singera, jest wciąż atakowana i upokarzana przez żydowskich liderów na forum międzynarodowym, i że ataki te stale przybierają na sile i są instytucjonalizowane, np. poprzez „deklara-





wojna

cję terezińską” i będącą jej logicznym następstwem amerykańską ustawę „Just 447”.

DOPIERO SIĘ ZACZNIE

Przede wszystkim – ludzie pokroju Israela Singera, kontynuujący jego dzieło, zdołali narzucić całemu światu narrację z tego złowrogięgo cytatu. Ofiarami Holokaustu nie byli polscy obywatele, których sprawy spadkowe oraz prawo dysponowania mieniem bezspadkowym w oczywisty sposób leżą w wyłącznych kompetencjach państwa polskiego – ale jakaś społeczność związana z Polakami tylko miejscem zamieszkania, na której majątku Polska „rozsiadła się” beczelnie, nie mając do tego żadnego prawa.

Ponieważ celem tej narracji jest odebranie Polsce prawa do „dziedziczenia” mienia po ofiarach „nazistów” i zarazem przyznanie go Żydom amerykańskim, mimo ogromu ich obojętności wobec Zagłady wtedy, gdy Niemcy jej dokonywali, musi ona w przewrotny sposób uczy-

nić z Polaków współwinnych zbrodni „nazistów”. To nie jest kwestia, jak od ćwierć wieku wmawiają sobie polskie elity, nieporozumień, braku znajomości prawdy historycznej czy zaniedbania „dialogu”. To żelazna, bezwzględna logika: aby założony cel został zrealizowany, Polacy muszą być przez świat uznani za współodpowiedzialnych za zbrodnię Holokaustu. Jeśli więc historia temu przeczy – trzeba ją napisać na nowo. Kropka.

Narzędzia ku temu są, i są to narzędzia niezwykle skuteczne. Jak bardzo, przekonali się szwajcarscy bankierzy, którzy z początku wydawali się równie pewni, jak dziś większość Polaków, że spokojnie oprą się żądaniom „zwrotu” miliardów dolarów z „martwych kont” założonych przed wojną przez Żydów, i to na dodatek na podstawie wziętych zupełnie z sufitu szacunków sum tam pozostawionych (to, w jaki sposób „obliczono” rozmiary „mienia bezspadkowego” w naszym wypadku, uzyskując astronomiczną kwotę 300 mld dol., jest

tematem na osobny komediodramat). Ktokolwiek zapoznał się z tą historią, zrozumie, że Polska jest dopiero w fazie wstępnej „obróbki”. Kiedy wypowiedzi takie jak baronessy Deech, skrupulatnie odnotowywane przez czołowe światowe media, staną się codziennością, kiedy stanowe legislatury w USA i różne organa władzy Kanady, Australii i innych państw, gdzie lobby żydowskie jest wpływowe, zaczną podejmować uchwały o bojkocie polskich towarów czy nieudzielaniu Polakom wiz, kiedy polscy oficjalni przedstawiciele – a potem zorganizowane grupy Polaków – zaczną być demonstracyjnie pomijani w zaproszeniach, wypraszani z koncertów, teatrów czy innych wydarzeń i publicznie przy tym upokarzani za „odmowę rozliczenia się z haniebną przeszłością” – a takie właśnie środki i wiele innych zastosowano do złamania Szwajcarów – będziemy mogli powiedzieć sobie, że zaczęło się na dobre.

UŚPIONY PIS

Niektórym wydaje się, że sytuacja uległa poprawie. Minęły czasy, gdy Polacy pozwalali się usypiać i mieli swym elitom wizję „nieporozumień”, które zostaną z czasem rozwiązane w „dialogu” dzięki okazaniu stronie żydowskiej zrozumienia i dobrej woli – bo do większości społeczeństwa dotarło, czym jest Just 447, i najwyższe władze zmuszone były złożyć w sprawie „odszkodowań za Holokaust” oświadczenie, co prawda starannie unikające wskazania, komu konkretnie nie jesteśmy nic winni i nie damy ani grosza, ale stanowcze, wręcz nawet buńczuczne w formie. Teraz już przynajmniej dostrzegamy zagrożenie.

Może i tak, ale po pierwsze – tendencja do bagatelizowania sprawy nadal jest silna, i co gorsza, rozlała się ona na środowiska umownie nazywane u nas prawicowymi. Najtwardsze propisowskie media już stworzyły propagandową narrację, kopiującą ten sam mechanizm, który stosowała w sprawach polsko-żydowskich propaganda III RP. Z tą jedną różnicą, że o ile za czasów michnikowszczyzny każdy, kto na przykład sygnalizował powszechność używania na Zachodzie terminu „polskie obozy śmierci” etykietowany był jako antysemita, o tyle teraz za krytykę agresji ze strony organizacji żydowskich i Izraela podlega się wykluczeniu jako „agentura Putina”. Kto podejmuje nazbyt ostro polemiki

FOT. AGNIE SZYMCZAK

z roszczeniami, kto przypomina, że Izrael nigdy nie przeprosił za haniebne, rasistowskie słowa o Polakach swojego ministra spraw zagranicznych, kto zwraca uwagę na przepaść dzielącą reakcje żydowskie na zdarzenia takie jak atak na polską ambasadę czy niedawną napad na polskiego ambasadora w Izraelu od tego, czego w odwrotnej sytuacji wymagaliby Żydzi i cały świat od Polski – ten „chce nas skłócić” ze Stanami Zjednoczonymi, naszym najlepszym sojusznikiem i obrońcą. A kto nas chce z nimi skłócić i doprowadzić do tego, by Amerykanie się obrazili i odmówili zbudowania Fortu Trump – wiadomo.

W dyskursie PiS-owskiego hardkoru ataki na Polskę ze strony środowisk żydowskich to więc „prowokacje Putina”, którym nie wolno ulegać. Komendant powiedział, że nie ulegniemy – i koniec, wystarczy, nie drażmy tematu. Gdzieś tam, w szantażu kierowanym do klubów „Gazety Polskiej” i podobnych im środowisk, które nie potrafią zrozumieć, dlaczego nagle mają przyjąć linię nieboszczki Unii Demokratycznej i stanowczo odcinać się od sprzeciwu wobec Just 447, kryje się oczywiście argument, że ta sprawa szkodzi wyborczym szansom PiS i może spowodować, że krytykująca niemrawość jego działań Konfederacja przejdzie próg wyborczy, komplikując sytuację PiS w kolejnej kadencji. Ma to walor samospełniającej się przepowiedni, bo cenzurowanie przez PiS oburzenia na Izrael i Światowy Kongres Żydów jest dla radykalnej prawicy najlepszym paliwem.

SPIĘTRZENIE ABSURDÓW

Linia obecnej władzy oparta jest na tak piramidalnym spiętrzeniu absurdów, że trzeba by długiego tekstu na ich szczegółowe omówienie. To, czy Amerykanie wybudują Fort Trump, czy nie, zależy od tego, czy uznają, że im się to opłaca, a nie, czy lubią Polaków, czy nie. I nie zaczynają nas „lubić”, jeśli będziemy demonstracyjnie okazywać uległość wobec ich oczekiwania, żebyśmy mieli dobre stosunki z Izraelem (podobnie jak za rządów Tuska demonstrowaliśmy analogiczną uległość wobec oczekiwania, by Polska „ułożyła sobie” stosunki z Rosją) – zyskamy co najwyżej lekceważenie. I wreszcie, ponieważ ataki na Polskę nie wynikają z „nieporozumień”, tylko mają charakter celowy, to udawanie, że problemu nie ma, skutkować może tylko ich nasileniem.

W polityce zagranicznej PiS wróciło mające złowrogie historyczne konotacje pojęcie „sojusznika naszych sojuszników”. Tak polski rząd emigracyjny nazywał Stalina, licząc, że zachodni alianci, właśnie w imię sojuszu, ujmą się za nami i ta interwencja powstrzyma apetyty ZSRS. Wiara, że administracja Trumpa obroni nas przed agresją Izraela i amerykańskich organizacji żydowskich, jest równie bezpodstawna – przynajmniej dopóki nie poukładamy spraw tak, żeby miała w tym jakiś interes. Na razie, odwrotnie, większe zyski widzi Trump w popieraniu żydowskich roszczeń.

Jeśli ktoś pociesza się, że zaczęliśmy widzieć problem, to powiem – widzimy, ale jak bohaterowie wiersza Tuwima, widzimy „wszystko osobno”. Nawet fakt, że w sprawie realizowania amerykańskiej ustawy 447 wybierała się do nas delegacja rządowa, wcale nie z USA, tylko z Izraela, zdaje się nikogo nie dziwić. Być może dlatego, że od dostrzeżenia, iż działania rządu izraelskiego i organizacji z USA są skoordynowane, cofa strach przed wyśmianiem i napiętnowaniem. Przecież ambasador Izraela, pani Azari, powiedziała wyraźnie, że kto dostrzeża związek między roszczeniami do „mienia bezspadkowego” a prowadzoną przez Izrael kampanią przeciwko „wypieraniu się przez Polskę odpowiedzialności za Holocaust”, ten kultuwyuje „antysemickie stereotypy”.

Skoro ambasador Izraela tak mówi – to samo w sobie jest dowodem, że sprawy są ze sobą nierozłącznie powiązane. Nie tylko, jak wspomniano wyżej, przypisanie Polsce winy za Zagładę jest warunkiem wyduszenia z nas odszkodowań, lecz także w drugą stronę – zapłacenie przez Polski choćby symbolicznej złotówki odszkodowania czy zwrotu będzie dla całego świata dowodem, że Polacy są winni, na tej same zasadzie, jak skrajnie niemądre przeprosiny prezydenta Kwaśniewskiego za Jedwabne zamknęły proces wyjaśniania, co właściwie tam się stało, i stały się „dowodem” prawdziwości historycznych kontaminacji Jana Tomasza Grossa.

WIĘKSZA WOJNA

Ponieważ widzimy sprawy osobno, nie rozumiemy, że sprawa mienia bezspadkowego jest tylko bitwą w większej wojnie – wojnie, toczonej przez obecne władze Izraela i część środowisk

żydowskich o ugruntowanie dogmatu „holokaustianizmu”, a więc dogmatu powszechności win całego świata wobec Żydów. W narracji budowanej przez Beniamina Netanjahu i jego sojuszników nie może być żadnej innej niż Żydziofii „nazistów” – tylko współsprawcy. Trwałe przesunięcie nas do tej kategorii jest dla holokaustianizmu bardzo ważne, a z kolei holokaustianizm dla wielu liderów żydowskich jest koniecznym warunkiem zachowania przez naród żydowski tożsamości w obliczu jego zewszczęnienia. Wygłoszona przez premiera Izraela przed kilku laty na kongresie syjonistycznym teza, że Hitler został do Holocaustu namówiony przez muzułmanów, nie pozostawia zaś złudzeń co do tego, jak instrumentalnie traktuje on historię.

Nie rozumiemy, że to wojna, nie widzimy, że używane są w niej różne rodzaje broni, wśród których Just 447 jest tylko jedną z wielu (o czym ambasador USA, nie kłamiąc wprost w ocenę jej ograniczonego zastosowania, już nie wspomina) mającą wzmocnić działanie innych. Nie rozumiemy nawet, że przegrywamy tę bitwę na własne życzenie. Strona żydowska zręcznie gra bowiem na nieczytelnej dla świata różnicy pomiędzy roszczeniami do „mienia bezspadkowego” a pretensjami o nieuregulowanie przez Polskę spraw zagrabionego mienia, które swoich legalnych spadkobierców ma – te drugie zaś jest łatwo uzasadnić. Mało kto zwrócił uwagę, że po odwołaniu przez Polskę rozmów z izraelską delegacją Światowa Rada Restytucji Mienia Żydowskiego wydała oświadczenie, w którym mowa jest bynajmniej nie o mieniu po ofiarach Holocaustu, ale o własności znacjonalizowanej po wojnie przez komunistów.

To właśnie zaniechanie trzeba jak najszybciej naprawić, bo działa jak wyłom w murach obronnych, zachęcający do ataków. Jeśli – jak widać choć po ożywionym zaostrzeniu prawa antypedofilskiego po premierze filmu Sekielskiego – nasi politycy nie potrafią działać inaczej niż na fali wzmożenia wywołanego bieżącymi wydarzeniami, to Just 447 i inne ataki na Polskę strony żydowskiej są dobrą okazją, by wzmożli się wreszcie do załatwienia raz na zawsze uzasadnionych roszczeń reprawatyzyjnych i jasnego oddzielenia ich od zwykłego wymuszania na Polsce haraczu.



Marcin Makowski

Znany żydowski architekt, który zaatakował polskiego ambasadora w Tel Awiwie, stał się w izraelskich mediach ofiarą polskiego rządu i służb. Takie postępowanie wobec Polski zdarza się coraz częściej

W środę 15 maja polskie oraz izraelskie media obiegła informacja o ataku na ambasadora Marka Magierowskiego w Tel Awiwie. Napastnik, jak się później okazało – 65-letni znany architekt Arik Lederman, zwyzwiał i opluwał polskiego dyplomata, gdy ten wjeżdżał samochodem do placówki. Ponieważ Magierowski zdążył zrobić zdjęcie mężczyzny i zgłosił napaść na policję, Lederman został po niespełna dwóch godzinach odnaleziony i przesłuchany, a następnie... zwolniony do aresztu domowego. Wezwana w trybie pilnym do polskiego MSZ ambasador Izraela Anna Azari potępiła atak, a rzecznik tamtejszego resortu spraw zagranicznych Emmanuel Nahshon napisał na Twitterze, że „wyraża pełne wsparcie z Magierowskim”.

Za sprawą prawnika architekta do mediów szybko przedostała się jednak odmienna wersja wydarzeń. Miał się on rzekomo zgłosić do polskiej ambasady z żądaniem rozmowy o mieniu pozostawionym przez jego rodzinę w Polsce. Według portalu Israel Hayom miał zostać odprawiony „przez ochroniarza, który zwrócił się do mężczyzny per »Żydzie«”. Oskarżony zeznał również w sądzie, że po pierwsze, nie wiedział, kogo zaatakował, po drugie, złość nie miała podłoża rasistowskiego, była natomiast reakcją na trąbienie limuzyny polskiej ambasady, której kierowca domagał się, aby zjechał z podjazdu do budynku. Ostatecznie Lederman wydał oświadczenie, w którym przeprosił ambasadora Magierowskiego.

W taki sposób agresor stał się w izraelskich mediach „ofiara” nie tylko polskiego rządu – „nieczułego” na zwrot mienia ofiar Holokaustu, lecz także „antysemityzmu” pracownika ambasady, choć ta zaprzecza, aby opisana sytuacja w ogóle miała miejsce.



Marek Magierowski, polski ambasador w Tel Awiwie, został zaatakowany przez izraelskiego architekta FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Uderzanie kłamstwem

Niestety, podobny scenariusz: agresja, odwracanie kota ogonem i zastrzanie kursu, zdarza się w ostatnich latach ze strony części amerykańskiej diaspory żydowskiej oraz niektórych izraelskich polityków zdecydowanie za często. Jak duża jest skala podobnych głosów? Czy są one reprezentatywne – to pytania, które musimy sobie dzisiaj postawić wprost.

FAKE NEWSY I „NIEWYGODNE FAKTY”

W lutym 2018 r. po słowach wypowiedzianych na Forum Bezpieczeństwa w Monachium przez premiera Mateusza Morawieckiego, który w stosunku do Żydów współdziałających z nazistowskimi Niemcami użył zwrotu „perpetrators” („współsprawcy”), rozpętała się międzynarodowa fala potępienia, skumulowana z oburzeniem na kształt nowelizacji ustawy o IPN. „Mordercy”, „polskie g...o” – m.in. takie napisy oraz nieudolnie namalowane swastyki pojawiły się następnie na wjeździe do polskiego konsulatu w Tel Awiwie. Emerycy ocaleni z Zagłady z domu starców Yad Ezer w Haifie zostali natomiast przywiezieni autobusem pod polską placówkę, by z transparentami i zaciśniętymi pięściami wyrazić swoje oburzenie wobec „tuszującego prawdę o Holokauście” rządu.

Wcześniej, u progu kryzysu IPN-owskiego, niektórzy izraelscy komentatorzy zaczęli wprost komunikować swoje pretensje wobec Polski. Przodował w tym zwłaszcza prof. Shlomo Avineri, który w przetłumaczonym na wiele języków felietonie „Zbrodnia Polski przeciw historii” zagroził, że jeżeli Warszawa nie wycofa się ze swojej „martyrologicznej” narracji o II wojnie światowej, to zaczną być jej przypomniane „niewygodne fakty”. – Dlaczego Armia Krajowa czekała ponad cztery lata, aby powstać przeciwko niemieckiej okupacji? Dlaczego nie przeszkodziła systematycznej zagładzie 3 mln Żydów, polskich obywateli, albo dlaczego nie uderzyła podczas żydowskiego powstania [...] w kwietniu 1943 r.? – pytał Avineri, dodając, że Polska mogła zapobiec Holokaustowi, gdyby 2 sierpnia 1939 r. w toku francusko-angielskich negocjacji w Moskwie zgodziła się na wejście na jej terytorium wojsk Armii Czerwonej, która chciała „prewencyjnie” uderzyć na III Rzeszę.

Od tego czasu w izraelskich oraz amerykańskich mediach diaspory żydowskiej

W relacjach polsko-żydowskich nagminne stało się naginanie faktów i testowanie wytrzymałości polskiej opinii publicznej

pojawiało się przynajmniej kilka fake newsów dotyczących rzekomego wzrostu nastrojów antysemickich w Polsce – na czele ze stwierdzeniem o marszu „200 tys. faszystów w Warszawie” oraz słynną depeszą Jewish Telegraphic Agency o rzekomym zwastowaniu żydowskiego cmentarza w Świdnicy.

A wszystko według wspomnianego już, charakterystycznego scenariusza. Takiego samego, według którego odbyły się wydarzenia dotyczące zajścia z sierpnia 2018 r. w Krakowie. Miało wówczas dojść do pobicia dwóch mężczyzn – Polaka i Amerykanina pochodzenia żydowskiego. W roli agresora wystąpiła polska policja, która następnie po umieszczeniu mężczyzny w areszcie miała ich znieważać nazistowskimi gestami „Sieg Heil”. O sprawie w alarmistycznym tonie wraz ze zdjęciami obrażeń poinformował na Facebooku Dov Hikind zasiadający z ramienia partii demokratycznej w Zgromadzeniu Stanowym Nowego Jorku, twierdząc, że sprawę „antysemickiej napaści” zgłosił do amerykańskiego Departamentu Stanu. Wystarczyło kilka telefonów i kontaktu z polskimi służbami, aby okazało się, że policja została wezwana na prośbę pracowników synagogi, do której pijani mężczyźni chcieli wejść bez biletów, następnie wdali się oni w bójkę z funkcjonariuszami, a wobec braku jakichkolwiek dowodów na czynienie nazistowskich gestów nie podtrzymali po fakcie swoich oskarżeń. W świat poszedł jednak inny obraz wypadków.

NAGINANIE FAKTÓW

Od niespełna dwóch lat rzeczą nagminną w relacjach polsko-żydowskich oraz polsko-izraelskich stało się podobne naginanie faktów oraz testowanie wytrzymałości polskiej opinii publicznej. Przoduje w nich zwłaszcza lider izraelskiej opozycji Yair Lapid. „Całkowicie potępiam nowe polskie prawo, które usiłuje zaprzeczyć polskiemu współudziałowi w Holokauście. Zrodził się on w Niemczech, ale setki tysięcy Żydów zostało zamordowanych, choć nawet nie widzieli niemieckiego żołnierza. Były polskie obozy śmierci i żadne prawo nie

może tego zmienić” – napisał na Twitterze, wcześniej powielając fake newsa o „200 tys. Żydów zamordowanych podczas wojny przez Polaków”.

Właściwie nie ma takiego wydarzenia w naszych relacjach, do którego członek Knesetu o włos przegrywający wybory z partią Beniamina Netanjahu nie odniósłby się w słowach kipiących wprost od antypolskiego resentymentu. – Polacy współpracowali przy tworzeniu i prowadzeniu obozów zagłady, Polacy wydawali Żydów Niemcom i tym samym wysyłali ich na śmierć. [...] Nie przypadkiem hitlerowcy stworzyli swoje centrum zagłady w Polsce. Wiedzieli, że ludność polska im pomoże – stwierdził w wywiadzie dla Onetu z 9 maja. O tym, że Niemcy zbudowali obozy śmierci na terytorium okupowanej Rzeczypospolitej z logistycznego pragmatyzmu, ponieważ na jej ziemiach żyła największa diaspora żydowska na świecie, nie wspomniał.

Podobnych, wyraźnie pejoratywnych w wydźwięku głosów w mainstreamowej polityce izraelskiej jest jednak więcej. Weźmy pierwsze z brzegu słowa szefa resortu spraw zagranicznych o „wyssaniu przez Polaków antysemityzmu z mlekiem matki” – Israel Katz do tej pory nie wyraził skruchy, nie dotknęły go konsekwencje ze strony przełożonego, Beniamina Netanjahu. On sam zresztą podczas konferencji bliskowschodniej w lutym w Warszawie dolewał oliwy do ognia dwuznacznymi komentarzami na temat polskiej polityki historycznej i współodpowiedzialności za Holokaust, co w konsekwencji spowodowało premiera Mateusza Morawieckiego do zerwania szczytu Grupy Wyszehradzkiej, który miał się odbyć wyjątkowo w Jerozolimie z udziałem Izraela. Co warto dodać, szczytu planowanego jako gest dobrej woli ze strony Europy Środkowej, która widzi w państwie z Bliskiego Wschodu swojego strategicznego sojusznika. Nie wszyscy jednak podzielają podobną geopolityczną percepcję, szczególnie w tamtejszych mediach.

„Żyję i jestem w stanie napisać ten artykuł nie dlatego, że moja babcia przeżyła nazistowskie Niemcy [i wyemigrowała do USA – przyp. red.], ale dlatego, że zrozumiała dekadę przed Holokaustem,

jak głęboko zakorzeniona jest u Polaków nienawiść do Żydów” – stwierdziła dziennikarka „Jerusalem Post” Tovah Lazeroff relacjonująca wspomniany szczyt bliskowschodni w Warszawie. Wcześniej, w marcu 2018 r., ten sam „Jerusalem Post” przekonywał piórem Herba Keinona, że „Polska powinna odnotować przemowę kanclerza Austrii Sebastiana Kurza”, który przeprosił za zbrodnię Shoah. Zdaniem dziennikarza Polska powinna pójść w ślady kanclerza i wziąć na swoje barki konsekwencje „współodpowiedzialności za Holokaust”. Państwo Adolfa Hitlera, które było immanentną częścią zbrodniczej maszyny III Rzeszy, złoło i zlewa się w dziesiątkach podobnych tekstów w amerykańskich i izraelskich mediach z losem państwa, które zostało jej pierwszą i największą ofiarą. Podobnych głosów – od „Times of Israel” do „Haaretzu” – pojawiło się i niestety nadal pojawia się znacznie więcej.

TRUDNE ZAKOPYWANIE PODZIAŁÓW

– Jedną z najbardziej szkodliwych konsekwencji napięcia pomiędzy Polską z Izraelem przez ostatnich 18 miesięcy jest przejawianie otwartej agresji z obydwu stron – mówi „Do Rzeczy” dr Daniel Tilles, twórca serwisu Notes From Poland śledzącego relacje na temat Polski w zagranicznych mediach. – W Polsce wzrosła fala antyżydowskiej retoryki, szczególnie wśród nacjonalistycznej prawicy, równocześnie w Izraelu zaczęto mówić wprost antypolskimi stereotypami, czego dowodzi choćby stanowisko ministra Katza. Te uprzedzenia były podskórnie obecne w obydwu społeczeństwach, ale kontrowersje wokół ustawy o IPN, restytucji i historii II wojny światowej je uaktywniły. To w tej chwili błędne koło, w którym agresja jednych prowokuje kontrę drugich – uważa.

O to, skąd się bierze ten wzrost niechęci, pytam również dr. Stanleya Billa z katedry studiów polskich na Uniwersytecie Cambridge. – Twardogłowi i oportuniści z obydwu stron wzmogli napięcie pomiędzy Polską a Izraelem, a ludzie środka – jak to często ma miejsce – tacy jak ambasador Marek Magierowski, wpadają w kleszcze podobnych starć. Nawet jeśli przyczyniają się do budowania większego zrozumienia i zakopywania podziałów – odpowiada.

Niwelowanie napięcia na pewno nie ułatwia spór wokół kwestii restytucyjnych oraz amerykańskiej ustawy Just Act 447. Chociaż zagadnienia te były do tej pory

akcentowane głównie przez amerykańskie organizacje żydowskie, takie jak World Jewish Restitution Organization (której szef Gideon Taylor chce, aby zwrotowi podlegała również własność żydowska znacjonalizowana przez komunistyczne rządy PRL), to temat ten trafił ostatnio do agendy izraelskiego rządu. Dowiedzieliśmy się o tym dotkliwie przy okazji odwołanej w ostatniej chwili wizyty delegacji izraelskiej, która miała przylecieć do Warszawy w poniedziałek 13 maja. Jak udało mi się ustalić w niedzielę wieczorem, tamtejsi politycy chcąc zareagować na głośnie protesty Polonii oraz marsz Anty 447 w Warszawie z 11 maja, w ostatniej chwili przekazali hebrajskojęzycznym dziennikarzom, że jednym z tematów rozmów w Polsce będą nieuzgadnianie ze stroną polską kwestie restytucyjne. Zainteresowanie i presja medialna spowodowane ujawnieniem przeze mnie wspomnianych planów przełożyły się na zapytania przedstawicieli kancelarii premiera oraz ambasady amerykańskiej do polskiego MSZ, które wcześniej niedostatecznie poinformowało (również stronę rządową) o fakcie odbywania i charakterze rozmów. Ponieważ komunikat o cofnięciu zaproszenia dla delegacji wystosowano

lityczne, ani środowiska antysemityczne nie powstrzymają nas przed spłaceniem tego ważnego długu moralnego” – napisała Gila Gamliel, odnosząc się do restytucji mienia żydowskiego w Polsce.

– Obecne napięcie pomiędzy naszymi państwami postrzegane jest w Izraelu jako próba zdobycia głosów przez skrajnie prawicowe partie w Polsce. Przed anulowaniem wizyty naszej delegacji mało kto słyszał cokolwiek w kraju na temat restytucji czy ustawy 447. Niestety, również w polityce izraelskiej działają osoby, takie jak Yair Lapid czy minister Gila Gamliel, które starają się na tym napięciu ugrać kilka politycznych punktów – mówi „Do Rzeczy” dziennikarz telewizji Channel 13, Yosef Yisrael. – W tym samym czasie wszystko związane z Polską i Holocaustem wywołuje natychmiastowy antagonizm w Izraelu. Wiąże się on z przeświadczeniem, że w Polsce wzmaga się antysemityzm, a polski rząd równocześnie nie chce zadośćuczynić ofiarom Zagłady i zwrócić ich nieruchomości, choć to przecież nie jest całą prawdą – mówi dziennikarz.

Chociaż wiele izraelskich mediów i polityków nasila swoją retorykę w kontraście do naszego kraju, to trzeba pamiętać, że nie jest to głos wszystkich Żydów ani całego Izraela. „Polski ambasador Marek Magierowski został zaatakowany w Tel Awiwie. Napastnik według doniesień zachowywał się antypolsko. To szokujące. Podobna przemoc jest nie do zaakceptowania. Dobrze, że Izrael szybko aresztował tego człowieka. Jako wieloletni przyjaciel i orędownik relacji polsko-izraelskich z nadzieją wyglądam lepszych dni” – napisała na Twitterze David Harris, przewodniczący Amerykańskiego Komitetu Żydowskiego (AJC). Warto podobne głosy docenić, jednocześnie nie bagatelizując tych niechętnych naszemu państwu.

„Atak na ambasadora był odizolowanym wypadkiem. Co smutne, to, co się dzieje dzisiaj w Polsce, nie jest. Tam rząd organizuje systemowe wybielanie historii. Chociaż jest prawdą, że Polska jako naród nie kolaborowała z nazistami, niektórzy Polacy to robili, motywowani antysemityzmem, który niestety nadal istnieje w wielu częściach kraju” – stwierdził „Jerusalem Post” w odrędkacyjnym felietonie opublikowanym dwa dni po ataku na ambasadora RP w Tel Awiwie. Spróbujmy sobie tylko wyobrazić, co by się wydarzyło, gdyby sytuacja przytrafiła się w Polsce. I domagajmy się tych samych standardów. Innej drogi nie ma. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Temat restytucji mienia pożydowskiego, podnoszony do tej pory przez amerykańskie organizacje, trafił niedawno do agendy izraelskiego rządu

kilka godzin przed wylotem samolotu z Tel Awiwu, Izraelczycy i tak przylecieli do Warszawy, odbywając serię nieformalnych spotkań z diasporą żydowską. Jak udało mi się ustalić, próbowali również spotkać się z przedstawicielami ambasady USA w Warszawie, nie wyraziła ona jednak zgody na dyskusję w kontekście decyzji polskich władz.

„Beniamin Netanjahu kompletuje rząd. Dostaną się do niego tylko ci, którzy się wyróżnią. Także w sprawie restytucji mienia ofiar Zagłady w Polsce” – relacjonowała po fakcie „Rzeczpospolita”. Szefowa izraelskiego resortu ds. równości społecznej po nagłośnieniu sprawy wydała również stanowcze oświadczenie: „Ani względu po-



Z Joachimem Brudzińskim,
szefem MSWiA, wiceprezesem PiS
rozmawia Wojciech Wybranowski



FOT. BARTĘK STAJA/POLSKA PRESS/CETTY IMAGES

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Amnesty International kolejny już raz wzywa polskie władze do zapewnienia możliwości przeprowadzania pokojowych zgromadzeń i zaprzestania, jak twierdzi, represji wobec uczestników antyrządowych protestów...

JOACHIM BRUDZIŃSKI: Z uwagą czekam na apel Amnesty International biorący w obronę prawa katolików i chrześcijan do poszanowania ich wartości, prawa do wyrażania uczuć religijnych. Niestety pamiętam z lat minionych takie akcje, w trakcie których procesje Bożego Ciała były zakłócanie przez człowieka dotkniętego, jak to się teraz nazywa, pewną ekspresją artystyczną. Sytuacją,

która spowodowała apel AI, było zdarzenie obrażające miliony Polaków. Co charakterystyczne, naruszające również wrażliwość ludzi niebędących ludźmi głębokiej wiary, ale dla których wizerunek Matki Bożej Częstochowskiej jest wpisany w istotę naszej państwowości i wrażliwości narodowej. Powodem była też akcja policji wobec uczestników tego zdarzenia. Jako szef MSWiA muszę stać na straży praw i wolności każdego człowieka zarówno wierzącego, jak i niewierzącego, każdej narodowości, wyznania i koloru skóry. Działaczom Amnesty International i pani Podleśnej, która zorganizowała antykatolicką akcję, mogę

powtórzyć tylko: „Wolność kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność drugiego człowieka”.

Jednak na łamach kilku europejskich mediów już pojawiły się informacje o Polsce jako o kraju, w którym łamana jest wolność słowa i ograniczana ekspresja artystyczna. To niezbyt korzystne wizerunkowo.

Czy to ma oznaczać, że powinniśmy wyłączyć obowiązujące w Polsce prawo? Pewnie zaraz zapyta pan, czy konieczne było wysyłanie policji do uczestniczki tej antykatolickiej prowokacji, bo to przecież pani Podleśna, znana aktywistka opozycji. W momencie, gdy zostały podjęte działa-

Tusk używa nowego Palikota

nia, nikt z funkcjonariuszy policji zajmujących się tą sprawą nie miał żadnej wiedzy, kogo ona dotyczy. Policja przeprowadziła czynności, ponieważ zostało złożone zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa obrazy uczuć religijnych. Jaka była koincydencja czasowa? Najpierw mieliśmy do czynienia z próbą profanacji Grobu Pańskiego w świątyni w Płocku. Następnie była próba wywołania awantury, wtedy też zaatakowano kapłana w tym kościele. Później w nocy zamaskowane osoby rozrzucały wokół świątyni wizerunek Matki Bożej Częstochowskiej w sposób ostentacyjnie prowokacyjny wpisany w symbol tęczy,

symbol LGBT. Osoby, które popełniły ten czyn, miały świadomość, że dopuszczają się działań zabronionych. Były więc zamaskowane. Po drugie złamały przepisy Kodeksu karnego, art. 196, który to przepis penalizuje znieważanie uczuć religijnych.

Donald Tusk by się z panem nie zgodził. Podczas wystąpienia na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu powiedział, że „w głowie mu się to nie mieści”.

Wszyscy pamiętamy rozbijane przez policję, za kadencji Donalda Tuska, Marsze Niepodległości. Przypomnę też grupy rekonstrukcyjne atakowane w Święto Niepodległości przez niemiecką Antifę,

która później schroniła się w siedzibie redakcji „Krytyki Politycznej”. Kolejnym przykładem są rozbijane i atakowane marsze oraz uroczystości organizowane przez patriotyczną młodzież. Kto dzisiaj nie pamięta prowokacji dokonanej pod ambasadą Federacji Rosyjskiej, gdzie spalona została budka? Były też wydarzenia na Śląsku, gdzie strzelano gumowymi kulami do górników. Słynna akcja „Widelec”, w trakcie której pobito i represjonowano setki niewinnych ludzi tylko za to, że mieli na sobie symbole jednego z klubów piłkarskich. Wszyscy pamiętamy szyskany, jakie spotykały kibiców krzyczących „Donald mato-

Ile, twój rząd obala kibole". Wreszcie przypomnę też, że w 2014 r. doszło do profanacji meczetu na warszawskiej Ochocie. Jedna z kobiet wrzuciła na teren meczetu świńskie łby. Policja ją zatrzymała. To dlaczego Donald Tusk wówczas nie wyszedł do mediów i nie krzyczał, że „w głowie mu się to nie mieści”?

Mieliśmy do czynienia z falą alarmów bombowych w polskich szkołach zmierzających do zablokowania przeprowadzenia egzaminów maturalnych. Czy policja wpadła już na trop sprawców?

Bardzo serdecznie współczuję tegorocznym maturzystom. Nie dosyć, że zostali dotknięci traumą związaną z tym, że nie będą klasyfikowani i pojawiało się realne zagrożenie, że egzaminy się nie odbędą, to jeszcze zostali narażeni na kolejny stres związany z fałszywymi alarmami bombowymi. Chciałbym jednak podziękować funkcjonariuszom polskiej policji za podejmowane działania. Mieliśmy informację, że taka akcja będzie miała miejsce – w związku z tym była ona przez służby monitorowana. Ci, którzy stoją za tą akcją, byli do niej bardzo dobrze przygotowani. Obecnie nasi specjaliści z biura do zwalczania cyberprzestępczości w Komendzie Głównej Policji bardzo intensywnie badają sprawę. Powiem tylko, że wygląda ona na problem większy o kilka klas niż tylko nieodpowiedzialne działania szaleńca.

Sugeruje pan, że była to zorganizowana akcja o charakterze cyberterrorystycznym?

Cyberterroryzm to bardzo mocne słowo, dzięki Bogu do zamachów tego rodzaju w Polsce nie dochodzi. Natomiast chcę podkreślić, że nie była to akcja amatora. Nie chcę stawiać dzisiaj żadnych tez, bo czynności są wykonywane.

Gdy w Polsce mówi się, cytując Ujejskiego, że „inne szatany były tam czynne”, najczęściej ma się na myśli naszego sąsiada zza wschodniej granicy.

Dopóki trwają czynności, nie będę wskazywał na żaden konkretny kierunek.

Wróćmy do Polski i wystąpienia na Uniwersytecie Warszawskim Donalda Tuska. Przed nim prowokacyjne wystąpienie miał Leszek Jażdżewski. Myśli pan, że to radykalnie antyklerykalne przemówienie było przygotowane przypadkowo, że Donald Tusk nic o nim nie wiedział?

A skąd. To jest tak grubymi nićmi szyta, oczywista akcja. Tylko ktoś o „małym rozumku” albo lubiący zaklinać rzeczywistość doszukiwałby się tutaj przypadkowości czy braku koordynacji. Przewodniczący Rady Europejskiej, na którego prawo nakłada nieangażowanie się w spory polityczne państw członkowskich, w grudniu 2016 r. pojawia się we Wrocławiu. Jest niemal w przededniu tzw. puczu sejmowego z panem Didusko, który bohatersko „poległ” w walce z „PiS-owskim reżimem”, a jak kamery odeszły, to cudem powrócił do żywych. Oczywiście trochę trywializuję, ale czytelnicy na pewno pamiętają działania, które miały na celu uniemożliwienie przyjęcia budżetu w polskim Sejmie. Wtedy też dziwnym trafem we Wrocławiu pojawia się Donald Tusk, atakuje rząd, podgrzewa emocje. Mamy wreszcie rok 2018 i w stulecie odzyskania niepodległości przez Polskę rozpetaną przez media histerię, że zaraz tu ulicami Warszawy przejdą setki tysięcy faszystów, że stolica będzie płonąć. I kto pojawia się w Łodzi? „Wybawca” Donald Tusk przekonujący, że „można pokonać współczesnych bolszewików”. Sięgnijmy wreszcie do słynnej instrukcji pana Kramka, gdzie jednym z zapisów jest stwierdzenie, że jak już wszystko zostanie przeciw rządowi wykorzystane, to trzeba sięgnąć po nauczycieli i zdestabilizować państwo. Dochodzi do sytuacji niewyobrażalnej, bo wzywa się pedagogów, by uniemożliwili przeprowadzenie egzaminów gimnazjalistów i ósmoklasistów. Być może zakładało się tutaj, że uda się te emocje rozhuścić na tyle, by nie doszło do egzaminów maturalnych. Wtedy pojawi się zapowiadane i ogłaszane szumnie wystąpienie Donalda Tuska. Mam wrażenie, że użył on pana Jażdżewskiego w takim samym charakterze, w jakim wcześniej używał Palikota.

Może już nie sam Donald Tusk, ale politycy Koalicji Europejskiej sugerują, że jeśli PiS wygra wybory, to Polska wyjdzie z UE.

Nie ma takiej bzdury, której Donald Tusk czy inni politycy KE nie byliby gotowi powiedzieć, byle tylko zaszkodzić PiS. Trochę im narrację zepsuł pan Juncker. Oczywiście jest, że jeśli PiS wygra kolejne wybory, to Polska z UE wychodzić nie będzie. Dlatego że to moje środowisko polityczne było tym, które mówiło o konieczności wejścia Polski do EWG, a później NATO i UE. Wtedy słyszeliśmy od innych polityków, jeden nawet został „mędrcelem Europy”,

że trzeba budować EWG bis albo NATO bis. Mówiono też o podpisywaniu porozumienia z Rosją, by na terenie dawnych sowieckich baz powstawały spółki joint venture. Prawo i Sprawiedliwość opowiadało się za wejściem Polski do UE, a dzisiaj stanowczo opowiadamy się za Polską w UE. To projekt, który przynosi wymierne korzyści Polakom. Jest powszechnie akceptowany i trzeba być człowiekiem zupełnie pozbawionym rozumu, by stawiać postulat wyprowadzenia Polski z UE.

Przecież Donald Tusk i Grzegorz Schetyna wiedzą bardzo dobrze, że Prawo i Sprawiedliwość nigdy Polski z UE nie wyprowadzi. Jednak na potrzeby wojny totalnej prowadzonej z naszym rządem są w stanie powiedzieć każde głupstwo. Jest to niebezpieczne także z punktu widzenia polskich interesów. Niestety mamy za przeciwników ludzi, którzy w tej wojnie totalnej są w stanie posunąć się do wszystkiego. Ich celem jest nie tylko wygranie wyborów, lecz także – jak mówią – doprowadzenie do tego, by PiS już nigdy do władzy nie wrócił, anihilacja naszego środowiska politycznego. Tacy z nich prawdziwi demokraci.

Jest pan zwolennikiem wpisania do konstytucji zapisu o członkostwie Polski w UE?

Będziemy rozmawiać w momencie, kiedy pojawią się propozycje konkretnych zapisów.

W 2015 r. udało się Jarosławowi Kaczyńskiemu zjednoczyć prawicę. Tym razem pójdzie ona do wyborów podzielona, a PiS wyrósł po prawej konkurent, któremu sondaże dają nawet do 6 proc. Mówię o Konfederacji...

W 2015 r. nie byliśmy zjednoczeni ze środowiskami, o których pan wspomina, a które dziś odgrywają istotną rolę w Konfederacji. Oni wtedy też szli do wyborów z własnym komitetem. Specyfiką wyborów do PE jest to, że w nich marginalne w gruncie rzeczy grupy mają zdolność mobilizacji własnego, bardzo twardego elektoratu i wprowadzenia 3–4 europarlamentarzystów. Natomiast mam też nadzieję, że akurat to środowisko w wyborach jesiennych nie będzie odgrywało takiej roli, by nam zagrozić. Czasami odnoszę wrażenie, że ktoś, kto dzisiaj obniża szansę PiS na wygranie z PO, tak naprawdę gra na interes Platformy Obywatelskiej albo jakichś innych szatanów.

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

WSTRZĄSAJĄCY WYWIAD

**Z ŻOŁNIERZEM NSZ PRZEŚLA-
DOWANYM PRZEZ KOMUNĘ**

Ronen Bergman – **Egzekutorzy z Mosadu**

Marcin Bartnicki – **Seks dla Izraela**

Piotr Zychowicz – **Wpadki zabójców z gwiazdą Dawida**

Sławomir Cenckiewicz – **Plusy i minusy „Kuriera”**

Sławomir Koper – **Żony i kochanki Sienkiewicza**

Sebastian Bojowski – **Zanim Hitler runie, śmierć komunie!**

Mikołaj Iwanow – **Żydowski partyzanci Stalina**

Rafał A. Ziembkiewicz – **Rasa Ariów i sieroty po Marksie**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Do wykorzystania dziecka przyznał się ks. Franciszek Cybula, były kapelan Lecha Wałęsy. Na zdjęciu w 1992 r.

FOT. STEFAN KRASZEWSKI/PAP

Patologie współczesnego Kościoła



Sławomir Cenckiewicz

W sferze faktów film braci Sekielskich jest po prostu zabójczy. A stawianie równości między byciem pedofilem i agentem SB jest manipulatorskie

Swoje refleksje na temat filmu Marka i Tomasza Sekielskich „Tylko nie mów nikomu” spisuję w Rzymie, nieopodal Watykanu, parę chwil po kilkugodzinnym zwiedzaniu bazyliki św. Piotra w gronie przyjaciół i księży. Spojrzałem dziś z bliska w wielkość Kościoła katolickiego, jego historię, papiestwa, świętości, mądrości i piękna. Spojrzałem z wdzięcznością i poruszeniem. Piszę o tym, by właśnie szczególnie zaakcentować to, że jestem katolikiem, w dodatku o konserwatywnych poglądach, a mimo wszystkich kontekstów nie uważam filmu braci Sekielskich za fragment wojny z Kościołem. To obraz zbyt ważny dla mnie, dla Kościoła, by w prostackich słowach go zdezwauować, wylewając kubły pompy na autorów.

Film Sekielskich obejrzałem od razu w dniu premiery. I się nie zawiodłem. Wszystkie „myki” zdjęciowe czy pomieszczone – szczególnie w drugiej części obrazu – antyklerykalne i publicystyczne „wycieczki” kilku narratorów są wobec konkretnych zbrodni tutaj zupełnie wtórne. Nie robią na mnie żadnego wrażenia; i nawet kiedy wypowiada je ekskrykt Stanisław Obirek (i tak w łagodnej jak na niego formie), a ktoś macha książką wydaną przez „Krytykę Polityczną”, to i tak nie unieważniają siły faktów tego filmu. A w sferze faktów ten film jest po prostu zabójczy.

WIĘKSZY OD „LEAVING NEVERLAND”

Te kilka przypadków upadłych kapłanów, z których dwóch w tak wyraźny sposób przyznaje się przed ukrytą kamerą do

czynów pedofilskich, pozostali zaś w świetle przytoczonych relacji i wyroków sądowych w zasadzie nie muszą już nic mówić, czyni z filmu Sekielskich film znacznie poważniejszy i większy niż słynny „Leaving Neverland” o Michaelu Jacksonie. Bo w jakże poruszającym przeciw filmie o pedofilii Jacksona mamy „jedynie” świadectwa ofiar wobec zmarłego Króla Popu. Słowo przeciwko ścianie milczenia. W przypadku „Tylko nie mów nikomu” mamy nie tylko słowa świadków (konkretnych), lecz także drastyczną konfrontację ofiar ze sprawcami, ich „spowiedź” (chyba tylko w jednym przypadku bliską szczerości), fakty ustalone przez sądy, no i udane śledztwo w sprawie tuszowania tych zbrodni przez

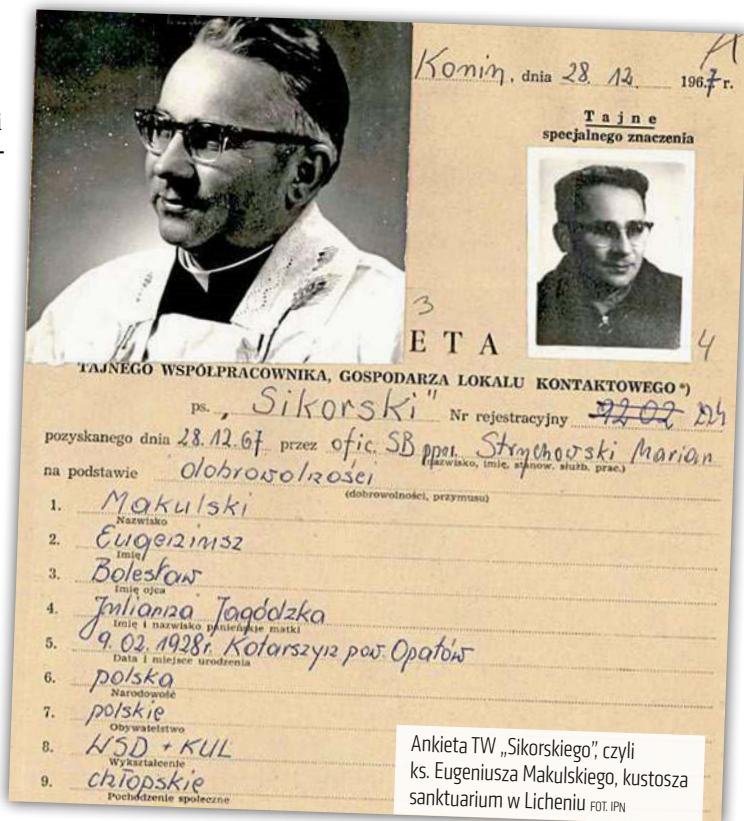
chłopakiem (najpierw jego sprawa jest przedmiotem śledztwa komisji kurialnej metropolity gdańskiego, a później tenże arcybiskup metropolita Leszek Sławoj Głódź podczas jego pogrzebu przedstawia go jako wzór cnót kapłańskich), jest wręcz skandaliczną kpina z ustalonych faktów. Jest też publiczną antycypacją przyszłych rozstrzygnięć korzystnych dla pedofila!

NIE TYLKO AGENCI SB

Część aktywnych, zwłaszcza w mediach społecznościowych, środowisk prawicowych na zaprezentowane w filmie Sekielskich przypadki księży pedofilów ma koronny argument – przecież w PRL byli oni agentami bezpieki! Współautor filmu, Tomasz Sekielski, przyznał, że większość antybohaterów jego filmu to agenci SB. Daleki jestem od pomijania i ignorowania tego kontekstu, ale zwyczajnie nie istnieje tak proste (by nie powiedzieć prostackie) przełożenie: ksiądz pedofil to agent SB! Pedofilia wśród kapłanów Kościoła katolickiego miała miejsce w Stanach Zjednoczonych, Irlandii czy Australii, gdzie zapewniam – nigdy nie istniał Departament IV MSW, a pedofilami nie byli tajni współpracownicy komunistycznych tajnych służb. I tak jest i było też w Polsce: to zjawisko szersze i wykraczające poza specyfikę negatywnej selekcji stanu duchownego, w której pewną rolę (nie wiemy, w jakiej skali) odgrywała bezpieka do 1989 r.

Jednak nawet stawianie równości między kościelną pedofilią a byciem agentem

SB jest u nas selektywne i manipulatorskie. Tak chętnie eksponuje się dzisiaj fakt współpracy niektórych księży ukazanych w filmie Sekielskich (zwłaszcza kapelana Lecha Wałęsy, ks. Franciszka Cybuli, o którym pisałem już w 2008 r., ale wówczas spotkał mnie za to „hejt”), ale już uwikłanie we współpracę z Zarząd II Sztabu Generalnego (wywiadem wojskowym PRL) jego obrońcy, metropolity gdańskiego (abp Głódź był traktowany jako źródło o kryptonimach/pseudonimach „BA-10” i „B-10”),



administrację kurialną polskiego Kościoła. W tej ostatniej warstwie jest to film może szczególnie smutny, bo nie ma nic gorszego jak pomniejszanie, relatywizowanie czy wręcz zaprzeczanie i wypieranie wiedzy o strasznych zbrodniach księży, którzy faktycznie nie są obłożeni jakimikolwiek karami kościelnymi, pełnią swoje różne funkcje kapłańskie, a ich ofiary nie otrzymują nie tylko wsparcia, lecz nawet także odpowiedzi na list. Przypadek ks. Franciszka Cybuli, który przyznaje się do molestowania i obcowania seksualnego z młodym

skrzętnie się pomija, udając niepoinformowanych. Bo „nasz”, prawicowy, popierający „dobrą zmianę” i atakowany przez liberałów... Nikogo dziś nie interesuje, że metropolita gdański odpowiadał w przeszłości za lustrację polskiego Kościoła i stanął nawet na czele specjalnej komisji episkopatu Polski, co dzisiaj szczególnie zakrawa na kpinę.

Druga strona robi podobnie – eksponuje sprawę „pierwszego pedofila z Tylawy”, by atakować wyłącznie byłego prokuratora Stanisława Piotrowicza, teraz posła PiS, zapominając, że metropolita przemyski abp Józef Michalik również traktowany był przez służby PRL jako informator „Zefir” (przed laty ta sprawa została sfalsyfikowana przez prawicę z pomocą jednego z historyków jako nieistotna).

LUSTRACJA ŹRÓDŁEM WIEDZY

Cała historia z filmem braci Sekielskich powinna nas zawrócić do czasów, kiedy ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski pisał swoją książkę „Księża wobec bezpieczeństwa przykladzie archidiecezji krakowskiej” (Kraków 2007). Mówił wówczas, zresztą sygnalizował to również we wspomnianej książce, że akta bezpieczeństwa na temat księży zawierają sporą wiedzę na temat przestępstw seksualnych księży oraz że należy dokonać analizy i weryfikacji dokumentacji IPN także pod tym względem. Dla dobra ofiar i z pożytkiem dla Kościoła. Był za to prześladowany, wyszydzany i marginalizowany w naszym Kościele. A ksiądz Isakowicz-Zaleski nie tylko miał rację, lecz także przewidział sytuację, w której się obecnie znajdujemy.

Diagnozę tego odważnego kapłana potwierdzi każdy historyk z IPN, który zajmował się kiedykolwiek sprawami Kościoła. W dokumentach SB jest sporo interesujących – zwłaszcza dla władz kościelnych – wątków dotyczących takich spraw (sam spotkałem się nawet z informacją tego typu dotyczącą jednego z biskupów). Problem w tym, że historycy nie będą o tym pisać ze zrozumiałych względów, a ludzi Kościoła, którzy mogliby to wyjaśnić i przeanalizować wewnętrznie, to kompletnie nie interesuje.

Kiedyś kard. Franciszek Macharski podczas ważkiego spotkania z historykami IPN zwrócił się z apelem: „Słuchajcie, sprawy damsko-męskie moich księży mnie nie interesują tak jak kwestie związane z homoseksualizmem i wykorzystywaniem dzieci. To jest ważne, by to

wyjaśnić, czytając także dokumenty SB”. Był odosobniony, stary i zmarł.

Weźmy sprawę pierwszą z brzegu. Głośną kiedyś awanturę związaną z pewnym znanym księdzem kojarzonym z „Gazetą Wyborczą”... O ile kwestię jego współpracy z SB potraktowano poważnie (sprawę odkrył i opisał najrzetelniej Tadeusz Witkowski), o tyle już wątki pedofilskie w jego teczkach skrzętnie pominięto, mimo że SB wyraźnie pisała, iż „w sierpniu 1960 r. uzyskano materiały kompromitujące (zbroczenie płciowe i demoralizowanie nieletnich)”. Zresztą ten znany ksiądz sam zainteresował się problematyką pedofilską w Kościele, a w jego aktach agenturalnych jest sporo „naprowadzeń” na księży mających z tym problem.

TW „Jankowski” starał się zgłębić to zjawisko i podjął nawet studia w swoim zakresie, o czym tak pisał do kolegi kapłana w 1961 r.: „Niedawno czytałem dosyć interesującą książkę naukową nie

**Upadek dyscypliny,
życia wspólnotowego,
biznesu i laicyzacji
są typowymi patologiami
współczesnego Kościoła**

z mojej dziedziny, mianowicie »Omo-sessualita maschile e femminile« dra Antonio Gandin. Autor rozróżnia m.in. homoseksualizm wrodzony i nabyty, całkowity i częściowy, nieusuwalny i ustający z ustaniem nienormalnych warunków życia etc. Przyczyny tej nienormalności seksualnej dzieli na cztery grupy, wśród nich m.in. przyczyny środowiskowe, np. kolegia, więzienia, seminaria, i przyczyny fizyczne, np. fimosis; to ostatnie raczej nie przyczyna, lecz okoliczność, która może pomóc w nabyciu zbroczenia przy sprzyjających innych nienormalnych okolicznościach. Co do przyczyn środowiskowych, to je znam na własnej skórze jak mało kto; młodzi księża spodziewają się od Soboru reform wyższych seminariów, a małe seminaria powinny w ogóle być zamknięte jako zbrodnie przeciwko chłopcom. Co do fimosis, to [...] Piszę Ci to wszystko nawiązując do naszej dawnej dyskusji na ten temat, tak bolesny społecznie”.

Środowisko, w którym ów ksiądz przez dekady funkcjonował i wciąż funk-

cjonuje, jest dziś na szpicy (i słusznie) walki z pedofilią w Kościele, ale zapomina się, że kiedy wybuchła cała afera z TW „Jankowski”, to ten jakże znaczący wątek pedofilsko-obyczajowy konsekwentnie pomijano.

PRZYZYNY I ŚRODKI ZARADCZE

Wszystko, o czym tu napisałem, składa się na katastrofę, w której znalazły się polski katolicyzm i Kościół. Jest to i tak za ledwie tylko fragment łańcucha przyczyn prowadzących do obecnego stanu. Polski Kościół, nasi biskupi i ważniejsi w hierarchii kapłani są przecież częścią Kościoła powszechnego i dzielą z nim wszystkie stany posoborowego kryzysu, który wciąż kroczy, nie chcąc się zatrzymać. Upadek moralności był również częścią życia Kościoła przed Vaticanum II, ale upadek dyscypliny, życia wspólnotowego i religijnego, nowinkarstwo teologiczne, kolegializm, rewolucja seksualna, lobby homoseksualne w Kościele, biznesy i laicyzacja duchowieństwa... są już typowymi patologiami współczesnego Kościoła.

W naszych warunkach to wszystko zyskuje nieco specyficzny kształt, bo polski Kościół w formie rządzenia, sposobie bycia hierarchii, pewnej apodyktyczności i nieznoszenia już nie tylko krytyki, lecz także nawet życzliwego doradztwa, przypomina Kościół sprzed Soboru Watykańskiego II. Ale tylko w tym, co nie dodaje mu chwały, bo przecież każdy ksiądz czy środowisko domagające się zdrowej nauki, starej liturgii czy lustracji traktowane jest podejrzliwie i spychane na margines. Duża część naszych biskupów i hierarchii łączy to wszystko z jakąś megalomanią, obłudnym kultem żyjących kapłanów, którym za życia stawia się pomniki pod pozorem wyrażenia rodzajowych scenek z Janem Pawłem II, a ich wizerunkami zdobi się kiczowate witraże naszych kościołów. Historia bezkarności i kultu ks. Henryka Jankowskiego (KO ps. Delegat/Libella w latach 1980–1982) czy pomnika i witraży ks. Eugeniusza Makulskiego (TW ps. Sikorski w latach 1967–1989) z Lichenia, który stał się antybohaterem filmu braci Sekielskich, jest tego najlepszym przykładem. Niestety, te zjawiska nie dotyczą jedynie tych dwóch kapłanów...

Cała nadzieja w tysiącach dobrych kapłanów, duchownych i sióstr zakonnych. Oni są i wydadzą owoc!

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNERZY



Potrzeba oczyszczenia



Tomasz Rowiński

Film braci Sekielskich, który opisuje kilka przypadków przestępstw seksualnych popełnianych przez księży – jakkolwiek by to brzmiało paradoksalnie – jest szansą dla polskich hierarchów

Mimo zaniedbań jest moment, by sprawy seksualnych drapieżników, pojawiających się także w środowisku kościelnym, po prostu załatwiać po katolicku, zgodnie z zasadą sprawiedliwości. Jeśli szansa nie zostanie wykorzystana, to „po katolicku” będzie dla wielu ludzi od dziś oznaczało po prostu „w sposób hańbiący”. A nam, wiernym świeckim i większości księżom, pozostanie bolesny wstyd. Przy całej fali oburzenia związanej z filmem nie można bowiem zapominać o tysiącach polskich

księży, których w ich masie przecież statystyki nie oskarżają. Problem jednak polega na tym, że w niektórych przynajmniej przypadkach przełożeni w polskim Kościele zachowali się fatalnie.

Trzeba tę sprawę oceniać jednoznacznie. Nie może być tak, że księży, którzy zawinili, są przenoszeni z miejsca na miejsce bez ponoszenia realnej odpowiedzialności, bez kar. Nieuchronnie trzeba wrócić do pytań o to, jak bardzo obecna jest w polskim Kościele kultura milczenia, jak duże jest przyzwolenie na łamanie, w rozmaity sposób, szóstego przykazania. Niemal powszechne zaniechanie dyscypliny kościelnej jest katolickim problemem przynajmniej od kilkudziesięciu lat. Widać to także w filmie – choć procedury są (choćby te, by do seminariów nie dopuszczać osób o utrwalonej skłonności homoseksualnej, nie mówiąc o prawie kanonicznym), to po prostu nie zadziałały, a raczej – co ukazuje winę – nie zostały zastosowane.

Niestety, choć można było w ostatnich dniach spotkać opinie, że polscy biskupi nie chcą się wzorować na radykalizmie papieża Franciszka, to trzeba przyznać,

że ze Stolicy Apostolskiej nie płynie wcale dobry przykład. Zarówno w sprawie afery chilijskiej, jak i w sprawie byłego kardynała McCarricka papież i jego bliskie otoczenie znajdują się raczej w niezbyt chlubnym cieniu. Co więcej, jest tajemnicą poliszynela, że Franciszek po tym, jak został papieżem, wyczyścił kongregację ds. biskupów, która za czasów Benedykta XVI była skutecznym i zniechodzoną w wielu miejscach narzędziem przywracania porządku moralnego w Kościele. Przypomnijmy też rezygnację Marie Collins, świeckiego członka Papieskiej Komisji ds. Ochrony Nieletnich, która z niej odeszła z powodu oporu i braku współpracy ze strony watykańskiej.

Rzeczywista siła filmu Tomasza Sekielskiego i jego brata polega na pokazaniu wszystkich szczegółów opowiedzianych spraw. Jak zauważył jeden z komentujących w Internecie – czym innym jest czytać o wypadku drogowym, a czym innym zapoznać się z dokumentacją zawierającą zdjęcia rozerwanych zwłok. W filmie zwłoki są, jest arogancja duchownych, są emocje ofiar i zachowanie seksualnych drapieżników, jest milczenie hierarchów

(poza fatalną wypowiedzią abp. Leszka Głódzia), są zamknięte drzwi kościelnych instytucji. Rzecz jasna wiele z tego, tak jak w każdym filmie, znajduje się we wzmocnieniu retorycznym, jednak nie można tego wzmocnienia przeceniać.

W książce „Alarm dla Kościoła. Nowa reformacja?“, którą napisaliśmy razem z Pawłem Milcarkiem, jeden z naszych rozmówców, kapłan i misjonarz, mówił nam – wówczas w kontekście filmu „Kler” Wojciecha Smarzowskiego: „Z dużym dystansem odnoszę się do wszelkich prób metaforycznego podsumowania doniesień o koszmarnych nadużyciach seksualnych, tak bezwzględnie widocznych już od kilku lat w kapłaństwie katolickim. Czasem ktoś pisze, jakby dla znieczulenia, używając kulawych metafor: »to trzęsienie ziemi« lub »to tsunami w Kościele«. Operowanie banalnymi metaforami w stosunku do dewiacji, jakie śmiertelnie zainfekowały stan kapłański, przypomina mi dmuchanie w nikły płomyk papierosa palonego na tle pożaru całego miasta. Problemu nie da się ani wyjaśnić, ani załagodzić finezyjną metaforą lub odnoszeniem się do statystyk, twierdząc, że być może w stanie kapłańskim problem pedofilii jest procentowo mniejszy niż w sektorach innych profesji”. Nasz rozmówca, choć zaznaczył, że zapewne nic go nie łączy ze Smarzowskim, w pełni zgadza się z jego opinią, że książka to nie jest zwykły zawód i dlatego nie da się seksualnych przestępstw księży porównywać do podobnych czynów świeckich ludzi. Należy dopowiedzieć, że nie chodzi tu o to, by pedofilię kapłanów oceniać w izolacji; również w izolacji od statystyk. Są takie dyskusje, w których kontekst wiele znaczy, np. dyskusja o tym, czy Kościół to „pedofilska mafia”.

CO SIĘ TRACI

Ze sprawą przestępstw seksualnych jest analogicznie jak ze sprawą braku rozliczenia Kościoła z lustracją. Wiemy zresztą, że sprawy pokazane w filmie Sekielskiego wiążą się w przypadku księży Cybuli i Makulskiego z uwikłaniem we współpracę z SB. Nie może być mowy o stawianiu jakiegos niegodziwego interesu ludzi instytucji ponad jej fundamentalnymi zasadami. Szczególnie widać to w przypadku Kościoła, którego cały sens istnienia polega na służbie Bogu i człowiekowi, głoszeniu oprócz prawd zbawczych zasad sprawiedliwości i godności ludzkiej. Oczywiście, że niejednokrotnie Kościół bywa atakowany za to właśnie, co głosi. Jak jednak

hierarchowie mogą nie zauważać sytuacji, w których dla obrony jakiegoś dobra zaczynają posługiwać się ewidentnym złem? Niezdolność do zareagowania na infiltrację duchowieństwa przez SB jest podobna do niezdolności reakcji w sprawach przestępstw seksualnych. Czy to oznacza, że hierarchowie w Polsce nie posiadają moralnej autonomii? Nie potrafią kierować się nonkonformizmem zasad?

Zadam jeszcze jedno pytanie biskupom i przełożonym, którzy mają coś na sumieniu. Czy nie rozumieją, że niszczą wiarygodność zasad, których Kościół niejednokrotnie jest ostatnim obrońcą? Czy nie słyszą radości, z którą dziś zwolennicy zabijania nienarodzonych dziś mówią, że biskupi utracili „moralne prawo”?

Świeccy i duchowni po raz kolejny wychodzą z wielokrotnie powtarzanymi propozycjami, by hierarchowie jednoznacznie wyszli z logiki omerty i stosowali prawo kanoniczne i dyscyplinę. Jedni zwracają uwagę na konieczność bezwzględnego laicyzowania duchownych sprzeniewierzających się swojej misji, inni – tak jak o. Tomasz Grabowski – proponują, by dać „szansę podjęcia dodatkowej pokuty, która ma być nawracająca dla przestępcy i wynagradzająca dla Kościoła za szkodę, jaką poniósł”.



Biskupi powinni dokonać rewizji wszystkich spraw seksualnego napastowania z przeszłości, które mogły nie zostać właściwie wyjaśnione

„Myślę, że pokutnicy w stanie duchownym byłiby znakiem dla pozostałych i zachętą do modlitwy i gorliwości” – pisał na swoim Facebooku dominikanin. Czas te rady wcielić w życie. Niestety, cały Kościół tkwi w marazmie dyscyplinarnym, który przecież przez lata był celem liberalnego świata – teraz najbardziej Kościół atakującego.

Tyle można powiedzieć o filmie jako emocjonalnym impulsie, który zapewne umocnił w niechęci do Kościoła tych, którzy już wcześniej byli mu niechętni, który sprawił wiele bólu chrześcijanom. Trudno jednak robić wyrzuty braciom Sekielskim, że nakręcili materiał o sprawie, która wysoko znajduje się w hierarchii publicznego zainteresowania. Gdyby nie było okropieństw czynów, to nie byłoby takiego filmu, co najwyżej jakiś antyklerykalny kapiszon. Warto zauważyć, że Tomasz Sekielski dwa dni po filmie na swoim vlogu zdystansował się od antyklerykalnej narracji, od wykorzystywania filmu przeciwko księżom jako takim, od mówienia o nich jako kaście.

KILKA ZARZUTÓW

Trzeba jednak filmowi postawić pewne zarzuty. Można usłyszeć, że film jest porównywalny z serią artykułów z „Boston Globe”, które w 2002 r. wstrząsnęły Ameryką. Precyzyjnie pokazywały bowiem skalę przestępstw i nadużyć seksualnych, które dotknęły Kościół w Ameryce. Dwa lata później episkopat amerykański opublikował niezależny raport dokładnie opisujący przypadki molestowania od roku 1950. W „Boston Globe” świat przeczytał precyzyjny opis systemu i poznał liczbę przypadków. A czy z filmu Sekielskich dowiadujemy się o reakcjach Kościoła na przestępstwa pedofilskie poza wąskim zestawem przykładów? Nie. Czy dowiadujemy się o skali tych przypadków? Nie. Czy dowiemy się, na czym polega psychologia ulegania zwyrodnialcowi? Też nie.

Niezależnie od intencji film Sekielskich wpisuje się w przynajmniej dwa porządki i oba, jak sądzę, udało się powyżej zarysować. Pierwszy to bezwzględna potrzeba oczyszczenia Kościoła przez nawrócenie do stosowania katolickich zasad. Biskupi powinni dokonać rewizji wszystkich spraw seksualnego napastowania z przeszłości, co do których mogłyby pojawić się jakiejkolwiek wątpliwości, że nie zostały właściwie wyjaśnione. Drugi to antykatolicka propaganda, w której nurt film się wpisuje. Dobrze, że Sekielski odciął się od uderzenia totalnego na Kościół. To nie osłabi tych, którzy wykorzystają każdy dostępny środek, by niezależnie od kontekstu maksymalnie dewastować chrześcijańskie instytucje. Chociaż największej dewastacji dokonali tu sami duchowni, to w poważnej dyskusji intencje i cele wszystkich osób dramatu są ważne, podobnie jak ich zasady i cierpienie ofiar.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wszystkie [...] przedstawione fakty dotyczą człowieka, który jest premierem Rzeczypospolitej Polskiej. Co więcej, władza tego człowieka w praktyce może przekraczać nawet uprawnienia konstytucyjne premiera [...]. Wszystkie te fakty dotyczą człowieka, który kieruje Polską w trudnym dla niej okresie. Nasz kraj przesuwa się dalej i dalej na Wschód, w stronę Kremła [...]. Tyle faktów. Czas wyciągnąć z nich wnioski” – dramatycznym tonem alarmuje Tomasz Piątek, publicysta „Gazety Wyborczej”, w swojej najnowszej książce „Morawiecki i jego tajemnice” (Arbitror 2019) wydanej, jak można wyczytać między wierszami tego „dzieła”, nie przypadkiem tuż przed wyborami do Parlamentu Europejskiego. Stylistyka publikacji Piątka utrzymana jest w typie jego wcześniejszych książek m.in. „Macierewicz i tajemnice” czy paszkwilu na temat Jana Pawła II („Antypapież”).

Dużo pomówień (z ostrożności procesowej stawianych w formie pytań), kilka niezwiązanych ze sobą faktów podlanych sosem teorii spiskowej, sensacyjna narracja nieznajdująca potwierdzenia w tychże faktach i masa merytorycznych błędów. Gdyby w polskich księgarniach przeznaczać osobne półki na paranoiczną literaturę spiskową, byłaby na nich cenną pozycją.

JAK ZOSTAĆ AGENTEM

„Morawiecki i jego tajemnice” ukazała się w księgarniach w ubiegłym tygodniu. Zbudowana jest dokładnie na tej samej zasadzie co wcześniejsza książka Piątka o Macierewiczu. Ilustruje ją kilka diagramów mających wskazywać na rzekome powiązania premiera Mateusza Morawieckiego i jego współpracowników oraz ludzi, z którymi stykał się w swojej działalności – a to z rosyjską mafią, tzw. mafią solneczką, a to wręcz z Kremlem. I już sam sposób, w jaki graficznie Piątek chciał wykazywać powiązania części osób z prawej strony życia publicznego w Polsce z rosyjskimi służbami, wzbudził śmiech zajmujących się tematyką śledczą dziennikarzy.

– Jestem świeżo po lekturze książki Tomasza Piątka i mogę podsumować ją bardzo krótko: stek bzdur, nonsensów i insynuacji. Facet próbuje łączyć rzeczy, których łączyć się nie da, które nie mają ze sobą nic wspólnego i które nie mają żadnego potwierdzenia w faktach. Zastanawiam się, jak w ogóle można było stworzyć coś takiego – mówi dziennikarz Piotr Nisztor.

Jak zostać rosyjskim agentem? Z diagramów zamieszczonych w książce Piątka



Wojciech Wybranowski

Lubisz kuchnię rosyjską? Zwiedzałeś plac Czerwony? A może masz prawicowe sympatie? Dziennikarzowi „Gazety Wyborczej” to wystarczy, by uznać, że masz niejasne związki z GRU i rosyjską mafią



Jak udowodnić wszystko

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FOTUM

wynika, że prosto. Na przykład: minister cyfryzacji w rządzie Morawieckiego – Adam Andruszkiewicz – jest znajomym pośła PiS Sylwestra Chruszcza. Ten w przeszłości współpracował z liderem partii Zmiana Mateuszem Piskorskim, podejrzanym obecnie o szpiegostwo na rzecz Rosji i Chin. Wniosek? Prosta linia powiązań prowadzi od Morawieckiego do Kremla i GRU. – Paradne. Zastanawiałem się nawet nad pozwaniem Piątka, ale jego książka i „śledztwo” jest tak komiczne, że nie warto robić mu reklamy – komentuje poseł Chruszcz.

Jest też i inna linia powiązań. Morawiecki należy do tej samej partii co eurodeputowany PiS Ryszard Czarnecki. Ten jako wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego miał obserwować wybory w Azerbejdżanie, które wygrał İlham Alijew, syn oficera KGB, powiązany z Putinem. Wniosek Piątka? Morawiecki powiązany jest z Putinem.

„Ktoś przesłał mi grafikę autorstwa p. Piątka. Myślałem, że to żart. Ale podobno naprawdę coś takiego w tej książce jest... Red. Piątkowi podsuwam pomysł na następną książkę: w 1940 ulicą, przy której mieszkam w Krakowie, przejechał Hans Frank. Przypadek?” – kpił na Twitterze wicepremier Jarosław Gowin.

W książce Piątka można też przeczytać m.in., że ojciec Mateusza Morawieckiego, legendarny przywódca Solidarności Walczącej i jeden z najbardziej prześladowanych przez SB opozycjonistów w czasach PRL, miał być rzekomo chroniony przez komunistyczną służbę bezpieczeństwa. A także, że ujawniona przez dziennikarzy tygodnika „Wprost” słynna „afera taśmowa”, z której wiele wątków nagłośnił również tygodnik „Do Rzeczy”, to rosyjska prowokacja, która miała obalić rząd Donalda Tuska i dać władzę Mateuszowi Morawieckiemu. To, że zmiana władzy była wynikiem demokratycznych wyborów, a pierwszym po nich premierem centroprawicowego rządu była Beata Szydło, Piątek ignoruje.

„Wiele wskazuje, że PiS mógł ten prezent dostać od Rosjan. Przeprowadzenie i ujawnienie nagrań najprawdopodobniej stanowiło operację zainspirowaną i kontrolowaną przez ludzi Kremla” – pisze Piątek, choć tego wyводу niczym nie popiera. Ignoruje też wyniki śledztwa prowadzonego w tej sprawie przez prokuraturę i ABW. Ma za to mocne „autorytety” potwierdzającego jego teorie. „[...] Z tym wnioskiem zgadzają się eksperci i autorytety tak różne jak Donald Tusk, Timothy Snyder i Jacek Żakowski” – przekonuje Piątek.

– Słuchałam, a potem czytałam fragment tego „dzieła”. Do kosza to się nadaje – stwierdziła Agnieszka Burzyńska z „Faktu”, jedna z autorek materiałów o „aferze taśmowej”.

Podobnych kuriozalnych tez Piątka mających potwierdzać sugestie, jakoby Morawiecki był powiązany z Kremlem, jest w jego dziele więcej. Dowody? Podobnie „ważne”. A to, że udał się na Białoruś, by rozmawiać o otwarciu wschodniego rynku zbytu dla polskich produktów, a to, że publicznie mówił, iż to Niemcy odpowiadają za Holokaust. Co to ma wspólnego z prorosyjskością? Tutaj trzeba zacytować Piątka. „W listopadzie Mateusz Morawiecki publicznie oskarżył o hitlerowskie zbrodnie Niemców i niemieckość jako taką, czyli niemiecką tożsamość etniczną. [...] Przypomnijmy, że Niemcy to największy polityczno-gospodarczy partner Polski

Według Piątka oprócz Morawieckiego cichym sojusznikiem Kremla i wschodnich służb ma być też Paweł Kukiz

na Zachodzie [...] – wywodzi Piątek, by w dalszej części swojej książki, w rozdziale zatytułowanym „Znaczenie rządów PiS dla naszego codziennego życia. Koniunktura, tyrania i nędza. Polska przesunięta na Wschód”, przekonywać, że „Nasz kraj rozpoczął dryf na Wschód, ku Kremlowi. Wiemy już, że zwrot nie jest dziełem przypadku. Wielkie zamieszanie z lat 2014–2015, które wyniosło do władzy Kaczyńskiego i Morawieckiego, było wynikiem działań rosyjskich służb specjalnych [...]”. Dowody? Oczywiście nie wymienia.

W SŁUŻBIE PUTINA

Według Piątka obok samego Morawieckiego i PiS, oprócz narodowców i działaczy dawnej Solidarności Walczącej, cichym sojusznikiem Kremla i wschodnich służb mają być także Paweł Kukiz i jego współpracownicy. A nawet nasz tygodnik. Jak „Do Rzeczy” połączył z rosyjską agencurą? Zniewalającą logiką. Otóż w 2013 r. Paweł Lisicki opublikował wstępniak „Siła kobiecych paznokci”, w którym pochylił się nad rosyjską ustawą karzącą grzywną za ostantacyjną homopropagandę. Rok później, w 2014 r. – jak wylicza Piątek – na

okładce naszego tygodnika zapowiadaliśmy symbolicznym zdjęciem tekst Waldemara Łysiaka przestrzegającego przed bezkrytycznym zbliżeniem Polski i Ukrainy. I wreszcie w 2016 r. opublikowaliśmy wywiad Macieja Pieczyńskiego, naszego dziennikarza specjalizującego się w tematyce wschodniej, z rosyjskim ideologiem Aleksandrem Duginem, rozpoczynając w ten sposób dyskusję o polskiej polityce wschodniej.

Piątek śladów rosyjskiej agentury szuka też na naszym portalu DoRzeczy.pl. Wyliczył, że na naszej stronie internetowej w różnych artykułach częściej pojawia się nazwisko urzędującego premiera Mateusza Morawieckiego niż byłej premier Beaty Szydło. Nie zastanawia się nawet nad tym, że na portalu DoRzeczy.pl część informacji stanowią te cytowane za innymi mediami. Nie wie nawet, że portal i tygodnik to dwie różne redakcje. Więc pytając o treści z sieci, pyta: „Czy to ma jakiś związek z tym, że »Do Rzeczy« jest nie tylko jawnie propisowskie, lecz także zdecydowanie prokremlowskie?”

– Jeśli dowodem na naszą rzekomą prokremlowskość jest fakt, że co tydzień Maciej Pieczyński przedstawia, jak nas piszą na wschodzie”, to oświadczam, że u nas zasada „nie chcesz mieć gorączki – stłucz termometr”, nie obowiązuje. Wydaje mi się, że autor zarzutu miał tu oczy szeroko zamknięte. Przy okazji zdaje się, że cykl ten znalazł naśladowców z kręgów bliskich panu Piątkowi – komentuje Antoni Trzmiel, szef portalu DoRzeczy.pl

Tomasz Piątek to literat i publicysta o mocno lewicowych poglądach. W przeszłości związany był z ultralewicową „Krytyką Polityczną”, skąd w 2013 r. został w trybie pilnym usunięty. Używając nazwy periodyku jako parawanu, pisał bowiem do reklamodawców ogłaszających się w naszym tygodniku nakłaniając ich do zerwania współpracy z nami, i kłamliwie oskarżał „Do Rzeczy” o wspieranie prześladowania homoseksualistów przez Putina. Wcześniej domagał się wyrzucenia z brytyjskiego „Guardiana” światowej sławy karykaturzysty Andrzeja Krauzego (został przez brytyjską redakcję zignorowany). W 2017 r. wydał książkę „Macierewicz i jego tajemnice”, w której próbował udowodnić związki byłego szefa MON z Kremlem i rosyjską mafią. Jego dzieło zostało zmiażdżone na łamach „Do Rzeczy” przez dr. Sławomira Cenckiewicza i dr. Dominika Smyrgałę.



Łukasz Zboralski

Sędziowie to zamożna warstwa Polaków, z gwarantowanymi dobrymi zarobkami. Są wśród nich milionerzy, ale są i tacy, którzy nie dotrzymają do wypłaty bez chwiliówki

To był jeden z punktów wyborczych Prawa i Sprawiedliwości – uczynić jawnymi majątki sędziów i prokuratorów. Gdy w 2016 r. powstawała nowelizacja zobowiązująca do upubliczniania oświadczeń majątkowych, część przedstawicieli tych zawodów nie chciała się z tym pogodzić. Przekonywano, że gdy przestępcy dowiedzą się np. o mieszkaniu sędziego, to mogą je spalić. Inni w 2017 r. zastosowali kruczek prawny, składając swoje oświadczenia dzień przed wejściem w życie nowego prawa.

Okazywało się, że nawet gdy nie upubliczniano oświadczeń, sędziowie nie do wszystkiego się w nich przyznawali. W ubiegłym roku przed sądem dyscyplinarnym stał prezes Sądu Okręgowego w Świdnicy (obecnie w stanie spoczynku), który nie przyznał się do posiadania polis ubezpieczeniowych oraz polisolekat i według rzecznika dyscyplinarnego nie ujawnił posiadanych ok. 60 tys. zł. Pod koniec stycznia tego roku Izba Dyscyplinarna Sądu Najwyższego orzekła wobec niego karę nagany (wyrok SN z 30 stycznia 2019 r., II DSS 16/18).

Warto przy tym wspomnieć, że w ubiegłym roku 20 sędziów Sądu Najwyższego, w tym dwóch z Izby Dyscyplinarnej, zastrzegło jednak przed dostępem publicznym swój stan posiadania – bo prawo im to umożliwia (decyzje podejmują prezesi sądów).

Pytania o majątki sędziów wracały też w debacie publicznej. Najgłośniejsze w czasie, gdy reformowano wymiar sprawiedliwości. To wówczas na billboardach kampanii Polskiej Fundacji Narodowej przypomniano m.in. przypadek sędziego z Tarnobrzega, który (wprawdzie dekadę wcześniej) wpadł na kradzież kielbasy w markecie w Stalowej Woli.

Wiele emocji wywołała też sprawa sędziego ze Szczecina, który był obwiniony o kradzież ze sklepu elementu

wiertarki kosztującego ok. 95 zł. Sąd Najwyższy uznał, że wyrzucanie go za to z zawodu byłoby zbyt surową karą. Obcięto mu wynagrodzenie przez dwa lata o 20 proc. i nakazano zapłacić 50 tys. zł.

Sąd Najwyższy okazał się też dość wyrozumiały w sprawie sędziego z Sądu Rejonowego w Żyrardowie, którego oskarżono o to, że wziął położony na ladzie stacji benzynowej cudzy banknot o nominale 50 zł. SN uznał, że sędzia po prostu był roztargniony, i nie wymierzył mu żadnej kary.

CO UTAJNIAJĄ

Dopiero dziś wiadomo, jak na tle przeciętnych Polaków sytuują się sędziowie pod względem zamożności. Firma doradcza Bridge opublikowała przygotowany z firmą 3D raport, w którym przeliczono i przeanalizowano oświad-

opublikować ten raport na koniec ubiegłego roku, ale dużo trudności sprawiało przeliczanie instrumentów finansowych. Przy samym wpisywaniu danych z oświadczeń do systemu pozwalającego na obróbkę danych długo pracowali cztery osoby. Dlatego udało się nam to przedstawić dopiero teraz.

Analitycy wskazywali też, że niemałym kłopotem był brak standardów przy składaniu oświadczeń przez sędziów.

W różnych apelacjach robią to do dziś różnie. Na przykład sędziowie

z apelacji warszawskiej, wpisując do oświadczeń posiadane samochody, unikali podawania ich marek. Te bez problemu podawali sędziowie z dwóch pozostałych apelacji.



Portfel Temidy

czenia majątkowe sędziów za 2018 r. Eksperci wybrali trzy apelacje, w różnych miejscach kraju: warszawską, szczecińską i rzeszowską, których obszar mniej więcej pokrywał się z obszarami administracyjnymi odpowiednich województw.

– Był wielki spór wokół reformy sądów i chcieliśmy do niego wnieść twarde dane – tłumaczył na konferencji Piotr Wysocki, szef Bridge. – Zamierzaliśmy

Drugi poważny problem przy szacowaniu majątków polskich sędziów to nieruchomości. W oświadczeniach sędziowie nie podają adresów, np. działek. Trudno więc oszacować, ile naprawdę warte jest to, co dziś mają.

PENSJE I DORABIANIE

Z analiz Bridge wynika, że polscy sędziowie na tle przeciętnych Polaków

są dość zamożną grupą, z relatywnie wysokimi pensjami i dobrym zabezpieczeniem socjalnym. Większość nich jest w sile wieku – średnia to 46 lat – i zdecydowana większość pracę w wymiarze sprawiedliwości zaczęła już po 1989 r.

Ich zarobki uregulowane są w konstytucji i odniesione do średniej krajowej. W 2018 r. sędziowie rejonowi zarabiali więc powyżej 11 tys. zł brutto. Największe pensje mieli sędziowie sądów apelacyjnych – ci zarabiali powyżej 17 tys. zł brutto.

Sędziowie po uzyskaniu specjalnych zgód prezesów sądów mogą też dorabiać, np. wynajmując nieruchomości, prowadząc wykłady, szkolenia czy tworząc publikacje. Korzysta z tego średnio co trzeci sędzia. W sądach apelacyjnych dodatkowy dochód deklaruje prawie połowa sędziów (44 proc.). Średnio dorabiają rocznie 20 tys. zł. Zdarzają się jednak tacy, którzy zarabiają dużo więcej.

Watchdog Polska, która m.in. kontroluje działalność instytucji publicznych. – Biorąc pod uwagę skalę pracy, którą sędziowie wykonują, zwłaszcza ci w sądach rejonowych, powinni zarabiać tyle, ile potrzeba na życie i by czuć się bezpiecznie oraz stabilnie. Ci ludzie podejmują duże wyzwania związane z wiedzą oraz moralnością, muszą czuć się niezależni. Oddzielnym problemem są niskie płace pozostałych pracowników administracyjnych w wymiarze sprawiedliwości – zauważa.

DUŻE OSZCZĘDNOŚCI I DŁUGI

Przy tak stabilnych zarobkach nie jest zaskoczeniem, że sędziowie mają zwykle więcej oszczędności niż przeciętnie Polacy. A nawet sporo więcej. 91 proc. sędziów badanych przez Bridge posiadało oszczędności pieniężne (przy średniej przeciętnych mieszkańców kraju – 69 proc.). Tylko w złotówkach sędziowie mają odłożone średnio 125 tys. zł. Dla porównania – przeciętna wartość aktywów finansowych gospodarstw domowych według NBP wynosi 41 tys. zł, przy czym w składzie takich aktywów

z sądu rejonowego z apelacji warszawskiej – blisko 2,5 mln zł. A oprócz tego przyznała się też do posiadania ponad 100 tys. dol., blisko 3 tys. euro oraz we współwłasności małżeńskiej: domu o powierzchni 140 mkw., mieszkania o powierzchni 56 mkw., działki o powierzchni 1,5 h i trzech samochodów. Powyżej 1,5 mln zł posiadali też sędzia okręgowy z apelacji warszawskiej i sędzia rejonowy z apelacji szczecińskiej.

Sędziowie mają też więcej zasobów ulokowanych w udziałach i akcjach: 9 proc. z nich tak inwestuje swoje pieniądze (według NBP średnio 2 proc. Polaków ma akcje). Wybierają głównie spółki Skarbu Państwa.

Nie jest też rzeczą zaskakującą, że sędziowie są poważnie zadłużeni – mają jednak dużą zdolność kredytową. 59 proc. sędziów ma kredyt hipoteczny lub pożyczkę sędziowską na cele mieszkaniowe (gdy ogólnie tylko 14 proc. gospodarstw domowych w Polsce ma kredyt mieszkaniowy). Głównie są to kredyty w złotych (63 proc. wszystkich kredytów), rzadziej we frankach szwajcarskich (25 proc.) i euro (6 proc.). Zadłużeni sędziowie mają średnio jeszcze do spłaty 235 tys. zł. Najbardziej zadłużeni sędziowie – wśród badanych oświadczeń wykryto takich dziesięcioro – mają po cztery kredyty mieszkaniowe. Zadłużenie każdego z nich przekracza w sumie 1 mln zł.

Prawie co trzeci sędzia ma też inne zadłużenie, średnio do spłaty ma 36 tys. zł pożyczek innych niż na cele mieszkaniowe. Wśród badanych oświadczeń znalazło się czworo sędziów (2 proc. wszystkich) z poważnym zadłużeniem. Najwięcej wierzycielności miała sędzia rejonowa z apelacji rzeszowskiej. W sumie zadłużona była w ubiegłym roku na ponad 0,5 mln zł. Miała kredyty konsolidacyjny, konsumpcyjny, gotówkowy, kartę kredytową, a nawet chwilówkę.

– Nie wydaje mi się, że poważne zadłużenie i chwilówki mogą wpływać na pracę takich sędziów – uważa Szymon Osowski. – To mogą być różne życiowe sytuacje, to są pojedyncze przypadki. No i nie znamy danych z lat poprzednich, tylko z jednego roku. Można by się zastanawiać, czy to może stanowić problem, gdyby takie zadłużenie sędziego było widoczne w dłuższym czasie.

Mediana, która lepiej wyraża średni stan posiadania, jest następująca: sędziowie – 49 tys. zł (same zasoby w polskiej walucie), polskie gospodarstwo domowe – 15 tys. zł (aktywów finansowych).

Wśród badanych oświadczeń wyłowiono wśród sędziów 12 milionerów. Ci, których zasoby pieniężne przekraczają milion złotych, stanowią 0,4 proc. wszystkich. Dziewięcioro spośród nich to kobiety. Najwięcej zadeklarowała sędzia

wów

uwzględ-

nia się także

m.in. akcje, obligacje, fundusze emerytalne.

Na przykład pani sędzia z sądu rejonowego na Rzeszowszczyźnie dorobiła w ubiegłym roku blisko 700 tys. zł. Sprzedała jedną nieruchomość, trzy wynajmowała, miała też wykłady. Inna kobieta z sądu rejonowego tej samej apelacji dostała 340 tys. zł darowizny od męża. Dwóch sędziów z sądów apelacyjnych w apelacji warszawskiej wykazało dodatkowe dochody na kwotę 330 tys. i 248 tys. zł.

– W sądownictwie powinno się więcej zarabiać – komentuje te dane Szymon Osowski, prawnik z Sieci Obywatelskiej



FOT. ADOBE STOCK



Łukasz Warzecha

Część środowiska naukowego nie oczekiwała rzetelnej oceny dorobku Andrzeja Zybertowicza, ale skutecznego zablokowania jego wniosku o profesurę

Przystępuję do napisania tytułowej opinii na podstawie wyłącznie pracy naukowej, dydaktycznej i organizacyjnej Andrzeja Zybertowicza. Jego działalność publiczna i jego związana z tym publicystyka nie podlegają w niniejszej recenzji (opinii) żadnej ocenie, gdyż nie mają wpływu na ostateczne wnioski – tak rozpoczyna prof. Marcin Król swoją recenzję dorobku toruńskiego naukowca, sporządzaną dla Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów (CK). Wstęp jest modelowy, bo tak też powinno wyglądać recenzowanie dorobku naukowego kandydatów do belwederskiej, czyli zwyczajnej profesury. Niestety, sama recenzja już modelowa nie jest, podobnie jak modelowe nie było całe postępowanie w tej sprawie.

Punkt 2 spisu dobrych praktyk, który widnieje na stronach CK, mówi: „Recenzent biorący udział w ocenie wniosku powinien odmówić udziału w procesie jego oceniania, gdy występuje konflikt interesów pomiędzy nim, a wnioskodawcą” (tak w oryginale – swoją drogą ciekawe, że na stronie instytucji zajmującej się przyznawaniem tytułów naukowych, pojawiają się błędy językowe: powinno być „pomiędzy nim a wnioskodawcą”, bez przecinka). Wśród wymienionych następnie szczególnych przypadków takiego konfliktu nie uwzględniono jednak sprawy być może dzisiaj najważniejszej: sytuacji, gdy recenzent i recenzowany siedzą w przeciwnych okopach na politycznej wojnie.

PRZEDWCZESNA „RADOŚĆ”

Na razie, wbrew informacjom mediów, nie podjęto jeszcze decyzji administracyjnej w sprawie profesury Andrzeja Zybertowicza na poziomie całej komisji – to stanie się dopiero 27 maja, przy okazji posiedzenia prezydium CK, na podstawie opinii Sekcji Nauk Humanistycznych i Społecznych. To, co było opisywane jako

Andrzej Zybertowicz

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM



Poglądy na profesurę

decyzja komisji, było w istocie negatywną opinią tejże sekcji, która jednak nie ma statusu decyzji administracyjnej. Taki ma bowiem dopiero decyzja całej komisji. W jej ramach opinia sekcji może zostać podtrzymana, czyli nastąpi odmowa, od której w normalnym trybie administracyjnym zainteresowany może się odwoływać. CK może też zdecydować odmiennie niż opiniująca sekcja, a także – wariant trzeci – powołać kolejnego tzw. superrecenzenta.

Za wcześniej zatem cieszył się prof. Tadeusz Gadacz, pisząc na Facebooku: „Środowisko naukowe stało na wysokości zadania. Wczoraj Komisja ds. Stopni i Tytułów Naukowych odmówiła przyznania tytułu profesora panu Andrzejowi Zybertowiczowi”. Profesora Gadacza nie było wśród recenzentów pracy Andrzeja Zybertowicza, ale ton jego wpisu jednoznacznie pokazuje, że spora część środowiska naukowego nie oczekiwała rzetelnej oceny dorobku „pisowskiego naukowca”, ale skuteczne uwalenie jego wniosku o profesurę.

Spośród pięciu recenzji wszystkie kończyły się rekomendacją przyznania tytułu, ale dwie – prof. Marcina Króla i prof. Szymona Wróbla – otwarcie kpiły z recenzowanego. Niemalże entuzjastycznie te sarkastyczne recenzje przytaczały

„Gazeta Wyborcza” i OKO.press. Ten ostatni portal, nastawiony otwarcie wrogo do obecnej władzy, pisze, przytaczając najpierw konkluzję recenzji prof. Wróbla: „»Pracę ściśle naukową Zybertowicza oceniam krytycznie, jego działalność organizacyjną i dydaktyczną więcej niż pozytywnie. Osobiście uważam, że raz wyzwolona wola stania się profesorem jest nie do zatrzymania. Jeśli Andrzej Zybertowicz uznał, że są powody, aby przyznać mu profesurę, to zapewne tak jest«. OKO.press podejrzewa – znając opinię, jaką cieszy się prof. Wróbel – że ta recenzja to złośliwy dowcip w stylu Milana Kundery. Sens recenzji jest przecież taki, że dorobek Zybertowicza jest kiepski, ale powinien zostać profesorem – ponieważ bardzo chce. I prowadzi doskonałą »działalność organizacyjną«”.

DOGMAT O POCZĘCIU III RP

Przy recenzji prof. Wróbla warto się zatrzymać. Jest znacznie dłuższa niż recenzja prof. Króla, która sprawia wrażenie napisanej na odczepnego. Zresztą sam prof. Król stwierdza na koniec lekceważąco, że „opinia moja jest wyjątkowo krótka, ponieważ przedstawione do oceny prace naukowe są nieliczne, a ich konkluzje na tyle niedopracowane, że trudno o pole-

mikę". Recenzja prof. Króla to trzy i pół strony, podczas gdy recenzje pozostałych opiniujących liczą sobie po 10 i więcej stron. Oni widzieli jednak materiał do polemiki i analizy.

Profesor Wróbel analizuje dorobek Zybortowicza w specyficzny sposób, zwłaszcza tam, gdzie ten dorobek jest w konflikcie z obowiązującą wśród części elit III RP kanoniczną wersją losów państwa. Skupia się w pewnym momencie na głośnej swego czasu anglojęzycznej książce toruńskiego socjologa, napisanej wspólnie z Marią Łoś, „Privatizing the police-state: the case of Poland” (książka została wydana w 2000 r. w Nowym Jorku). Oto jak tezę książki referuje prof. Wróbel: „W tej książce znajdujemy [...] próbę obrony tezy, zgodnie z którą PRL było państwem policyjnym, gdzie życie obywateli, w tym polityka i gospodarka, poddane były kontroli instytucji sektora bezpieczeństwa. Autorzy wyprawiają z tej ogólnej przesłanki wniosek, że transformacja ustrojowa państwa policyjnego nie mogła się odbyć bez jakiejś zgody czy współudziału w tym procesie tajnych służb. Stąd już tylko krok do twierdzenia, że cała transformacja i cały układ postkomunistyczny pozostaje w obrębie oddziaływań owych tajnych służb. [...] Trudno mi zaakceptować twierdzenie, że ład polityczny po »okrągłym stole« jest wynikiem kontroli i formowania tego ładu przez przedstawicieli dawnego urzędu bezpieczeństwa, i to nie z powodu wyparcia lub nieświadomości, ale z powodu uznania złożoności i wielorakiej determinacji wszelkich zjawisk społeczno-historycznych”.

Zauważmy: prof. Wróbel nie poddaje tu krytycznej analizie ani metodologii pracy Andrzeja Zybortowicza, ani nie wskazuje jej konkretnych wad. Tłumacząc z naukowego na polski, pisze po prostu: nie zgadzam się, bo nie i koniec. Trudno uznać, żeby w tym stwierdzeniu chodziło o coś więcej niż sprzeciw wobec podważania dogmatu o poczęciu III RP w warunkach narodowej zgody między patriotami komunistami i patriotami z Solidarności.

Kończenie natomiast opinii o dorobku naukowca kpiarskim passusem, którym tak zachwyciło się OKO.press, jest kompromitujące dla recenzenta. To samo dotyczy reszta prof. Marcina Króla.

Korowody wokół profesury Andrzeja Zybortowicza trudno interpretować inaczej niż jako skutek napięć politycznych. Konkluzje wszystkich pięciu recenzji były

dla torunianina pozytywne, nawet jeśli dwie z nich utrzymywane w ironicznym tonie. A konkluzja to konkluzja, to powinno zamykać sprawę. Mimo to powołano najpierw jednego superrecenzenta (recenzującego i dorobek kandydata, i zwykłe recenzje) – prof. Mirosławę Marody, a potem jeszcze jednego – prof. Krzysztofa Gorlacha. Superrecenzenci pojawiają się zwykle wówczas, gdy nie ma zgodności wśród zwykłych recenzentów. Tutaj formalnie była, najwyraźniej CK uznała jednak, że to zgodność udawana, bo profesorowie Król i Wróbel w istocie nie byli za, ale puszczali tylko oko. Oboje superrecenzenci wyrazili opinie negatywne. Tych superrecenzji jednak nie znamy. Nie ma ich na stronie komisji.

O staraniach o profesurę Andrzeja Zybortowicza ciekawie napisał prof. Jan Hartman, skądinąd stojący ideowo tak daleko od toruńskiego socjologa, jak tylko można sobie wyobrazić: „Andrzej Zybortowicz nieraz mówił rzeczy ekscentryczne [...]. Ale z powodu »opowieści dziwnych treści« nie można nikomu odmawiać profesury, która jest wszak tytułem naukowym, nadawanym (bądź nie) ze względu na prace naukowe kandydata, a nie za wypowiedzi publicystyczne”. Dalej prof. Hartman stwierdza jednak: „Można by więc przypuszczać, że niepowodzenie Zybortowicza wynikało z niechęci recenzentów i większości członków CK, którzy przecież mogą być antyrządowi. Znam tę sprawę na tyle dobrze, iż mogę stanowczo temu zaprzeczyć. Tak nie było – względy ideologiczne mogły tu oddziaływać tylko marginalnie, i to w dwie strony, czyli zarówno na niekorzyść, jak i na korzyść kandydata”.

Czy na pewno? Profesor Marcin Król był jednym z sygnatariuszy przedsądowego wezwania, skierowanego do Andrzeja Zybortowicza ze jego słowa, wygłoszone podczas debaty licealistów o Okrągłym Stole w lutym tego roku: „Dzisiaj wielu obserwatorów i komentatorów Okrągłego Stołu nie uświadamia sobie, jak głęboka prawda była w komentarzu Andrzeja Gwiazdy, po rozmowach Okrągłego Stołu, gdy powiedział: podczas Okrągłego Stołu władza podzieliła się władzą ze swoimi własnymi agentami”. Jeśli to nie jest konflikt interesów pomiędzy recenzującym a recenzowanym, to nie wiem, co nim może być. Drugi superrecenzent, prof. Gorlach, podpisał w 2016 r. list do wicepremiera Glińskiego, atakujący rząd za zmiany w Trybunale Konstytucyjnym.

Można oczywiście powiedzieć, że w sytuacji skrajnie ostrego konfliktu politycznego zawsze znajdują się tego typu epizody. Może i tak, ale ich istnienie budzi wątpliwości co do bezstronności recenzentów.

ŁABĘDZI ŚPIEW

Po opinii CK podniosły się głosy, że być może prezydent mógłby tutaj zadziałać podobnie jak w przypadku sędziów i uznać, że stanowisko komisji nie jest dla niego wiążące. Mógłby po prostu nadać Andrzejowi Zybortowiczowi tytuł bez poparcia CK. To byłoby jednak rozwiązanie fatalne, także dla zainteresowanego. Po pierwsze, budziłoby kolejne wątpliwości konstytucyjne (CK jest organem administracji). Po drugie, stawiałoby prezydenta w jeszcze silniejszej kontrze wobec środowisk profesorskich, w większości niechętnych obecnej władzy. Po trzecie, Zybortowicz zostałby już na zawsze „profesorem od Dudy”. Zakładam, że sam by tego nie chciał.

Może zatem rozwiązaniem systemowym byłoby w ogóle zlikwidowanie tytularnej profesury, której przecież w wielu krajach nie ma? Nie zna jej imponujący doktor naukowi świat anglosaski. Tam profesorowie są tylko kontraktowi. Takiej zmiany jednak w perspektywie na razie nie ma. Jest inna: spór w sprawie profesury dla Zybortowicza to łabędzi śpiew Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów, bo od 2020 r. jej rolę przejmie Rada Doskonałości Naukowej, której pierwsza kadencja rozpocznie się w czerwcu tego roku. Wejdzie do niej po troje przedstawicieli każdej dyscypliny naukowej, wybranych w odbytych już elektronicznych wyborach, w których mogli wziąć udział wszyscy doktorzy habilitowani i profesorowie. Ostateczne rezultaty mają być ogłoszone w tym tygodniu w piątek. Co ciekawe – to aż trzy tygodnie po zakończeniu głosowania, które trwało do 30 kwietnia.

Czy jednak przeniesienie uprawnień CK na RDN coś zmienia, gdy chodzi o bezstronność i rygor rzetelności przy przyznawaniu tytułów? Zapewne nie, bo przecież tak naprawdę istotą problemu nie jest ten czy inny system, ale załamanie się państwowego myślenia i jego zmiana w myślenie plemienne. Na wszystkich poziomach.

A może po prostu państwowego myślenia nigdy nie było?

© 2021 Wszelkie prawa zastrzeżone

O SPRAWIE PROFESURY DLA ANDRZEJA ZYBORTOWICZA PISZEMY RÓWNIEŻ NA STR. 96



Olivier Bault

Kulturalna kontrrewolucja w Unii Europejskiej staje się coraz bardziej możliwa. Choć prawicowe partie nie wszystko łączą

Przed zbliżającymi się wyborami do Parlamentu Europejskiego wyraźnie widać istnienie dwóch przeciwstawnych obozów w całej Unii. Po jednej stronie lewica, liberałowie i centroprawica, które przymierzają się, w obliczu skurczenia się frakcji Postępowego Sojuszu Socjalistów i Demokratów (S&D) oraz Europejskiej Partii Ludowej (EPL) w przyszłym Parlamencie Europejskim do wspólnego działania typowego do tej pory dla samych socjalistów z S&D i „chadeków” z EPL. Z drugiej strony, siły takie jak polski PiS i węgierski Fidesz, zaliczone przez zwolenników Stanów Zjednoczonych Europy do eurosceptycznych, prawicowych populistów (zwanych także w języku lewicy „skrajną prawicą”) – podobnie jak włoska Liga, francuskie Zjednoczenie Narodowe (RN) itp. – proponują inną Unię, w której większą wagę miałyby państwa narodowe w duchu zasady subsydiarności (pomocniczości) wpisanej do traktatu lizbońskiego. Jeśli wierzyć sondażom, to socjalistom i ludowcom rzeczywiście potrzebni będą liberałowie z frakcji ALDE dowodzonej przez progresistę i federalistę Guya Verhofstadta, aby zapewnić sobie większość. Wszystkie trzy frakcje w swojej większości popierają działania Komisji Europejskiej skierowane przeciwko Polsce i Węgrom oraz dążą różnymi metodami do stopniowej federalizacji Unii Europejskiej, np. poprzez mechanizm obowiązkowej relokacji nielegalnych imigrantów lub ostatnio usiłując wprowadzać nowy mechanizm mający powiązać fundusze europejskie z oceną przestrzegania praworządności i „wartości europejskich” w krajach członkowskich.

Frans Timmermans i Manfred Weber, będący kandydatami odpowiednio S&D i EPL na stanowisko przewodniczącego przyszłej Komisji Europejskiej, są zwolennikami takiego mechanizmu, który oddałby w ręce Komisji nowe potężne narzędzie nacisku na rządy krajowe. W połowie stycznia Parlament Europejski przyjął właśnie projekt Komisji mający wprowadzić



ten mechanizm (polscy posłowie SLD, UP i PSL wstrzymali się od głosu, posłowie PO głosowali za, posłowie PiS głosowali przeciw). Musi go jednak jeszcze zatwierdzić Rada, co może nie być już takie proste.

Problem w tym, że powiązanie funduszy z oceną praworządności jest najlepszą receptą na pogłębienie podziałów i mnożenie konfliktów między Brukselą a państwami członkowskimi oraz między rządami poszczególnych krajów Unii. Jednym słowem, federalistyczne zapędy komisarzy europejskich oraz niektórych liderów narodowych, na czele z francuskim prezydentem Emmanuelem Macronem, mogą doprowadzić do rozsadzenia Unii Europejskiej od środka lub co najmniej do jej dalszego osłabienia, którego byliśmy już świadkami w minionej dekadzie (vide kryzys grecki, kryzys euro, kryzys migracyjny, brexit, nieustanne konflikty wywoływane przez ingerencje Komisji Europejskiej w sprawy normalnie zastrzeżone dla krajów członkowskich itp., itd.).

UNIA NARODÓW

W Unii, której chcą PiS i Fidesz, instytucje unijne działałyby tylko

w obszarach, w których obecne traktaty europejskie przyznają im kompetencje, a w obliczu obecnych nadużyć instytucji europejskich najlepsza byłaby nawet reforma traktatów w celu przywrócenia dawnego kształtu Unii Europejskiej jako Europy narodów. Jednocześnie na zachodzie kontynentu ewolucja partii dotąd uważanych za antyunijne i dzisiaj także zaliczanych do prawicowych „populistów” powoduje, że mogą być one brane pod uwagę jako potencjalni sojusznicy.

Dlatego też mnożą się ostatnio spotkania: Włocha Matteo Salvini z Węgrem Viktorom Orbánem w Mediolanie oraz z Jarosławem Kaczyńskim w Warszawie czy Jarosława Kaczyńskiego z Hiszpanem Santiago Abascalem z Vox oraz z liderką włoskich narodowców (sprzymierzonych z Ligą Salvini na poziomie samorządów) Giorgią Meloni.

Salvini z poparciem Francuzki Marine Le Pen próbuje stworzyć szeroki europejski sojusz zwolenników Europy narodów, mający docelowo obejmować potencjalnie także PiS i Fidesz. Ważnym krokiem w tym kierunku miała być konferencja zwołana 8 kwietnia przez Salvini



Włoski premier Matteo Salvini liczy na współpracę w UE m.in. z szefem węgierskiego rządu Viktorom Orbánem FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

„Chciałabym, abyśmy byli jedną grupą, ponieważ wtedy będziemy wpływowi w europarlamencie. W naszym interesie leży, aby podążać w tym kierunku. Polacy z PiS i Węgrzy z Fideszu powinni należeć do naszej frakcji, ale wiem, że to nie jest proste zadanie”.

WYCHODZIĆ CZY REFORMOWAĆ

Jak wiadomo, jedną z głównych przeszkód jest stosunek RN do Rosji i do Władimira Putina. Ten sam powód pod adresem Salviniego akcentowała włoska prasa, tłumacząc brak przedstawicieli PiS 8 kwietnia w Mediolanie. I to samo można zresztą powiedzieć o austriackim FPÖ i o niemieckiej AfD. Warto jednak zaznaczyć, że ani Salvini, ani Le Pen nie postulują wyjścia ich kraju z NATO (Le Pen w programie prezydenckim z 2017 r. postulowała jedynie powrót do sytuacji sprzed prezydentury Nicolasa Sarkozy'ego, kiedy od czasów de Gaulle'a Francja nie była już w strukturach militarnych NATO) i obaj liderzy uważają USA za ważnego sojusznika.

Ich stosunek do Rosji nie różni się zbyt od jej postrzegania przez Viktora Orbána i Fidesz ani nawet od stanowiska włoskiej czy francuskiej centroprawicy lub co najmniej części centroprawicy. Jeśli PiS może współpracować z Fideszem na forum europejskim pomimo odmiennego stosunku do Rosji, to współpraca z Ligą i RN powinna także być możliwa, o ile cele, które te partie stawiają sobie w Brukseli, nie będą sprzeczne z wizją europejską Warszawy i Budapesztu. Jednym słowem, PiS i Fidesz mogą znaleźć wspólny język jedynie z ruchami politycznymi, które nie dążą do rozwiązania Unii Europejskiej ani do opuszczenia tejże Unii przez ich kraje. Takimi ruchami są dzisiaj m.in. włoska Liga, francuski RN, austriacki FPÖ, hiszpański Vox i niemiecka AfD. Co prawda Liga, RN i AfD nie wykluczają możliwości opuszczenia Unii, ale uznają dzisiaj tę możliwość jedynie za ostateczne rozwiązanie na wypadek, gdyby reforma Unii od środka okazała się niemożliwa. Rozważany (w przypadku Ligi i RN) lub wprost postulowany (w przypadku AfD) jest powrót do walut narodowych, które mogłyby ewentualnie istnieć równolegle z euro (co proponowała także przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi we Włoszech centroprawicowa Forza Italia byłego premiera Silvia Berlusconi). Jest to istotna

różnica w porównaniu z holenderskim PVV Geerta Wildersa czy holenderskim Forum na rzecz Demokracji Thierry'ego Baudeta, która to partia utworzona dopiero w 2016 r. wyprzedziła wszystkie inne partie holenderskie w tegorocznych wyborach samorządowych, z poparciem na poziomie 14,5 proc. (wobec 7 proc. dla PVV): te dwie partie opowiadają się wprost za wyjściem Holandii z Unii.

Ponadto w swoim programie wyborczym do europarlamentu francuski RN postuluje likwidację Komisji Europejskiej, a niemiecka AfD chce likwidacji Parlamentu Europejskiego. Te pomysły mogą być nie do pogodzenia z wizją PiS czy Fideszu. Chociaż należy również przypomnieć, że Szwedzcy Demokraci zupełnie niedawno, w obliczu trudności związanych z wynegocjowaniem warunków brexitu, zawiesili własny postulat organizowania referendum w sprawie opuszczenia Unii przez Szwecję, a i tak w europarlamencie zasiadali cały czas w tej samej frakcji EKR co PiS.

BEZ WIĘKSZOŚCI

Jednakże podziały i odmienna wizja Unii Europejskiej mogą bardzo osłabić wpływy „populistów” w przyszłym Parlamencie Europejskim oraz w Radzie. Nawet gdyby prawicowi „populiści” mieli zdobyć większość w obu organach, co miałyby przełożyć także na skład Komisji Europejskiej, mogłoby to nie wystarczyć, aby uratować Unię Europejską przed jej dalszym osłabieniem i ewentualnym rozpadem.

Jak wynika natomiast z sondaży, takiej większości i tak mieć nie będą, choć mogą mieć liczniejsze reprezentacje niż do tej pory. Najbardziej optymistyczne prognozy dają partiom zasiadającym obecnie we frakcjach EKR, EFDD i ENF mniej niż jedną czwartą miejsc. Nawet jeśli Brytyjczycy wezmą udział w tych wyborach – a wszystko wskazuje na to, że może je wygrać nowa Brexit Party Nigela Farage'a – trudno oczekiwać, że będą zajęci czymś innym niż brexitem. Trudniej jednak będzie zwolennikom nakładania sankcji na Polskę i Węgry zebrać potrzebne dwie trzecie głosów, nawet gdyby chcieli znów uciec się do wybiegu będącego jawnym nadużyciem, tak jak w przypadku głosowania w sprawie Węgier we wrześniu 2018 r., kiedy to wykluczono głosy wstrzymujących się z kalkulacji wyniku głosowania.

w Mediolanie z udziałem przedstawicieli trzech prawicowych frakcji w europarlamencie: ENF (do której należą m.in. włoska Liga, francuski RN i austriacki FPÖ), EFDD aktualnie pod przywództwem Brytyjczyka Nigela Farage'a (gdzie zasiada także poseł niemieckiej AfD) oraz EKR, skupiającej zwłaszcza polski PiS i wciąż jeszcze brytyjskich torysów. Spotkanie pod hasłem: „Ku Europie zdrowego rozsądku” odbyło się bez udziału PiS, którego frakcja EKR była reprezentowana przez Partię Finów (lub Prawdziwych Finów) i Duńską Partię Ludową.

Zarówno Salvini, jak i Le Pen podkreślali w ostatnim czasie, że liczą na współpracę z PiS i Fideszem w celu obrony Europy narodów i zatrzymania brukselskich zapędów. Ba, Le Pen twierdzi nawet, że odeszła od postulatu frexitu pod wpływem dojścia do władzy ruchów politycznych podzielających wizję jej partii na Węgrzech, w Polsce, w Austrii i we Włoszech. W związku z tym, twierdzi Francuzka, pojawiła się możliwość reformy Unii Europejskiej. O współpracy w Parlamencie Europejskim liderka RN mówiła w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” opublikowanym 20 kwietnia:

Na pewno zatem zwolennikom federalizacji Unii i narzucenia lewicowo-liberalnego światopoglądu oraz obowiązku przyjmowania nielegalnych imigrantów wszystkim krajom członkowskim będzie trudniej w europarlamencie, nawet jeśli wsłuchają się w apel socjalisty Fransa Timmermansa. Ten na portalu Euractiv 9 kwietnia postulował, by wszyscy progresiści zasiadający w przyszłym Parlamencie Europejskim, włącznie ze skrajną lewicą i z Zielonymi, stali murem przeciwko „skrajnej prawicy”, ponieważ – jak to ujął – „ma ona odmienną wizję człowieczeństwa i społeczeństwa”. W istocie partie takie jak Vox, Liga, FPÖ, RN i AfD czy Duńska Partia Ludowa, Szwedzcy Demokraci lub jeszcze Prawdziwi Finowie to partie względnie (na tle krajowej konkurencji) konserwatywne i prorodzinne, przywiązane do wartości chrześcijańskich lub tradycyjnych oraz do tożsamości narodowej, podobnie jak PiS i Fidesz. Wszystkie są przeciwnie masowej imigracji i chwalą stanowisko Grupy Wyszehradzkiej w kwestiach nielegalnej imigracji i relokacji imigrantów.

Wątpliwe jest, że ziszczą się marzenia Salvini i Orbána o sojuszu centroprawicowej EPL z prawicowymi „populistami”. Po spotkaniu z austriackim wicekanclerzem Heinzem-Christianem Strachem z FPÖ w Budapeszcie 6 maja węgierski premier Viktor Orbán znowu nawoływał na wspólną konferencję prasową do budowania szerokiej koalicji prawicy i centroprawicy w Parlamencie Europejskim na wzór austriackiej koalicji „populistów” FPÖ z centroprawicowym ÖVP kanclerza Sebastiana Kurza. Podobne zdanie wyraził szef centroprawicowej partii włoskiej Forza Italia, która należy do EPL i z której wywodzi się obecny przewodniczący Parlamentu Europejskiego Antonio Tajani.

W wywiadzie opublikowanym 12 maja w „La Stampa”, Silvio Berlusconi stwierdził bowiem, że nadszedł czas, aby zrezygnować z sojuszu z lewicą, przez który Europa biurokratów zastąpiła Europę narodów. Zamiast tego „EPL powinna zbliżyć się do liberałów, do konserwatystów i do tzw. populistów”, uważa Berlusconi, którego partia utrzymuje sojusz z Ligą i narodowcami na poziomie samorządowym we Włoszech. Jednak nawet jeśli do takiej koalicji nie dojdzie i nawet jeśli przyjął, że partie „populistyczne” będą mogły w przyszłym europarlamencie jedynie skuteczniej niż do tej pory przeszkadzać lewi-

cowo-liberalnej większości, wzrost ich znaczenia w poszczególnych krajach ma duże szanse w dłuższej perspektywie blokować federalistyczne plany ludzi pokroju Emmanuela Macrona, Fransa Timmermansa i Guya Verhofstadta oraz doprowadzić do ograniczenia nadmiernej ingerencji Komisji Europejskiej i tym samym uratować Unię Europejską przed coraz częstszymi i ostrzejszymi sporami oraz ewentualnym rozpadem.

I tak we Włoszech wszystko wskazuje na to, że Liga zdominowała krajobraz polityczny na długo. Ze stabilnym poparciem na poziomie ok. 30–35 proc. może liczyć na to, że w razie rozpadu koalicji

Partie broniące idei Europy ojczyzn mają to do siebie, że otwarcie bronią interesów narodowych, a te nie muszą być zbieżne

z lewicowymi populistami z Ruchu Pięciu Gwiazd stanie na czele prawicowej koalicji po przyspieszonych wyborach. Według sondaży we Francji RN Marine Le Pen utwierdza od wielu miesięcy swoją pozycję głównej opozycji do prezydenta Macrona i jego lewicowo-liberalnej partii. RN może nawet wygrać majowe wybory europejskie. Notowania prezydenta i jego rządu, po chwilowej hossie związanej z udaną komunikacją wokół „wielkiej debaty” jako odpowiedź na protesty żółtych kamizelek, znowu lecą w dół.

W Niemczech Angela Merkel, która od razu odrzuciła propozycję Viktora Orbána dotyczącą sojuszu EPL z prawicowymi „populistami”, sama utrzymuje się u władzy tylko dzięki nowej wielkiej koalicji centroprawicy i socjaldemokratów. Tym samym AfD stała się główną siłą opozycyjną w parlamencie.

W obu krajach (we Francji i w Niemczech) sytuacja ta wytwarza dużą presję na rządzących, zwłaszcza że w społeczeństwie przeważają poglądy umiarkowanie eurosceptyczne i wyraźnie antyimigracyjne.

W Austrii i Danii natomiast wzrost populistycznej prawicy, czyli odpowiednio FPÖ, który zasiada we frakcji ENF razem z Ligą i RN, oraz Duńskiej Partii Ludowej, która zasiada razem z PiS w EKR, sprawił, że kraje te sprzeciwiają się od kilku

lat polityce imigracyjnej i federalistycznym zapędom Brukseli.

RÓŻNICE W BIZNESIE

– Przed nami szansa na to, że skład Parlamentu Europejskiego się odmieni. To jest także duża szansa dla naszego kraju – mówił Jarosław Kaczyński pod koniec kwietnia na spotkaniu wyborczym PiS. W 12-punktowej Deklaracji europejskiej Zjednoczonej Prawicy ogłoszonej na początku marca mowa jest o działaniach na rzecz powrotu Unii Europejskiej do wartości, „które głosili jej twórcy i które miały stać się jej fundamentem”. Jest także mowa o obronie rodziny i o ochronie granic zewnętrznych Unii oraz o potrzebie „likwidacji podwójnych standardów w traktowaniu państw w ramach Unii Europejskiej”. Są to dziedziny, w których partii Prawo i Sprawiedliwość jest dużo bliżej do prawicowych „populistów” niż do zachodnioeuropejskiego mainstreamu. Inaczej może być w kwestiach takich jak „równe traktowanie polskich firm na europejskim rynku”, rozumiane np. w kontekście pracy delegowanej, czy „silna polityka spójności jako podstawy szybkiego i solidarnego rozwoju UE”. Partie broniące idei Europy ojczyzn mają bowiem to do siebie, że otwarcie bronią interesów narodowych, a interesy narodowe poszczególnych krajów nie muszą być zbieżne. Jednakże większość tzw. populistów zgadza się dzisiaj co do istoty: Unia Europejska jest potrzebna, ale musi pozostać europejska i demokratyczna, co jest możliwe tylko pod warunkiem utrzymania wartości chrześcijańskich jako wspólnego mianownika europejskości, pielęgnowania tożsamości narodowych i obrony granic zewnętrznych oraz pod warunkiem, że zgodnie z zasadą subsydiarności jak największej decyzji jest podejmowanych przez krajowe rządy i parlamenty.

Kontrrewolucja kulturalna w Unii Europejskiej, którą ogłosili Viktor Orbán i Jarosław Kaczyński w 2016 r. w Krynicy, staje się zatem mimo wszystko coraz bardziej możliwa. Bez takiej kontrrewolucji nie tylko Unia Europejska, lecz także sama cywilizacja europejska będzie zagrożona, gdyż – jak to powiedział węgierski premier Viktor Orbán w 2015 r. – „nie będzie możliwości powrotu do Europy multikulturowej do Europy chrześcijańskiej czy do świata kultur narodowych”.

Chiński rabuś

A photograph of Philippe de Villiers, a French politician and author, speaking at a podium. He is wearing a dark pinstripe suit, a white shirt, and a blue patterned tie. He has his right hand raised in a gesture while speaking. The background is blurred, showing what appears to be a stage or conference setting with blue and red lighting.

Philippe de Villiers, autor książki
o ojcach założycielach Unii Europejskiej FOT. POOL
INTERAGENCES/CAMMA-RAPHO/GETTY IMAGES

Ta książka, która ukazała się 6 marca br. we Francji, wywołała prawdziwy szok. Jej autorem jest Philippe de Villiers, francuski publicysta i znany polityk, poseł do Parlamentu Europejskiego. Na podstawie odtajnionych archiwów, we współpracy z wysokimi urzędnikami z Brukseli, odważył się on zakwestionować mit o ojcach założycielach Unii. Pokazał, że od początku celem konstruktu europejskiego była dekonstrukcja suwerenności narodowej państw europejskich. Publikacja wywołała we Francji burzę, a krytycy zarzucili de Villiers, że tworzy spiskową teorię dziejów. Autor bronił się i twierdził, że oficjalne biografie są wybielone i ocenzone. Przywoływał też słowa Jeana Monneta, jednego z głównych „bohaterów” swojej publikacji: „Byliśmy kręgiem spiskowców”. „Do Rzeczy” jako pierwsze publikuje wybrane fragmenty książki

Spośród znakomitych osobistości, jakie dane było mi poznać, jedna zajmuje miejsce szczególne. Nie należeliśmy wprawdzie do tego samego pokolenia, lecz geograficzna i afektywna bliskość pomogła złączyć nasze życiowe drogi. Człowiek ten zawsze był w stanie uczynić coś nieoczekiwanego. Miał na przykład zamiłowanie do gry na fisharmonii i w czasie przyjęć potrafił intonować na całe gardło śpiewy gregoriańskie. Zresztą jego podstawowym językiem była łacina, którą biegle władał. Krasomówstwo i fantazyjność jego występów poniekąd chroniły go przed sarkastycznymi kpinami: „Ach! Pan Foyer, to dopiero osobowość!” – mówiono.

Miał cały szereg talentów, a dzięki poczuciu humoru nie odczuwał pospolicich irytacji, co czyniło jego osobowość naprawdę nieprzeciętną. Była to rzeczywiście „osobistość” kulturyjająca swoiste paradoksy. Był chrześcijaninem, lecz nie ufał biskupom. Bywał wybierany w wyborach, lecz za bardzo nie ufał wyborom. Był z zawodu jurystą, lecz skarżył się na „chłodną logikę” sądów. Chciał być nazywany po prostu prawnikiem.

Pewnego dnia w miasteczku Contigné w krainie Segréen, którego był burmistrzem, rozmawialiśmy podczas przyjaznego spotkania o jego działalności w czasie, kiedy był ministrem sprawiedliwości w rządzie generała de Gaulle’a. Mówił mi o kulisach tego, co nazywał „apologiem” Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Kiedy opowiadał, nachodziła go gorączka dawnego oburzenia i przeżywał na nowo ówczesny epizod:

– Cóż to był za widok, Filipie, chadecy wyskoczyli ze swego ogródka, by dołączyć do ujadania hałasty.

– Hałasty? Jakiej hałasty?

– Prawników, ma się rozumieć, wielce nadąsanych na Generała za to, że nie ratyfikował słynnej Konwencji: „Prawa człowieka są zagrożone...”, burzyły się europeistyczne elity.

– A skąd się wzięła odmowa Generała?

– Stąd, że Konwencja poddałaby Francję pod kuratelę ponadpaństwowych sędziów. Nikt nie przeczytał wcześniej tekstu, bitwa zdawała się już praktycznie przegrana. Generał, zrezygnowany, kazał mi przygotowywać kałamarze...

– Poddał się?

– Właściwie w ostatniej chwili spytał mnie o moje zdanie i przekazałem mu swe uprzedzenia. Kilka dni później, wobec zaskoczonej Rady Ministrów, ważąc słowa, skonkludował: „Foyer, przeczytałem Waszą notatkę. Przekonał mnie Pan, Konwencja nie będzie ratyfikowana. Ogłaszam posiedzenie za zakończone”. Niedługo potem de Gaulle powiedział mi na osobności: „Europa nigdy nie zrozumie tego, co jest sercem racji stanu... Pan, Panie Foyer, jest człowiekiem prawa, proszę więc sobie zapamiętać: najpierw Francja, potem państwo, a na końcu prawo”.

– Ale przecież Konwencja została ostatecznie ratyfikowana...

– Niestety tak, ale przecież znacznie później! Dokonał tego chrześcijański demokrat Poher, marszałek Senatu. Wiosną 1974 r. wykorzystał chwilowy okres przejściowy po śmierci Pompidou, składając podpis w imieniu Francji. Cała chadecja wrzała z zadowolenia.

– Dlaczego wspominał Pan o „apologu”?

– Bo cała ta sprawa jest niezmiernie wymowna! To chadecy, wyznawcy Schumana, kręcą korbką kołowrotka. Tłumaczą nam, że to nic poważnego, tylko jeden mały ząbek do przodu. A potem przechodzimy do następnego ząbka, i tak dalej. Nazywają to „metodą Monneta”. Słyszał Pan o niej?

– Troszkę...

– Był teoretykiem zjawiska ząbienia. Anglosasi ze swej strony mówią o spill-over effect, o efekcie przelewania się. Wszystko to wywodzi się z traktatów rzymskich, które rozpoczęły „proces tworzący zaciskającą się unię”.

Ich Europa nie jest celem, jest „konstruktem” niemającym końca, który definiuje się poprzez swój własny ruch. Traktaty te zostały przemyślane, napisane pod kątem zaciskania niewidzialnej pętli. Wystarczy codziennie i stopniowo zaciskać różne pętle – prawników, komisarzy, a zwłaszcza pętlę pretoriańską, którą sędziowie zarzucają państwom na szyję. To właśnie Europa wydała nas w ich ręce. A czy wie Pan, skąd Monnet wziął swoją „metodę”? Zacerpnął ją z chińskiej dzielnicy w Nowym Jorku, gdzie załatwiał interesy.

– Żartuje Pan!

– Bynajmniej, „metoda Monneta” to metoda chińskiego rabusia. Aby ukraść cenną wagę wystawioną na środku lady,

chiński złodziej przychodzi codziennie przestawić ją o centymetr, aż w końcu znajdzie się ona nad brzegiem lady, poza zasięgiem wzroku sprzedawcy. Wówczas, przez nikogo niezauważony i niekłopotany, wrzuca ją sobie po prostu do worka.

OGOŁOCENIE NARODOWYCH DEMOKRACJI

Abstrahując od satyry, Jean Foyer miał całkowitą rację: „metoda Monneta”, subtelna, niebezpieczna w swych unikach, polegała na zastosowaniu doktryny funkcjonalistycznej i menedżerskiej zaczerpniętej z USA. To powolne, ale stałe dokręcanie „śruby” w niejawnym ostatecznym celu, jakim jest оголошення narodowych demokracji, uniemożliwia mierzenie ukradkowych transferów kolejnych transzy suwerenności.

Sędziowie europejskich trybunałów stosują rozumowanie teleologiczne: nieokreślone, liryczne i ogólne cele zapisane w traktatach mogą się przeobrazić w podstawy prawne, nawet o ponadkonstytucyjnej randze, uzasadniające wszelkie odejścia od uprawnień krajowych. Cel uświęca środki, oto filozofia prawa tej magistratury demiurgów. 30 listopada 1989 r., przy okazji sympozjum organizowanego przez Center of European Studies w Bostonie, Jacques Delors, ówczesny przewodniczący Komisji Europejskiej, otworzył na oścież skrzynkę z narzędziami: „Tajemnica »konstruktu europejskiego« polega na dialektyce między mocą fundamentalnych zobowiązań a spontanicznym rozwojem ich licznych mechanicznych konsekwencji”.

Pamiętam, jak pewnego dnia Jean Boissonnat drobniawo przeanalizował ten mechanizm: „Europa sprawia wrażenie, jakby posuwała się naprzód jedynie dzięki pewnego rodzaju sile politycznego pędu. Każdy etap odpala mechanikę prowadzącą do kolejnego. Kiedy zaś pojawiają się obawy co do jakiejś nowości, okazuje się, że jest już za późno, albowiem zatrzymanie się mechanizmu niesie za sobą większe zagrożenie niż przyzwolenie na ciąg dalszy”.

Z jednej strony dokonuje się dekonstrukcji krajowych demokracji, z drugiej buduje się techniczno-handlową maszynę. Dzięki słynnej „Europie małych kroków” Unia posuwa się do przodu małymi, zamaskowanymi posunięciami.

mi. Euro, migracje, handel: im bardziej otwierają się granice, tym bardziej zwiększają się nieufność i trudności pomiędzy różnymi krajami wpakowanymi na wspólny pokład; zatem tym bardziej trzeba zwiększać regulacje, a w konsekwencji oddawać władzę ponadnarodowym organom. W każdej kwestii zachodzi ten sam piekielny cykl i nie jest on bynajmniej przypadkowy. Jest to strategia rządzenia poprzez chaos. Jacques Delors teoretyzował ją pod nazwą „korzystnego kryzysu”. Według niej każdy kryzys jest dobrym pretekstem do kolejnego kroku w kierunku ponadnarodowości. Włoski filozof Roberto de Mattei poświęcił tej kwestii odrębną książkę, ukazując, że w czasach obecnych totalitaryzm nadejdzie poprzez powodowanie chaosu.

Pamiętam niesamowitą chwilę w strasburskim parlamencie 10 czerwca 2010 r. Debata dotyczyła właśnie „Europy w kryzysie”. José Manuel Barroso, przewodniczący Komisji, tak oto zwrócił się do nas, europejskich deputowanych: „Jesteśmy skonfrontowani z jedną z najtrudniejszych chwil najnowszej historii. Jednakże zmierzając się z tymi trudnościami, możemy położyć podwaliny pod lepszą przyszłość. Po raz kolejny widzimy, że kryzys może przyspieszyć podejmowanie decyzji, prowokując krystalizację politycznej woli. Rozwiązania, które jeszcze kilka lat temu, a nawet parę miesięcy temu wydawały się nieosiągalne, są teraz jak najbardziej możliwe. Jak przypomina nam historia »konstruktu europejskiego«, zazwyczaj właśnie w czasach kryzysu możemy postawić kolejne kroki w projekcie europejskim. Albowiem w rzeczywistości kraje członkowskie są obecnie gotowe na przyjęcie pewnych propozycji, które dotychczas wydawały się nie do przyjęcia. I mogę wam dać wiele konkretnych przykładów”.

CHAOS MIGRACYJNY

Najbardziej wymowny przykład to oczywiście sprawa imigracji. Najpierw niszczy się granice i powstaje migracyjny chaos. Kraje są doprowadzane do bezsilności. Narody huczą. Komisja, która skrupulatnie rozmontowała barierę wewnątrz Unii, nie dbając o ochronę zewnętrznych granic, przedstawia siebie jako naturalny, kompetentny

czynnik, mogący porozdzielać migrantów do różnych państw, tak aby sprawiedliwie rozłożyć obciążenia i wybawić krajowych polityków z napotkanych trudności. W ten sposób realizuje się polityka „przyjmowania” i tzw. mutual accomodation. Ta wybuchowa teoria została dyskretnie importowana z Kanady w ramach rekomendacji europejskich. Rozwija się jako „proces dwustronnych wspólnych dostosowań” między kulturą przyjmującą a kulturą obcą. Innymi słowy, Unia Europejska i Trybunał Praw Człowieka wprowadzają komunitaryzm, czyli w praktyce podział. W tym duchu Trybunał w Strasburgu wydał 19 grudnia 2018 r. orzeczenie w sprawie Molla Sali przeciwko Grecji odnośnie do stosowania szariatu w zakresie greckiej sprawy spadkowej. Europejscy sędziowie stwierdzili, że państwo może, jeśli chce, „stworzyć określoną przestrzeń prawną dla nadawania wspólnotom religijnym specjalnego statusu, implikującego poszczególne przywileje”. Tymczasem islam jest czymś większym niż religią: jest prawem, „szaria” oznacza prawo, zarówno doczesne, jak i duchowe, określające wszelkie aspekty życia jednostkowego i wspólnotowego muzułmanów. W ten sposób kolejne akomodacje kulturowe przeradzają się w rzeczywistości w podległość oraz przygotowują powstające na naszych oczach kontrspołeczeństwo, „drugie, inne społeczeństwo, próbujące podstępnie narzucić się wewnątrz naszej Republiki”, jak określa to Élisabeth Badinter. Zasada obopólnej akomodacji stanowi marsz żałobny dla politycznych dążeń rzeczywistej asymilacji bądź integracji pozaeuropejskich obcokrajowców.

DEKONSTRUKCJA

Wspomniana metoda zazębiania leży u konstrukcji całego pierwotnego procesu: gen stopniowej, skrytej dekonstrukcji suwerenności i osobności tworzących prawdziwą Europę został świadomie wprowadzony do mechanizmu przez ojców założycieli. Ma nawet nazwę, brzmi ona: duch europejski.

W „Historii pewnego początku” van Middelaar, „pióro” przewodniczącego Rady Europejskiej Hermana Van Rompuya, odtwarza z cklivą

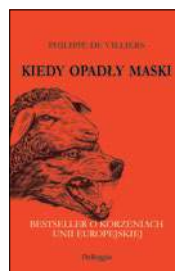
szczerością pierwsze wymowne dla „konstrukcji europejskiej” chwile.

„18 kwietnia 1951 r. w salonie de l’Horloge w ministerstwie spraw zagranicznych w Paryżu państwa założycielskie podpisały traktat powołujący do życia wspólnotę przemysłu górniczego. Robert Schuman, minister spraw zagranicznych, podejmuje przyszłych sygnatariuszy: kanclerza Adenauera, Carla Sforzę, który reprezentuje Włochy, Belga Van Zeelanda oraz Josepha Becha z Luksemburga. W poprzednich dniach panowie ci ostro negocjowali kilka niezłatwionych spraw. W ostatnich godzinach wprowadzono jeszcze tyle zmian, że gdy nadeszła końcowa chwila, oficjalna wersja traktatu nie była jeszcze gotowa. Znalaziono bardzo proste rozwiązanie. Sześciu ministrów z Adenauerem na czele złożyło podpisy in blanco, na pustej kartce. Duch porozumienia był najlepszym gwarantem jego litery. Europa narodziła się jako dziewicza, niezapisana kartka”.

Historia ta jest pełna proroczej symboliki. Schemat dziewiczej kartki stosowany jest już od dziesięcioleci. Każdy po kolei podchodzi podpisać pustą kartkę. Następnie to brukselscy archonci wypełniają ją mądrościami swych kałamarzy. Liczy się duch, jednoczący duch europejski. Duch porozumienia, który staje się najlepszym gwarantem jego litery. [...]

Garstka oświeconych sędziów, uważających się za depozytariuszy misji wręcz kapłańskiej, zdecydowanie wyniesieniu preambuły traktatu oraz zawartych w nim celów do rangi ponadustawowej, a następnie będzie z nich czerpać reguły prawne.

Poprzez wymyślony zabieg bezpośredniego skutku traktatów oraz bezwzględnego prymatu prawa europejskiego nad prawem krajowym państwa, ich prawa, a nawet konstytucje są de facto spychane na margines. [...] W ten sposób europejscy sędziowie swoją interpretującą magistraturą znacznie wykraczają poza wyrażone w akcie założycielskim dyspozycje. Odtąd będą mówili w duchu traktatu, a nie wyłącznie w odniesieniu do samej jego treści.



PHILIPPE DE VILLIERS
„KIEDY OPADŁY MASKI”
DEREGGIO
SP. Z O.O. 2019

Rzeczpospolita koloru i kasy

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Monika Małkowska

To wystawa-opowieść o artystycznym potencjale XVI-wiecznej Wenecji. Jakby dla kontrastu zrealizowana w jednej z najnowocześniejszych metropolii – we Frankfurcie nad Menem

Wenecję i Frankfurt dzieli wszystko, ale łączy jedno: wielkie pieniądze. W Wenecji każdy kamień to zabytek, finansowe centrum nad Menem zostało zaś wzniesione w dużej mierze po wojnie. Bombardowania aliantów w 1944 r. zniszczyły miasto w 70 proc., a starówkę niemal w całości. W zamian wzniesiono przeszklone drapacze chmur. Może właśnie ten kontrast dodaje atrakcyjno-

ści wystawie, która przyciąga tłumy do Städel Museum.

„Bankfurt” ma duże ambicje kulturalne. Jednym z dowodów jest Wybrzeże Muzeów. Po obu stronach Menu, w niewielkiej od siebie odległości, znajduje się aż 26 muzeów. Plus galeria Portikus wyrastająca jak czerwone zjawisko pośrodku rzeki. Większość tych budynków, zaprojektowanych przez pierwszoligowych architektów, jak np. Muzeum Sztuki Użytkowej, Muzeum Filmu czy Muzeum Komunikacji, weszła już do klasyki nowoczesności.

Muzeum sztuki Städel to czcigodny zabytek z ponaddwusetletnią historią. Zaczynem placówki był hojny gest bankiera Johanna Friedricha Städla, który przekazał miastu swoje imponujące zbiory. Neorenesansowy budynek jest typowym dla epoki topornym, acz przestrzennym gmaszyskiem.

Wenecką ekspozycję potraktowano z należyтым szacunkiem, bez aranżacyjnych szaleństw, może z wyjątkiem barwy ścian, które pomalowano na głęboki fiolet.

O dziwo, ten ryzykowny zabieg podkreśla bogactwo słynnej „weneckiej palety”. A jest na co popatrzeć: ponad setka dzieł sygnowanych nazwiskami jak dzwony. Giovanni Bellini, Lorenzo Lotto, Jacopo Palma il Vecchio, Sebastiano del Piombo, Jacopo Bassano, Tintoretto, Veronese, Vittore Carpaccio... No i ten najważniejszy, Tycjan Vecelli, z ponad 20 obrazami z różnych dekad – najpełniejszy z kiedykolwiek prezentowanych w Niemczech zestawów tego mistrza.

NAJJAŚNIEJSZA Z LOTU PTAKA

Wystawę w Städel Museum otwiera arcydzieło kartografii: „Perspektywiczny widok Wenecji”, wykonany przez Jacopa de’ Barbari ok. 1500 r. Ten drzeworyt gigant ma wymiary 1,35 m wysokości na 2,818 m długości. Kolos odbity został z sześciu idealnie spasowanych matryc, na których zmieściła się Wenecja z okolicznymi wyspami. Weduta ujęta z lotu ptaka wygląda jak współczesne zdjęcie satelitarne.

Nie tylko skala planu zapiera dech w piersiach, lecz także precyzja wedyty. Na mapie zaznaczone zostały każdy kościół, skwer, pasaż, kanał. Pomimo zagęszczenia detali widać wszystkie fasady przedstawione w odpowiednim pomniejszeniu. Jaką metodą posłużył się Barbari, by uzyskać taki efekt? Otóż połączył odkrywcze wówczas zasady trygonometrii ze sposobem tradycyjnym, stosowanym w późnym średniowieczu – mierzeniem odległości krokami i łokciami.

POTĘGA NA PIGMENTACH

Jeśli wczesny renesans „należał” do Florencji, to dojrzałe odrodzenie miało swą stolicę w Wenecji. W mieście na lagunie kolory lśnią inaczej niż na twardym lądzie. Powietrze przesycone jest wilgocią, która zaciera kontury i tworzy aurę melancholii...

Jednak Serenissima nie stałaby się stolicą europejskiego malarstwa tylko za sprawą położenia i piękna architektury. Artystom w sukurs szedł handel. Kupcy przywozili do Wenecji surowce z zamorskich krain, z których wyrabiano pigmenty niedostępne w innych centrach Starego Kontynentu. Rzemiosło (a za takowe uważano malarstwo) kwitło także dzięki rozlicznym zamówieniom, prywatnym i publicznym. Nic dziwnego, że w Najjaśniejszej jak grzyby po deszczu mnożyły się warsztaty malarskie, w których talenty szlifowali lokalsi i przybyłe z dalszych stron.

Do tych ostatnich zaliczał się Tycjan, najśłynniejszy włoski mistrz XVI stulecia. I jeden z najpłodniejszych. Prawie 600 płócien to czterokrotnie więcej, niż miał na koncie Rafael, nie mówiąc o Leonardzie da Vinci, którego Vecelli „przebijał” ponad dziesięciokrotnie liczbą prac.

Żeby zadowolić wszystkich klientów i wykonać tę gigantyczną pracę, Tycjan zatrudnił w pracowni rodzinny zespół.

Jednak arcydzieła, dzięki którym stał się legendą, wyszły spod jego pewnej i niecierpliwej ręki. Z wiekiem jego wirtuozerska brawura szła w parze z ograniczaniem gamy barwnej. Aż doszedł do kompozycji niemal monochromatycznych, improwizowanych alla prima, bez rozrysowania scen.

Na Tycjana powoływali się i do niego odnosili inni wielcy: Rubens, Rembrandt, Delacroix, Manet. Nawet jeśli nie wywierał wpływu bezpośrednio, to był malarskim wzorcem z Sèvres. Zachwycał i onieśmielał tych, którym pędzel nie był równie posłuszny. A propos pędzla – podobno cesarz

Karol V, portretowany (kilkakrotnie) przez Tycjana, raczył podnieść mu narzędzie, gdy mistrzowi wypadło z dłoni. Władca skwitował niezwykle gest słowami: „Dworzan mam wielu, Tycjana jednego”.

TRWANIE DLA WIELKICH

Odnoszę wrażenie, że im bardziej współczesna sztuka oddala się od klasyki, tym większym zainteresowaniem publiczności cieszy się ta druga. Jakiś instynkt nakazuje odbiorcom szukać tego, co trwałe, nieprzemijające. Nie inaczej jest w Städel Museum: choć do końca pokazu został jeszcze miesiąc, to frekwencja staje się już rekordowa.



Portret młodego mężczyzny
w czerwonym berecie. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

A może szacunek do rzeczy trwałych i kosztownych to tradycja niemiecka?

Albrecht Dürer doskonale rozumiał znaczenie warsztatowej biegłości, o czym świadczy inskrypcja umieszczona na autoportrecie z 1500 r.: „Wykonałem to sam trwałymi farbami”.

Niemiecki geniusz też połąknał weneckiego bacyla. Bawił dwukrotnie nad Canal Grande, realizując intratne zamówienia, ku oburzeniu i zawiści miejscowych twórców. Mimo pewnych niesnasek Niemiec czuł się w Serenissimie na właściwym miejscu, traktowany jak panisko. Nade wszystko starał się zgłębić tajniki weneckiej palety. Największe wrażenie wywarła na nim sztuka Gentile Belliniego, podówczas pierwszego malarza Republiki Weneckiej.

Wtedy bowiem, pod koniec XV stulecia i na samym początku następnego, Tycjan jeszcze pozostawał w cieniu klanu Bellinich. Życiową szansę dała mu współpraca z Giorgionem, głównym przedstawicielem „nowej fali” w weneckim malarstwie. Przedwczesna śmierć Wielkiego Jerzego

(tak można przetłumaczyć imię Giorgione) skoszonego dżumą – raptem 32-letniego, niewiele starszego od jego utalentowanego ucznia – otworzyła przed Vecellim drogę do kariery.

A po śmierci Belliniego, w 1516 r., Tycjan zdobył wymarzony status oficjalnego malarza Serenissimy. Potem jeszcze otrzymał godność nadwornego malarza cesarza Karola V i jego syna Filipa II. Te funkcje stanowiły najlepszą rekomendację, zamówienia sypały się zewsząd. O Tycjana zabiegali członkowie najświetniejszych włoskich rodzin, bogaci kupcy i inni prominentni obywatele Wenecji, jak również zagraniczni klienci.

Artysta skrupulatnie liczył wpływy w złocie, choć czasem spuszczał z ceny dla innych profitów. Zdarzało się, że zamiast dukatów przyjmował gratyfikację w... beczkach wina, korcach pszenicy, nawet w kamieniu na budowę domu. Nie bez znaczenia też były fama i reklama, wartości niewymierne, ale procentujące w realnych zarobkach – a dodatkowy rozgłos zapewniał mu Pietro Aretino, pisarz, pamfletista i plotkarz, nazywany biczem książąt. Cóż, 30-letnia przyjaźń malarza i pisarza miała mocne podstawy w postaci obustronnego interesu...

NACIĄGANY MATUZALEM

W tym roku w najważniejszych muzeach Europy będzie królował da Vinci (500 lat od śmierci). Na tle tego wszechstronnego geniusza dokonania młodszego o dwa pokolenia Tycjana jawią się dość skromnie. Trudno określić Weneccjanina mianem człowieka renesansu. To był „tylko” malarz. Za to jeden z największych w historii.

Chociaż tak starannie przebadany, Tycjan ma swoje tajemnice. Pierwsza to data urodzin: rok 1488 czy 1490?

Przez lata za biograficzny pewnik uchodził list artysty napisany do króla Hiszpanii Filipa II w 1571 r. W tej korespondencji Tycjan mianuje się „biednym 95-letnim starcem”, zabiegającym o należne mu wynagrodzenie. Jednak mistrz pędzla był także mistrzem manipulowania informacjami na temat własnych dochodów. Konsekwencją listu były legendy o nadzwyczajnej długości życia malarza, w najśmielszych szacunkach dochodzącej do setki lub też ją przekraczającego.

Tymczasem długowieczność Tycjana – ostatecznie przyjmuje się, że zmarł w wieku 86 lat – nie przekraczała zbytnio normy artystów wykonujących tak bezpieczny dla zdrowia fach jak malarstwo.

Matuzalemów nie brakło. Ot, choćby Giovanni Bellini dożył też 86 lat; młodszy „konkurent” Tycjana, Jacopo Bassano, zmarł w wieku 82 lat; a młodszy o dwie generacje Jacopo Tintoretto dożył 76 lat.

Jeśli chodzi o inne matactwa Tycjana – to nawet dziś mógłby udzielać wskazówek, jak wymknąć się fiskusowi.

Przez pół wieku cieszył się szczególnym przywilejem: ojcowie miasta zwolnili go od podatków. W 1566 r., kiedy jego bogactwo stało się trudne do ukrycia, zmuszono go do zeznań podatkowych, tak jak innych współobywateli Republiki Weneckiej. I wtedy okazało się, że malarz miał smykałkę do interesów. Tutaj młyn, nawet dwa, tam skład drewna, ówdzie łąka, do tego dochody z monopolu na ryciny według jego malowideł.

Jednak największy zarobek Tycjan miał z obrazów. Do jego klientów zaliczali się władcy ówczesnej Europy: Habsburgowie (cesarz Karol V i jego syn Filip II – król Hiszpanii), Walezjusze (Franciszek I, król Francji), a także książęta Gonzagowie, d’Este, Farnese, Rovere. Oraz przedstawiciele tych rodów zasiadający w Stolicy Apostolskiej.

CELEBRYCI I BEZIMIENNE PIĘKNOŚCI

Renesans to była rewolucja, gdzieś krwawa (reformacja i wojny chłopskie), gdzieś indziej łagodna. Nie analizując całego spektrum zmian, które przyniósł ten mentalno-intelektualny ruch, chcę zwrócić uwagę na... ciało, przez stulecia uchodzące za grzeszne. Odrodzenie dało przyzwolenie na nagość i erotykę.

We frankfurckim zestawie mamy przegląd seksownych ślicznotek, wcielających się w role antycznych boginek. Do mitycznych bóstw pozowały zwykłe śmiertelniczki, jednak ich dane nie zachowały się do naszych czasów. A i za ich życia nie były ujawniane. Zresztą kogo by obchodziły? Zwłaszcza że nie były to wierne portrety modelek.

Wszystkie damy przeszły „Photoshop” pędzli mistrzów. Gładziutkie, pulchne, w biodrach rozłożyste, acz z małymi biustami i koniecznie z długimi blond lokami. Ideał renesansowej urody.

Zachowały się receptury, jak osiągnąć ten najbardziej pożądany kolor włosów (z rudawym odcieniem, zwanym tycjanowskim). Poza ziołowymi rozjaśniaczami konieczne było wielogodzinne trwanie na słońcu. Zabieg wymagający czasowo, także sprawdzian wytrzymałości.



Portret Clarice Strozzi, 1542 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Niejako na przeciwnym biegunie anonimowych modelek plasuje się galeria panów. Ci są podpisani z imienia, nazwiska i funkcji. Znani i utytułowani lub zasłużeni dla ludzkości za sprawą intelektualnych czy twórczych osiągnięć. Te wizerunki pomagają nam uświadomić sobie, kto w Wenecji (i w innych księstwach włoskich) pociągał za sznurki.

Pomiędzy notablami w reprezentacyjnych strojach uwagę zwraca młodzian w czerwonym berecie. Malutki portret autorstwa Tycjana z 1510 r. Młody człowiek nie wyróżnia się urodą silną jak cios, jednak jego twarz fascynuje. Ciemne oczy są tak wymowne, że nie mamy wątpliwości co do inteligencji modela. Widać też, że chłopak ma własne zdanie o świecie, że jest uparty i pewny swej wiedzy.

Dodatkowo intryguje, że wizerunek namalowany przez Tycjana nawiązuje „beretowy” dialog z innymi wizerunkami, przedstawionymi przez Rafała, Vermeera, Rembrandta. Czyżby czerwone nakrycie głowy potęgowało intensywność spojrzenia?

POTOMKOWIE FORTUN

W średniowieczu dzieci jako modele nie występowały. Nawet Dzieciątko Jezus nierzadko wyglądało, jakby autorzy malowideł nigdy nie oglądali z bliska małych dzieci. W renesansie maluchy zaczynają być traktowane znacznie poważniej przez mistrzów pędzla i dłuta. Zwłaszcza kiedy rodzice dobrze płacą.

W dorobku Tycjana kilkoro malców zasługuje na uwagę. „Maskotką” wystawy jest pięcioletnia Clarice Strozzi (sportretowana w 1542 r.), córka słynnego weneckiego notabla, notabene wygnańca z Florencji. Aretino zachwycony konterfektem piał z zachwytem: „Wizerunek zasługuje na to, by go postawić ponad

wszystkimi obrazami, jakie były i będą namalowane”.

Mała Clarice jest rzeczywiście w geście i spojrzeniu tak naturalna, jakby Tycjan pstryknął jej fotkę. Pomocny w „ujarzmieniu” małej modelki okazał się piesek, metoda stosowana przez niemal wszystkich mistrzów, którym za zadanie dano uwiecznienie kilkulatków.

To jeden z sekretów Vecellego: do czegokolwiek się zabrał, nadawał temu wymiar prawdy.

Pisał o nim Eugène Delacroix: „Wzrusza on, jak mi się wydaje, nie głębią swego wyrazu ani jakimś szczególnym zrozumieniem przedmiotu, ale prostotą i brakiem wszelkiej afektacji. [...] oczy u niego patrzą i ożywione są ogniem życia. Życie i myśl obecne są wszędzie”.

Dlatego Vecelli umiał sprowadzać na ziemię świętych. We Frankfurcie zachwycała mnie scena zatytułowana „Matka Boska z Dzieciątkiem, świętą Katarzyną i pasterzem”, lepiej znana jako „Madonna z królikiem”. Dwie cudnej urody niewiasty podają sobie dziecko, rozkosznego niemowlaka, tak prawdziwego w ruchu jak współczesne maleństwa fotografowane przez zachwyconych rodziców. Nieopodal pasterz zajmuje się swoim stadem (oczywiste odniesienie do Ewangelii), zarazem, jak to młody chłop, popatruje na piękne i wystawnie odziane kobiety.

Ten obraz wiąże się też z Wielkanocą: u stóp Madonny leży pleciony koszyk ze święconką, ona zaś głaszcze... białego króliczka, wielkanocny ponadczasowy rekwizyt, symbol, gadżet. Taka była Wielkanoc Anno Domini 1530.

ANEKS

Od kilku lat Wielkanoc spędzałam pod Frankfurtem, od kilkunastu lat obserwuję zmiany w tym mieście. Tego roku multi-kulti osiągnęło nieznanymi mi wcześniej stopień natężenia. W Wielką Sobotę było to szczególnie szokujące. Zatlóczenie w centrum, szal zakupowy, występy muzykujących na ulicy artystów wszelkich ras i wyznań sprawiały wrażenie jakiegoś amoku, panfestynu – a zarazem zaprzeczały najważniejszym chrześcijańskim świętom.

Na tym tle wystawa w Städel Museum jawiła się spotkaniem z sacrum, muzeum zaś – jedyną odwiedzaną świątynią. Nie wiem, czy to pocieszenie...

„Tycjan i renesans wenecki” – Städel Museum, Frankfurt, do 26 maja 2019 r.

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA



**TYGODNIK
„DO RZECZY”**

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE BIOGRAFIA
ZBIGNIEWA HERBERTA
AUTORSTWA
JOANNY SIEDLECKIEJ

„PAN OD POEZJI”

~~357~~ zł



140,00 zł



**OSZCZĘDNOŚĆ
217 zł**

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

Na treść „Serotoniny” składają się wspomnienia cierpiącego na depresję 46-letniego pracownika ministerstwa rolnictwa. Florent-Claude Labrouste wyrывa się z dotychczasowego życia – co jest wysmakowaną formą tchórzostwa – i postanawia zająć się kontemplowaniem swoich depresyjnych stanów, rozpamiętywaniem przeszłych relacji z kobietami, jednej męskiej przyjaźni i kosztowaniem bezsensowności życia. Przed popadnięciem w całkowitą apatię powstrzymują Florenta-Claude’a – bohater rzecz jasna nie znosi tego imienia – tylko przyjmowane dawki captorixu, leku wyzwalającego serotynę. W krótkiej zapowiedzi, którą znajdujemy w książce, możemy przeczytać takie oto zdanie: „Miłość to mrzonka, seks – katastrofa”. Sądę, że nie odpowiada ono temu, co znajdujemy w lekturze „Serotoniny”. Francuski pisarz nie idzie – moim zdaniem – w stronę negacji wszystkiego, a jego bohater – bardziej niż ofiarą depresji – jest ofiarą duchowej porażki.

RANIE OHYDĄ

Powierzchowne przejrzenie książki być może mogłoby zmylić. Bez wątpienia Houellebecq w zwyczajny sobie sposób chce czytelnika zgorszyć i zranić, a równocześnie przyciągnąć go atmosferą skandalu. „Serotoninę” – tak jak poprzednie powieści – wypełniają jawnie pornograficzne opisy łącznie ze sceną zoofilską i pedofilską, a także ciągłe fantazje, wspomnienia i zapisy erotycznych snów. Obrazki te w żaden sposób nie są potrzebne do rozwoju akcji (która jest raczej skromna). Czy są ważne dla jej ogólnej wymowy, o tym można dyskutować. Gdyby chciał zobaczyć w nich jakiś sens, to polegałby on być może na epatowaniu czytelnika nim samym. Pornografia jako doświadczenie współczesnego pokolenia jest formatem wielu jego wyobrażeń, siłą niszczącą związki, narzucającą wulgaryzm w relacjach pomiędzy kobietami i mężczyznami. Houellebecq zdaje się mówić liberyńskiemu czytelnikowi – uważasz mnie za pisarza skandalistę, kiedy bezwstydnie opisuję to, czym karmisz każdego dnia swój mózg w domowym zaciszu. Zobacz, jaka to jest ohyda.

Próba zranienia czytelnika polega na nieustannym multiplikowaniu opisów złych doświadczeń bohatera powieści, podawaniu ich w rozmaitych wariantach, epatowaniu poczuciem klęski Labrouste’a. Trudno wyjść z takiego ostrzału bez

Wyjście z ruin



Tomasz Rowiński

Czytający „Serotoninę” ma mieć poczucie, że przegrał życie. To świadoma próba zranienia czytelnika



Michel Houellebecq FOT. ANDREU DALMAU/EEF/FORUM

poczucia, że i nasze własne życie ma się w najlepszym wypadku umiarkowanie udane. Kiedy ktoś tysiąc razy próbuje ukłuć drugiego szpilką – w końcu w jednym, drugim czy dziesiątym przypadku trafia do celu. Tak działa mechanizm Houellebecq, czytelnik też ma czuć, że przegrał życie.

To prawda, że Houellebecq jest szydercą. Szydzi choćby wtedy, gdy obrazuje stan francuskiej burżuazji. W Polsce, gdzie prawie nie doświadczamy różnic klasowych, nie wytwarzają ich nawet duże różnice w zamożności różnych grup społecznych, te obserwacje mogą się wydać czymś nie zawsze zrozumiałym. Jednak dla czytelnika francuskiego są czymś bliskim. Wyniosłość, przywiązanie do statusu, traktowanie niżej postawionych na drabinie społecznej niczym nietykalnych lub zwierzęta, a jednocześnie zepsucie, libertynizm, porażenie społeczną dysfunkcją uniemożliwiającą tworzenie normalnych międzyludzkich relacji. Także tej relacji, która jest dla Houellebecq, jak się zdaje, najważniejsza.

Osobno warto zwrócić uwagę na wątek wspomnień Labrouste'a dotyczący Ayméria d'Harcourta. Przyjaciela głównego bohatera z lat studiów, przedstawiciela i dziedzica rodu, którego początki giną naprawdę w odległej przeszłości, w wiekach średnich. W tych partiach powieści można odnieść wrażenie, że nie znajdujemy się wśród rozważań „opryskliwego” i „jasno myślącego nihilisty”, ale wśród kart, którejsz z książek Jeana Raspaila, sztandarowego pisarza tradycjonalizmu, choć także ze skłonnością do konserwatywnego nihilizmu. Jest zamek, jest wielkie dziedzictwo i – bez wątpienia – szlachetność. D'Harcourt został przez Houellebecq przedstawiony w kontrastowo jaśniejszych barwach niż paryska burżuazja. Co więcej, desperacki czyn, którego dokonuje, stając na czele małego powstania normandzkich rolników sprzeciwiających się polityce Brukseli, choć wątpliwy moralnie, ewidentnie jest dla Houellebecq okazją do pokazania wielkoduszności dawnej Francji. Sam d'Harcourt wydaje się być ostatnim duchem tej Francji sprzed roku 1789. Raspail, wierzący w aktualność dawnej Francji, by tego lepiej nie zarysował. Nie napisałby też tej historii bardziej serio.

„Pogłoska, że jestem przyjacielem »pana d'Harcourta«, musiała się rozejść po miasteczku, właścicielka przyjęła mnie z życzliwością i szacunkiem [...] W tej kafejce przywodzącej na myśl czasy

ancien régime'u, jakby tysiąc siedemset osiemdziesiąty dziewięć pozostawił tu tylko powierzchowne ślady, czułem wokół siebie dość dziwną atmosferę; w każdej chwili spodziewałem się usłyszeć któregoś z chłopów mówiącego o Aymericu »nasz pan«”. Historia d'Harcourta to nieironiczne ożywienie dziedzictwa nihilistycznego – może bardziej desperackiego? – heroizmu, znanego z książek grupy pisarzy określanych mianem „husarzy”, jest zaskakująca. Raspail to z pewnością jeden z ostatnich przedstawicieli nurtu „husarzy” i jednocześnie z perspektywy choćby paryskich dzienników, skrajna prawica. Niezależnie od tego, czy to nawiązanie jest świadome, jest pewne, że z d'Harcourta Houellebecq nie szydzi.

Dlaczego jednak nie można przyjąć zdania „miłość to mrzonka” jako puenty powieści? Dlatego, że „Serotonina” to książka, w której wszystkie historie, czasem ciekawe same w sobie, tak jak ta o ostatnim d'Harcourcie, służą do obrony, opartego na romantycznej relacji, małżeństwa. Opisy życiowych klęsk Florenta-Clau-de'a nie służą do tego, by podważyć sens życia, sens miłości kobiety i mężczyzny, ale by pokazać, że w relacjach to my jesteśmy odpowiedzialni i za klęski, i za zwycięstwa. Małżeństwo zaś jest tym, ku czemu skłania się ludzkie serce, jest wręcz kołem ratunkowym rzuconym człowiekowi przez Boga w jego nowoczesną samotność. Trzeba uznać, że Houellebecq nieco przelicytuje tam, gdzie czyni z małżeństwa małą twierdzę, która ma chronić przed nowoczesnym światem. Wydaje się, że takie zamknięte traktowanie damsko-męskich relacji intymnych jest jednym z symptomów dekadencji współczesnej cywilizacji. Mit romantycznej miłości niechętny będzie przyjmowaniu potomstwa, czego jasny przykład w powieści dają rodzice głównego bohatera. To małżeństwo wierne i lojalne, aż poza roztropność, dla którego jednak syn mimo ich troski był przeszkodą w realizacji życia jako romantycznej przygody. Niemniej Houellebecq trafia też w punkt, gdy Labrouste rozpoznaje fundamentalnie ludzki, ale i nadprzyrodzony charakter relacji małżeńskiej.

WYZNANIE WIARY

„Serotonina” nie jest powieścią pedagogiczną – to jasne. Nie idealizuje małżeństwa. Jednak wśród opisów ruiny

ludzkich losów daje czytającym możliwość wyjścia. W tym sensie „Serotonina” jest całkiem niezłym moralitetem. Houellebecq mimochodem wskazuje na życiodajny charakter trwałych ludzkich związków, które nie są przecież obietnicą zniesienia cierpienia, jednak pozwalają uczynić go sensownym. Ta banalna konstatacja być może jest najbardziej kontrowersyjna dla nowoczesnej wielkomiejskiej samotności. Labrouste obserwując alkoholizm jednej ze swoich podstarzałych byłych kochanek, konkluduje, że „wystarczyłoby jej odrobinę małżeńskiej czułości”. Ich rozstanie było tak typowe, on dostał dobrą pracę na prowincji, ale ona nie chciała zostać Paryżem, gdzie wciąż miała nadzieję na karierę aktorską. Kariera się nie udała, związek się rozpadł. W innym wspomnieniu główny bohater mówi, że brakowało mu „oprogramowania”, by zaproponować małżeństwo bliskiej kobiecie. Najważniejszy życiowy związek Labrouste'a rozpada się w banale zdrady, która nie miała swojej życiowej przyczyny poza bezmyślnością, poza – być może – pornograficznie sformatowaną seksualną kompulsją.

Powieść kończy się niespodziewanym wyznaniem wiary narratora. Padają pytania, które pod ciężarem kończącej się powieści, smutnych ludzkich losów w niej opisanych i zmarnowanych szans na sensowne życie we dwoje, nie wydają się jakoś banalne. Czy ulegliśmy złudzeniom nieskończonych możliwości? Czy przypadkiem nie pozwoliliśmy „naszym czasom, by nas zniszczyły i byśmy bardzo długo przez nie cierpieli?”. „Bóg się nami zajmuje, myśli o nas w każdej sekundzie i daje nam niekiedy bardzo precyzyjne wskazówki”. I dalej: „Dzisiaj już rozumiem punkt widzenia Chrystusa, jego znicięcipliwienie zatwardziałością na-

szych serc: otrzymali wszystkie znaki i nie biorą ich pod uwagę. Czy naprawdę muszę oddawać za tych nieszczęśników życie? Czy naprawdę trzeba być do tego stopnia dosłownym? Wygląda na to, że tak”.

Jeśli te religijne konkluzje nie są tylko kolejną prowokacją, to trzeba zapytać, czy z samego serca popkultury spoglądającego świat nie usłyszał bardzo prostego, choć niespodziewanego dla siebie proroctwa?



MICHEL
HOUELLEBECQ
„SEROTONINA”
W.A.B. 2019



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CHĘŁMNIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Dziennikarstwo odwala kite



★★★★★
REŻ. JONATHAN
LEVINE
„NIEDOBRAŃI”
(„LONG SHOT”)
USA 2019

wyst. Charlize
Theron, Seth Rogen,
June Diane Raphael

Głową państwa został koleś, który przekonująco zagrał prezydenta w serialu. Polityka jednak szybko mu się znudziła. Teraz odlicza dni dzielące go od końca kadencji, w nadziei, że wkrótce będzie mógł kontynuować aktorską karierę na ekranie większym niż telewizyjny. Obywatele wybaczą ulubieńcowi dezercję, bo realna władza i tak znajduje się w rękach grupy skubańców, śpiących na workach z pieniędzmi.

Sądźcie pewnie, że ktoś tu drwi z nieszczęsnej Ukrainy? Skądże znowu – twórcy „Niedobranich” wzięli na ząb USA. Marzenie o uczciwej, prostolinijnej, odpornej na lobbging i korupcję polityce towarzyszy jankesom od dawna, może nawet od samego początku. Hołubili je ojcowie założyciele, zde gustowali europejskim cynizmem.

Upowszechniał Hollywood chwytającymi za serce filmami w rodzaju „Pan Smith jedzie do Waszyngtonu”. Tutaj odziano je w kostium rubasznej komedii. O dziwo, całkiem mu w nim do twarzy.

Rzecz jasna, od czasów Franka Capry Ameryka trochę się zmieniła. Pan Smith nie musi wyprawiać się do stolicy, bo już w niej mieszka. Poza tym jest sekretarzem stanu i długonogą blondynką, dzięki czemu łatwiej skupia na sobie uwagę wyborców. Charlotte chce wykorzystać te atuty, by zmusić resztę świata do proekologicznej rewolucji i na fali powszechnego entuzjazmu zostać następną lokatorką Białego Domu.

Może jej w tym przeszkodzić tylko jeden człowiek: dziennikarz śledczy, paradujący w kreszowym dresie, bojówkach i bejsbolówce.

Pyskaty Fred traci grunt pod nogami, gdy jego redakcję przejmie wielki koncern, niechętny pismakom próbującym zmieniać ojczyznę na lepsze. Dołącza do sztabu Charlotte, wierząc, że w głębi duszy jest taką samą jak on idealistką.

W tym miejscu fabuła ostro skręca w stronę „Notting Hill”. Pomysł, by najpotężniejsza kobieta świata padła w ramiona błazna i outsidera, jest księżycowy, lecz stwarza wiele okazji do śmiechu. Zdając sobie sprawę, że ujawnienie ich związku pogryząłoby Charlotte w oczach Amerykanów, niepokorny Fred gotów jest odgrywać rolę Marilyn Monroe, czyli sekretnego kochanka. O powrocie do dawnego zawodu już nie myśli, bo „dziennikarstwo odwala kite”.

Tak świat traci buntowników. Rogen, gwiazdor i współautor anarchistycznych komedii, też zmierza w stronę mainstreamu. Rutynowe żarty z białych suprematystów, telewizji Fox News, plastikowego premiera Kanady i PR-owców przekonanych, że polityka równa się skutecznej ściemnie, puentuje finał, godny imię pana Fredy. Demokraci, republikanie, Żydzi i chrześcijanie – kochajmy się! Jedziemy wszak na tym samym wózku. W stronę przepaści. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „ALADYN”

Zgodnie z nową świecą tradycją Disney przerabia kolejną klasykę animacji na film aktorski, co już na dzień dobry stało się okazją do fanowskiej wojny w Internecie, gdyż wielu widzom nie przypadł do gustu Will Smith w roli dżina. Choć reżyserem został Guy Ritchie, spec od rozrywki dla starszych („Przekręt”, „Porachunki”, dwie

części „Sherlocka Holmesa”), to w dalszym ciągu mamy do czynienia z przygodowym musicaliem, przypominającym chwilami produkcje z Bollywood. ©© **Piotr Gociek**
• reż. Guy Ritchie „Aladdin” („Aladdin”), USA 2019, wyst. Will Smith, Mena Massoud, Naomi Scott, Billy Magnussen

NA EKRANY WCHODZĄ TAKŻE:

- „Ad Astra”, reż. James Gray, USA/Brazylia 2019
- „Brightburn: Syn ciemności”, reż. David Yarovesky, USA 2019
- „Gloria Bell”, reż. Sebastián Lelio, USA/Chile 2018
- „Wymarzony” („Pupille”), reż. Jeanne Herry, Francja 2018

Droga donikąd

Czym się różni film amerykański od europejskiego? W tym drugim słowo wciąż góruje nad obrazem. „Tranzyt”, ekranizacja powieści wydanej w czasach młodości naszych dziadków, nie byłby aż tak przegadany, gdyby reżyser zaniechał dodatkowej narracji. Spoza kadru rozwój wypadków komentuje głos, którego właściciela ujrzemy dopiero w ostatniej scenie.

Jeszcze większym dziwactwem było przeniesienie akcji z roku 1940 w czasy współczesne. Być może Petzold miał problem z dopięciem budżetu, oszczędzał na kostiumach i scenografii, naraził jednak mniej wyrafinowanych widzów na dotkliwy dysonans poznawczy. Wciąż słyszymy o nazistach okupu-

jących Francję. Na ekranie nie pojawi się jednak nawet rąbek niemieckiego munduru. Obław na zbiegów dokonują miejscowe służby, wspierane przez armię donosicieli.

Główny bohater jest fatalistą, o jego losie wciąż decyduje przypadek. Nawet mu z tym do twarzy, co staje się przyczyną konfuzji w kontaktach z naiwnym dzieciakiem i zdesperowanymi kobietami. Podobno nowa wersja „Tranzytu” jest aluzją do kryzysu uchodźczego. Ze wstydem przyznaję, że dramat emigrantów sprzed lat 80 słabo rymuje mi się z teraźniejszością. Wtedy ludzie gotowi byli wiać z Europy choćby do Casablanki. Dzisiaj cała Casablanca chce się przenieść do Europy. ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★
REŻ. CHRISTIAN PETZOLD
„TRANZYT”
(„TRANSIT”)
NIEMCY 2018

wyst. Paula Beer,
Franz Rogowski,
Godehard Giese



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KAŻDY FACET TO ŚWINIA

Zaczął się w Wielkiej Brytanii w latach 80. Lynda La Plante stworzyła serial „Wdowy” (była też powieściowa wersja). W ubiegłym roku do kin trafiła wersja hollywoodzka, do której scenariusz napisała Gillian Flynn (od „Zaginionej dziewczyny”), a reżyserią zajął się Steve McQueen (Oscar za „Zniewolony: 12 Years a Slave”).

Główne założenie fabuły pozostało: po tragicznej śmierci mężów wdowy po specjalistach od napadów na banki próbują iść w ich ślady. Grzechem byłoby nie skorzystać z gotowych planów, poza tym wszystkie panie klepią biedę. W wersji amerykańskiej nowością jest wątek polityczno-korupcyjny, zresztą spleciony z całą intrygą. Dużo mocniej zaznaczono wątek feministyczny. To nie tylko kryminał, lecz także opowieść o stracie, zdradzie i emancypacji. Od strony reżyserskiej to imponująca robota, aktorzy też świetni (zwłaszcza Viola Davis i Elizabeth Debicki). Aż dziw, że oscarowe gremium nie znalazło tu nic do wyróżnienia.



★★★★★
REŻ. STEVE MCQUEEN
„WDOWY”
(„WIDOWS”)
USA 2018

wyst. Viola Davis, Michelle Rodriguez,
Elizabeth Debicki, Liam Neeson,
dyst. Imperial

SHERLOCKU, JESTEŚ IDIOTĄ

Trudno nie obiecywać sobie wiele, widząc w obsadzie duo Will Ferrell i John C. Reilly, wszak bawili nas przednio w filmach „Ricky Bobby – Demon prędkości” i „Bracia przyrodni”. Tym większe rozczarowanie. „Holmes i Watson” to jedna z najsłabszych komedii sezonu, pozbawiona oryginalności, tempa, humoru i dobrych dialogów. Jej poziom wyznaczają żarty o onaniście, który zamasturbował się na śmierć, czy polowanie na pszczoły poprzez bicie się po głowach szuflami. Lubię komedie kreślone grubą kreską, ale w tej wszystko jest zbyt grube, a nawet grubiańskie. Przerazająca strata czasu i talentu niezłych aktorów, którzy kompletnie nie mają co grać – oprócz głównej dwójki to m.in. Ralph Fiennes jako profesor Moriarty, Rebecca Hall w roli pani doktor oraz Kelly Macdonald jako zdiurwata (tym razem) pani Hudson, gospodyni Sherlocka. Cztery Złote Maliny były zasłużone. Dałbym i sześć. ©© **recenzuje Piotr Gociek**



★★★★★
REŻ. ETAN COHEN
„HOLMES I WATSON”
(„HOLMES & WATSON”)
USA 2018

wyst. Will Ferrell, John C. Reilly, Kelly Macdonald, Rebecca Hall, dyst. Imperial

GRA TYGODNIA: „IMPERATOR: ROME”

„Dziel i rządź” – ta stara rzymska maksyma dobrze pasuje do nowej strategii turowej studia Paradox, osadzonej w realiach Imperium Romanum. Gdyby jednak miała ona w zupełności odpowiadać duchowi gry, należałoby ją rozbudować o „dziel, planuj, stwórz armię, zarządzaj

gospodarką, ustrojem, nauką, rozwijaj prowincje i twórz nowe dynastie”. „Imperator: Rome” to bowiem złożona i wymagająca strategia na naprawdę kontynentalną skalę. I za to właśnie niektórzy kochają produkcje Paradoxu. Jak żadne inne pozwalają one oddać ducha rządzenia rozległym imperium.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

O ile ktoś się we wszystkich tabelkach i wykresach połapie. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** Strategia
- **Platforma:** PC
- **Producent, dystrybutor:** Paradox Development Studio
- **Klasyfikacja PEGI:** 12+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Pisarze i hydraulicy

Zdawałoby się, ledwie wczoraj Charles Bukowski, zapijaczony amerykański poeta, wywoływał kolejne awantury, po których trafiał do aresztu, stając się niejako symboliczną postacią rzekomo nonkonformistycznego pokolenia, beat generation, obok Jacka Kerouaca czy Allena Ginsberga. Mało kto zwracał wtedy uwagę na to, że w 1963 r., kiedy przyszły autor „Listonosza” udzielił pierwszego wywiadu (dla „Chicago Literary Times”), miał 43 lata i nieźle znał życie. To wtedy powiedział m.in.: „Homoseksualiści są delikatni, kiepska poezja też jest delikatna, ale Ginsberg zrobił przewrót i zamienił poezję homoseksualną w mocną poezję, prawie męską poezję, ale w dalszej perspektywie homosie zawsze będą homosiami, a nie poetami”. A cztery lata później ten autor, uznany swego czasu przez magazyn literacki z Nowego Orleanu za Outsidera Roku, w rozmowie z Johnem Thomasem nie zostawia na bitnikach, z którymi jest identyfikowany, suchej nitki. Zresztą nie tylko na nich, także na hipisach, na swingersach, na tych wszystkich – jak ich określał – kurzych mózdzkach: „... nie potrafiąc zaakceptować prawdy, nie potrafiąc szczerze spojrzeć w lustro. Bawią się duszą, chcą być w tym, tańce, buciki, brody, berety, hip, pop, cokolwiek. Długie włosy, krótkie spódniczki, sandały, cokolwiek, psychodeliczne imprezy, malowidła, muzyka, psychodeliczne grejpfruty, psychodeliczni rewolucjoniści, wiaderka z popcornem, czarne okulary, rowery, joga, psychoaktywne dźwięki i obrazy, disco, dziewczyny są Richardсами, szaleństwo na Soap, Kid Goldstein, nowy superpopowy chłopak, The Jefferson Airplane, Aniołowie Piekła, cokolwiek, byle-kurwa-co, aby tylko zyskać jakąś tożsamość, zyskać fasadę Bytu, która zakryje



FOT. GETTY IMAGES

Okropną Pustkę. Ich duszą jest Bob Dylan: »Coś się dzieje, ale pan nie wie co, prawda, panie Jones?«. Powieści są ich duszą. Judy Collins i Joan Baez to ich pokojówki, a Tim Leary jest ich Elmerem Gantrym.

»marihuana była niezłym grzechem,/ale kwas, chłopie,/to dopiero w dechę«.

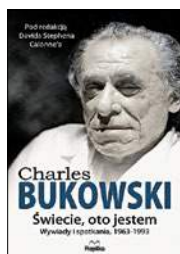
Trzydzieści trzy wywiady Charlesa Bukowskiego, udzielone na przestrzeni 30 lat, znalazły się w tomie przygotowanym pod redakcją Davida Stephena Calonne’a. Ostatni z nich udzielił Bukowski nie mieckiemu dziennikarzowi przy basenie w swoim pięknym domu w San Pedro, w sierpniu 1993 r., siedem miesięcy przed śmiercią. Był bogaty, jeździł bmw, od ośmiu lat był żonaty z Lindą Lee Beighle,

dawną właścicielką sklepu ze zdrową żywnością. Mogło się to wydawać niewykonalne, ale wymogła na nim niejadanie czerwonego mięsa i odstawienie wysokoprocentowego alkoholu. Prowadził się więc już całkiem, całkiem, jakby całe swoje poprzednie życie zamknął „Ćmą barową”, filmem Barbety Schroedera z Mickeyem Rourke’em, do którego to filmu sam napisał scenariusz na podstawie swoich wcześniej powstałych książek o, najogólniej mówiąc, chlaniu.

A na ten temat wiedział Bukowski niemało. W końcu w wieku 36 lat wyładował w szpitalu w Los Angeles, gdzie przetoczono mu 6,5 litra krwi, wzmocniono kroplówkami i wypuszczono z katagorycznym zakazem spożywania alkoholu. Bukowski natychmiast udał się do baru.

Napisał masę książek; między latami 60. a 90. opublikował pół setki tytułów, prozatorskich i poetyckich. Ze swojego pisania był na ogół zadowolony, ale o zawodzie pisarza nie miał specjalnie wysokiego mniemania. Wyżej cenił hydraulików. „Ich ważna praca – powiedział – polega na pilnowaniu, żeby gównno płynęło, a w przeciwieństwie do pisarzy nikomu go nie wciskają”.

Równolegle ze zbiorom wywiadów Replika wydała książkę Pameli Wood „Charles Bukowski. Wspomnienia Scarlet”. To o autorce tych wspomnień Bukowski pisał w wierszach jako o Scarlet, a w powieści „Kobiety” jako o Tammie. Przez dwa lata byli razem, w drugiej połowie lat 70. W zakończeniu książki opowiada o tym, jak się wściekła, gdy 9 marca 1994 r. z informacyjnego Radia KFVB usłyszała, że właśnie zmarł na białaczkę w Kalifornii pornograficzny poeta, Charles Bukowski. Tylko tyle? – pytała. ©©



★★★★★

**CHARLES
BUKOWSKI
„ŚWIECIE,
OTO JESTEM.
WYWIADY
I SPOTKANIA,
1963-1993”
REPLIKA 2018**



PIOTR GOCIEK

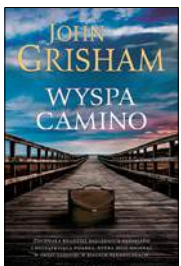
POCZYTANKI

Gdzie jest Gatsby?

Słowo „letnia” najbardziej pasuje do nowej powieści Johna Grishama. Nie chodzi jednak o lekturę na lato, lecz o umiarkowaną temperaturę wywołanych emocji. Porzuciwszy aż za nadto dobrze sobie (i czytelnikom) znany świat intryg prawniczych, autor „Raportu Pelikana” zabiera nas tym razem na wycieczkę po półkach bibliotek, księgarni i antykwariatów. Jako nałogowy czytelnik i zbieracz-utracasz byłem zadowolony, wczytując się w tajniki funkcjonowania amerykańskiego biznesu wydawniczego. Jako miłośnik kryminałów – ucieszony tym, że zamiast walizki z dolarami czy szkatułki z diamentami mrocznym przedmiotem pożądania są w „Wyspie Camino” oryginalne rękopisy F. Scotta Fitzgeralda.

Zuchwała kradzież z uniwersyteckiego sejfu, perypetie świetnie przygotowanych, a mimo to nieco pechowych złodziei, sekrety czarnego rynku obrotu wydawniczymi białymi krukami, kulisy działania firm ubezpieczeniowych – wszystko to opisane zostało przez Grishama ze znanostwem zdradzającym drobniagowe i dogłębne przygotowanie autora.

Problem zaczyna się, kiedy przyjrzymy się bliżej głównym bohaterom. To oni są najbardziej letni, a właściwie szarzy, ani specjalnie dobrzy, ani przesadnie źli. Tak bardzo letni, że nie chce się im kibicować. Spece od ubezpieczeń działają na granicy prawa, kilkakrotnie odpowiadając na pytanie: „Czy to, co robicie, jest legalne?” słowami: „Nie jest nielegalne” – niesmak pozostaje. Zatrudniona przez nich młoda pisarka, która ma być kluczową postacią w prywatnym dochodzeniu, zaskakująco łatwo wchodzi w rolę „prawie prostytutki”. Jak inaczej nazwać sytuację, w której zarobi furę dolarów w zamian za przespanie się z podejrzanym w celu wyciągnięcia z niego informacji o cennym łupie? Sam główny podejrzany, antykwariusz, kolekcjoner i playboy nie jest ani geniuszem zbrodni, ani miłośnikiem literatury o czystych intencjach. W jego przypadku nie tylko słowo „letni”, lecz także „lepk” wydaje się na miejscu. Błyskawicznie przeczytałem tę krótką opowieść, kilka razy uśmiechając się pod nosem. Po ostatnim zdaniu mogłem się tylko nieco skrzywić i zapytać: „Ale po co?”. ©©



★★★★★
JOHN GRISHAM
„WYSPA CAMINO”
ALBATROS 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

„Patriotyzm”, „Co Polsce i całej Europie dziś potrzeba”, „Cywilizacja chrześcijańska” – trzy niepublikowane dotąd w całości traktaty polskiego bł. kapucyna, konspiratora i teologa. Ze wstępem br. Juliusza Pyrka OFMCap.



BŁ. HONORAT KOŹMIŃSKI
„CZEGO DZIŚ POTRZEBA POLSCE I EUROPIE”
FRONDA

Szósty tom serii powieści kryminalnych angielskiego autora rozpoczętej powieścią „Ścigając umarłych”. Bohaterem cyklu jest były dziennikarz David Raker, obecnie specjalizujący się w odnajdowaniu osób zaginionych.



TIM WEAVER
„TO, CO ZOSTAJE”
ALBATROS

Trzecia część antologii przypominającej historie rysunkowe publikowane na łamach magazynu „Relax”. Wśród atrakcji „zielonego” tomu m.in. „Bajki dla dorosłych” Janusza Christy, drobiazgi Rosińskiego, Kobylińskiego i Szyski.



AUTORZY RÓŻNI
„RELAX”
EGMONT

Komiksy, gry, książki – sukces rodzi kolejne przedsięwzięcia firmowane logo oryginału. „Mroczne umysły” to prequel do serialu „Stranger Things”, opowieść o początkach eksperymentu, którego efektem były m.in. narodziny Eleven.



GWENDA BOND
„STRANGER THINGS. MROCNE UMYŚŁY”
PORADNIA K

©© recenzuje Piotr Gociek

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Camilla Lackberg**, „Złota klatka” (Czarna Owca) – pierwszy tom nowej serii popularnej autorki skandynawskich kryminałów.
2. **Frederic Martel**, „Sodoma” (Agora) – francuski autor książek o kulturze amerykańskiej i gejowskiej o homoseksualizmie w Watykanie.
3. **Alex Michaelides**, „Pacjentka” (W.A.B.) – zastrzeliła męża, zamknięto ją w szpitalu, nie mówi ani słowa. Zagadkę spróbuje rozwiązać nowy terapeuta.
4. **Anna Todd**, „After. Płomień pod moją skórą” (Znak) – wznowienie pierwszego tomu serii dla pań, efekt wejścia ekranizacji do kin.
5. **Heather Morris**, „Tatuażysta z Auschwitz” (Marginesy) – opowieść o *Lale Sokołowie*, który tatuował więźniom niemieckiego obozu numery na rękach.

(Najchętniej kupowane książki w sieci Empik w dniach 15.04–5.05.2019 r.)



FOT. MALWINA MAHORYN & MICHAŁ DOMINOWSKI / FACEBOOK / INGAZI

Jeśli ktoś nie wie, gdzie powstały teksty śpiewane na najnowszej płycie duetu Ingazi, to nie od razu może zauważyć, że ich pochodzenie jest tak egzotyczne z naszego punktu widzenia. Na płycie „Tchnienia” zebrano tłumaczenia tekstów afrykańskich poetów. I ani odległość – wiersze powstawały w Senegal, Nigerii i Ghanie; ani czas – są to teksty z 40., 50.

i 60. XX w. – nie przeszkadzają w tym, aby w Polsce w 2019 r. być interesującymi. Wybrano takie treści, które i w palącym słońcu Czarnego Łądu, i w chłodzie europejskiej wiosny są zrozumiałe, bo dotyczą ludzkiej natury. Niektóre zdradzają swoje pochodzenie tylko momentami – tak jak utwór „Kilka pór deszczowych temu”, gdzie zastanawiający jest sposób odmierzania czasu

tytułowymi porami deszczowymi. Najciekawsze są jednak te utwory, które raczej nie pozostawiają złudzeń co do tego, że pochodzą z innego kręgu kulturowego, a i tak nie są nam obce. Ponieważ podejmowana w nich tematyka jest ludziom bliska na każdej szerokości geograficznej. Taka jest np. tytułowa piosenka „Tchnienia” („Umarli nie są pod ziemią /

Są w zawodzącym drzewie, są w tęsknym lasu śpiewie / Są w bystrej wody szumie, są w wodzie, gdy jej cisza dziwi / Są w jaskini, są w tłumie. Umarli nie są nieżywi / [...] Są w niewiasty łonie, są w dziecku, gdy nie śpi...”).

Teksty śpiewane z odpowiednią manierą uzupełnia połączenie tradycyjnych brzmień etnicznych instrumentów (m.in. ngoni, bolon, balafon) z nowoczesną elektroniką.

Duet Ingazi tworzą Gwidon Cybulski i Rafał „Praczas” Kołaciński. – Kiedy zacząłem czytać te wiersze, od razu doceniłem ich uniwersalność. I pomyślałem o Gwidonie, że świetnie nadawałby się do „udźwiękowienia” tych opowieści – opowiada Rafał „Praczas” Kołaciński w audycji Strefa Dread w radiowej Czwórce. Proste, ale rzeczywiście pokazujące, że tak naprawdę mały jest ten nasz wielki świat. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Jesień wiosną, czyli „I Am Easy to Find”

Przychodzi taki moment, kiedy konieczne są zmiany. Na ósmym albumie Amerykanie dokonali ich wiele, jednocześnie nie zmieniając ponurego klimatu swej muzyki.

Inspiracją do powstania płyty był film krótkometrażowy „I Am Easy to Find” opowiadający o trudnych momentach z życia kobiety. Reżyser Mike Millis (nie mylić z muzykiem REM) został niemuzycznym producentem albumu. Teksty, jak zwykle, nie są za przyjemne. Opowiadają o alienacji, tęsknocie, żalu i samouzdrawianiu winem i ziołami. Aby

wypuklić stany psychiczne oraz różnorodne charaktery bohaterów, zaangażowano aż trzy wokalistki, które na zmianę śpiewają z Mattem Berningerem. Dodatkowo słyszymy chór Brooklyn Youth Chorus oraz większe niż zwykle znaczenie nadano orkiestrowym orkiestracjom. Dzięki tym zabiegom album brzmi spójnie, a jednocześnie piosenki są różnorodne.

Na albumie znalazło się aż 16 utworów trwających od jednej minuty do siedmiu. „Jest milion małych bitew, których i tak nigdy nie wygram” – konkludują Ona i On w tytułowej piosence. ©©



★★★★★
THE NATIONAL
„I AM EASY TO FIND”
4AD



★★★★★
DANIEL BLOOM FEAT. LESZEK MOŻDŻER
„DOLCE FINE GIORNATA”
WARNER

Mistrz elektronicznych klimatów (Bloom) i mistrz jazzowego fortepianu (Możdżer) stworzyli nastrojowe krajobrazy do filmu Jacka Borcucha „Słodki koniec dnia”. Chwilami jazzują, clubbingują, ale najczęściej malują dźwiękowymi pastelami.



★★★★★
MU
„FREE ENERGY!”
AGORA
Tymon Tymański z zacykami,

trójmiejskimi współpracownikami po angielsku przetwarza melodyjne piosenki przez elektroniczną wyobraźnię. Połamane rytmy, postjazzowe hurgoty, a i tak od Beatlesów nie było ucieczki. Niepokojąco ciekawe. ©©



POD WĄS

Świrland

IGOR ZALEWSKI

Odkąd pamiętam, najwięcej osób mających – tak to nazwijmy – kuku na muniu funkcjonowało na prawicy. Po roku 2015 bardzo szybko doszło jednak do nieoczekiwanej zamiany miejsc. Serce polskiego szaleństwa bije obecnie po lewej stronie.

Zrozumiałem to po raz pierwszy kilka lat temu, kiedy Komitet Obrony Demokracji zorganizował pikietę protestującą przeciwko odstąpieniu od kupna francuskich caracali. Pojawili się na niej wówczas ludzie z helikopterami na głowach. W telewizji wyglądali równie pocieszenie co kiedyś prawnicy obwieszeni obrazkami świętych i opatuleni w narodowe barwy. Potem poszło już szybko.

Były laleczki wudu, w które znane artystki wbijały szpikulce, by ukatrupić Kaczyńskiego. Były koszulki z napisem „KONSTYTUCJA”, które zakładano na pomniki. Były dziki. Były znaczki z antytotarytarnymi hasłami, którymi aktywiści opozycyjni obwieszali się jak choinki. W końcu był – i jest – Lech Wałęsa, który regularnie wygłasza coraz bardziej ekscentryczne opowieści, między innymi o pozaziemskich cywilizacjach. Ostatnio obejrzałem film, na którym Wałęsa – jak informuje jego żona, spędzający niebezpiecznie dużo czasu przed komputerem – apeluje do „szefów U2”, by oczyścili się z kłamstw rozpowszechnianych na jego temat przez Krzysztofa Wyszakowskiego. To już ten moment, w którym śmiech zamiera na ustach, a człowieka oglądającego występ byłego prezydenta

przechodzi bardzo zimny dreszcz.

Ale wróćmy do łżejszego repertuaru. Oto ukazuje się książka Tomasza Piątka poświęcona „tajemnicom Morawieckiego”. Rzuciłem okiem na nią oraz na infografiki zawarte w tym dziele i z uznaniem muszę przyznać, że to jedno z najzabawniejszych dokonań literackich, z jakimi miałem w życiu do czynienia. Może nie spłakałem się nad nim ze śmiechu, ale na pewno biłem się z uciechy po udach. Piątek maluje tam obraz, który – co ciekawe – nieco pokrywa się z wizją Grzegorza Brauna, dla którego Polska to kondominium rosyjsko-niemieckie. U Piątka to tylko kondominium rosyjskie, nadzorowane przez Kreml, GRU i mafię solarne. Nie brzmi to odkrywczo, ale w centrum opowieści autor stawia kilku moich znajomych, którzy są przedstawiani jako demoniczni rosyjscy agenci nadzorujący poczynania Morawieckiego. I kiedy wyobrażam sobie tych pocziwców, jak opędzając się od dzieci i żon, szykują szyfrogramy do moskiewskiej centrali, to po prostu nie wytrzymuję i rechoczę jak oszalały.

Kilka lat temu podobne wynurzenia o ruskiej agenturze – może z bardziej uwypukloną rolą Żydów – mogły pojawiać się w niszowych pisemkach ultraprawicowo-patriotyczno-nacjonalistycznych. Teraz rodzą się w mainstreamie i będą o nich dyskutować z namaszczeniem normalni, wydawałoby się, ludzie. Nie-samowite, do czego prowadzi poczucie bezsilności. ©©



KRÓTKO PO WOLSKU

Zbrodnia i kara

MARCIN WOLSKI

Bardzo często, kiedy za sprawą mediów wypływa jakaś sprawa (np. pedofilii), pojawiają się głosy na temat konieczności zaostrzenia prawa. Co gorsza, idą za nimi czyny. Piszę „co gorsza” świadomie, narażając się wszystkim pocziwcom wierzącym, że samo zaostrzenie kar może stanowić remedium na całe zło tego świata. Osobiście uważam, zgodnie z większością specjalistów z tej dziedziny, że o skuteczności kary decyduje nie jej wysokość, ale nieuchronność, a tendencja do podnoszenia kar, choć dobrze brzmi medialnie, jest nieskuteczna, a może być niebezpieczna.

Przeczek to Amerykanie. Swego czasu, walcząc z plagą porwań dla okupu, drastycznie podniosiono kary za czyny tego typu do maksymalnego wymiaru, co oznaczało, że w stanach, w których wykonywana jest kara śmierci, zaczęto stosować „czapę”. Efekt zaskoczył wszystkich. Być może przejściowo liczba porwań zmalała (na krótko – ludzka zachłanność istnieje będzie zawsze), za to nastąpił parokrotny wzrost zabójstw porwanych. Kalkulacja przestępców była prosta – jeśli decyduję się na porwanie, za które mogę wylądować w celi śmierci, to lepiej pozbyć się porwanego, bo to w rażykalny sposób zmniejszy możliwość wykrycia mego czynu, a na pewno pozbawi sąd możliwości przywołania świadka... Obawiam się, żeby przy sprawie pedofilii nie było podobnie.

Wyobraźmy sobie zbrojca recydywistę, który w lesie spotyka samotnego beztrojskiego dzieciaka. Jako człowiek ewidentnie chory nie może pohamować swego popędu, a potem, mając w perspektywie 30 lat odsiadki, podczas gdy za morderstwo grozi jedynie 25 lat... Wolę nie kończyć.

Rozwinięte systemy penitencjarne mają w tej kwestii wiele skuteczniejszych, może mniej spektakularnych, ale bardziej humanitarnych metod. Od dozoru elektronicznego i stałej kontroli psychologa do chemicznej kastracji. Jakżyczyż może mieć społeczeństwo z zamykania ludzi tej kategorii na wiele lat do więzienia?! Decydując się na jakiegokolwiek rozwiązania, należy kierować się wyobraźnią. Dotyczy to także przestępstw drogowych, absurdalnie wysoka kara, łącznie z pozbawieniem prawa jazdy na zawsze, może skutkować chęcią ucieczki za wszelką cenę, z taranowaniem pieszych i samochodów, z zabijaniem policjantów. I o tym też należy pamiętać, zanim sięgnie się po rozwiązanie pięknie brzmiące w mediach, a przerażająco dramatycznie w praktyce.

I żeby nie wyjść na kompletnego permissywiście, wyznaję – w szczególnych przypadkach (seryjne zabójstwa, terroryzm) jestem zwolennikiem kary śmierci i ogólnoeuropejskiego referendum w tej sprawie, nawet jeśli przeciwnego zdania w tej kwestii są papież i Unia Europejska. ©©

PIOTR SEMKA: Jak przyjęła pani słowa wiceprezydenta Gdańska Piotra Grzelka, który z okazji rocznicy końca II wojny światowej uznał za przyczynę konfliktu, że „na początku było słowo, złe słowo. Słowo jednego przeciwko drugiemu. I to złe słowo Polaka przeciwko innemu narodowi, Niemca przeciwko innemu narodowi. Europa została tym złym słowem podzielona”?

ANNA FOTYGA: Pochodzę z Pomorza. Nie mogę być obojętna, gdy fałszuje się dzieje mojej ziemi i mojej ojczyzny. Już samo użycie przez wiceprezydenta Grzelaka biblijnych słów brzmi kabotyńsko. Jednak równie mocno bulwersuje nawiązywanie do niepokojącej tendencji w polityce historycznej władz Gdańska – relatywizacji win za wybuch wojny i zbrodnie dokonane w czasie okupacji. Do tego dochodzi afirmacja okresu Wolnego Miasta Gdańska. To musi budzić ogromny niepokój. Przyjrzałam się temu bliżej, gdy byłam wiceprezydentem Gdańska w latach 2002–2004 w czasach koalicji PiS-PO. Większość zaproszeń, które spływały na moje biurko, to były imprezy w jakiś sposób powiązane z fundacjami niemieckimi.

To nie musi dziwić. Obie strony uznawały to za element pojednania.

Chodzi mi głównie o zatracenie miary w tej materii. Zbyt rzadko afirmowano historyczne związki Pomorza z Polską. Dzisiaj patrzę na początki prezydentury Pawła Adamowicza jako na okres i tak znacznie większej subtelności oraz wyczulenia na historię. Lista skandalicznych przykładów jest jednak długa, w co wpisuje się wspomniane wystąpienie.

A kiedy to się zmieniło na dobre?

Do głosu dochodzi nowe pokolenie, którego świadomość historyczna została bardzo mocno zmieniona pod wpływem unijnej poprawności politycznej. Szokujące słowa Piotra Grzelaka to mała tego próbka. Całkiem niedawno, 2 maja, gdańska aleja Zwycięstwa była udekorowana wyłącznie flagami unijnymi, bez żadnych flag polskich. Ot, taki kolejny happening ratusza. Nic nie mam przeciw symbolice europejskiej, ale to jednak jest Dzień Flagi Rzeczypospolitej Polskiej. Temu hołduje tylko część młodych elit, znajdująca mocne wsparcie w gdańskim ratuszu. Na szczęście w Gdańsku mamy także inne instytucje i organizacje, przypominające najpiękniejsze karty z historii Polski, a duże grupy młodzieży organizują się oddolnie wokół celów i wydarzeń o charakterze patriotycznym.



Z Anną Fotyga,
poseł PiS do Parlamentu Europejskiego,
byłą minister spraw zagranicznych
rozmawia Piotr Semka



FOT. WOJCIECH STRONNY / REPORTER

Spędziła pani łącznie sześć lat w Parlamencie Europejskim. Rok w kadencji 2004–2008 (potem przeszła pani do MSZ) i teraz w latach 2014–2019. Krytycy twierdzą, że to miejsce rytuału politycznego. Że i tak najważniejsze sprawy załatwiane są poza parlamentem. To prawda?

Jestem zwolenniczką jasnych i solidnych kompetencji państw członkowskich Unii Europejskiej. To Rada i państwa członkowskie mają decydujący głos w najważniejszych kwestiach. Parlament uczestniczy jednak w całym procesie legislacyjnym. Jest też dość poważnym forum debaty i znakomitym polem

Pewna presja z ważnych stolic, w tym Waszyngtonu, nadal jest utrzymywana. Jest oczywiste, że przeciwnicy Nord Stream 2 powinni tę presję wzmacniać. Ja robiłam to wielokrotnie. To, co robi PGNiG na poziomie TSUE, wciąż daje pewne nadzieje na utrudnienie powstania rurociągu.

Jakie jest przesłanie pozwu PGNiG?

Pozew pokazuje koszty monopolistycznej pozycji Gazpromu i związane z tym zagrożenia. Pokazuje także, że polskie instytucje powinny aktywnie korzystać ze wszystkich dostępnych nam narzędzi.

Trudno powiedzieć. Ja po stronie polityków niemieckiej chadecji, np. od Elmara Broka, takie sygnały słyszę od dawna. I niewiele z tego wynikało. Sądzę, że w Berlinie z powodów wizerunkowych i politycznych podjęto decyzję, iż taki dwugłos jest korzystny.

A Dania?

Dania postępuje rozsądnie. Starają się blokować i przedłużać powstawanie rurociągu na poziomie procedur, które dotyczą ich wód terytorialnych. Przeprowadziliśmy z sukcesem z Duńczykami

W Brukseli warto być cierpliwym

aktywności, jeśli ma się pomysł na swoje w nim funkcjonowanie. Jak się chce i potrafi, to można zwojować całkiem sporo.

A co pani zwojowała?

Jestem przewodniczącą parlamentarnej Podkomisji Bezpieczeństwa i Obrony (SEDE). Dzięki temu, a także innym funkcjom, które sprawuję, mogłam grać na paru fortepianach, sprawiając, że kwestia zagrożeń dla Polski i całego regionu zawsze była wysoko w agendzie PE. Udała mi się także promocja Polski. I przy okazji stulecia odzyskania niepodległości nie sądziłam nawet, że będzie to naprawdę zauważalne wydarzenie.

Coś pani przypomnę. 12 grudnia 2018 r. PE potępił budowę rurociągu Nord Stream 2. No i co? Niemcy i Rosjanie budują go nadal.

Doskonale pamiętam, bo była to moja poprawka. Owszem budują, ale cała inwestycja nie została jeszcze zakończona.

Jednak wracam do pytania. Potępienie nic nie dało?

Mamy zdecydowany głos Parlamentu Europejskiego i uznany przez wszystkich dowód na to, że to główny gracz Unii Europejskiej wraz z Rosją łamie zasadę solidarności. Proszę pamiętać, że takie działania zarzuca się nam i powinniśmy umieć się bronić. W Brukseli gościłam Jensa Hovsgaarda, duńskiego dziennikarza śledczego, który opisał w swojej książce problem korumpowania przez Gazprom zachodnich polityków i powiązania z komunistycznymi służbami. Ważne jest też demaskowanie hipokryzji. Wskazywanie, że ci, którzy niekiedy bardzo mocno podkreślają wagę niepodległości Ukrainy, wspierając NS2, torują drogę projektowi, który jej w wielu wymiarach zagraża.

Martin Weber z CSU, kandydat EPP na szefa Komisji Europejskiej, wypowiedział się przeciw Nord Stream 2. To coś znaczy?

delimitację naszej wspólnej granicy morskiej, kończąc pewne dawne spory, co też ułatwia nam teraz wspólne działania przeciw rurze.

Jednak rury są kładzione?

Tak, ale na razie tylko na obu końcach NS2 z rosyjskiego i niemieckiego krańca rurociągu. Niech mi pan wierzy. To nie jest tak, że wszystko jest już przesądzone.

Była pani sprawozdawcą raportu „Komunikacja strategiczna wymierzona w Europę”. To raport o rosyjskich operacjach propagandowych?

Nie tylko. Chodzi też o propagandę terrorystów islamistycznych. Jednak najczęściej jest o Rosji, choćby z racji gigantycznych możliwości państwa Putina.

I co wynika z raportów? Jaka jest skala rosyjskiego oddziaływania na kraje unijne?

Nie ma wątpliwości, że wojna informacyjna jest najtańszą formą oddzia-

ływania na świat Zachodu. O wiele tańszą nawet niż lokalne konflikty. Na przykładzie wojny z Ukrainą widać, że agresja przyniosła połowiczny sukces. Owszem, zagarnięto Krym, który jest systematycznie militaryzowany. Jednak cena była słona. Nigdy w historii Ukrainy nastroje woli oporu wobec Putina nie osiągnęły takiej skali. I nigdy wcześniej nie było takiej antyrosyjskiej konsolidacji społeczeństwa. Współpracuję blisko z Mustafą Dżemilewem, liderem Tatarów krymskich, i wiem, że dla Rosjan to jest jednak dość spory problem. Na tym tle wojny informacyjne są tańsze i niekiedy skuteczniejsze.

Jak to wygląda w praktyce?

Po pierwsze, Rosjanie nie szczędzą środków na grupy i firmy lobbingowe działające w Waszyngtonie, Brukseli i stolicach państw unijnych. Na ich celniku są politycy, ludzie mediów i elity.

Ważnym kryterium oceny jest stosunek do więzi transatlantyckich, gdyż strategicznym celem Kremla jest przerwanie tej więzi. Niekiedy antyamerykanizm objawia się w najmniej oczekiwanych miejscach i osobach. Choćby w wezwaniach do odcinania USA od współpracy z europejskim przemysłem obronnym

Na pewno używa się też synergii ze „starą”, tradycyjną agenturą w mediach, partiach i w instytucjach.

Jak z tym walczyć?

Badać, analizować i wyciągać wnioski. Korzystać z doświadczeń innych, w tym Łotwy, ale przede wszystkim Stanów Zjednoczonych. Także szefowa unijnej dyplomacji Federica Mogherini podjęła pewne działania. W Europejskiej Służbie Działań Zewnętrznych został utworzony zespół „Task Force East”. Co tydzień ukażą się informacje o nowych narracjach rosyjskich. Mój raport podsumowujący działania Rosjan uznany został za przełom. Od tego czasu powstało wiele inicjatyw, tematem zajmują się liczne ośrodki. Ja z kolei w raporcie i nowych rekomendacjach podkreśliłam rolę wysokiej jakości dziennikarstwa, pluralizmu medialnego czy zagrożeń cenzurą.

A nie żałuje pani spotkania z Nadią Sawczenko, ukraińską pilotką trzymaną długo w niewoli rosyjskiej. Po tym, jak ją zwolniono, po pewnym czasie

przeszła metamorfozę w politycznego awanturnika. Sawczenko zaplanowała pucz w parlamencie ukraińskim. Czy była podstawiona, czy przeprano jej mózg, czy też zachłystnęła się sławą?

Jestem człowiekiem Solidarności i bronię więźniów politycznych. Nadia Sawczenko była symbolem. Dzisiaj jest nim Ołeh Sencow. Nie wiem, co się z nią stało. Naprawdę. Jednak też nie żałuję mojego działania na rzecz jej uwolnienia. Sawczenko w niewoli rosyjskiej zachowywała się bardzo dzielnie. Gdy po uwolnieniu przyjechała do Brukseli, rozmawiałam z nią dość długo i zauważyłam, że w sprawach ogólnopolitycznych jest osobą dość naiwną. Sprawiała wrażenie raczej urodzonego żołnierza, doświadczonego także w misjach pokojowych, gdzie współpracowała m.in. z Amerykanami. Gdy zahaczyłam o bolesne doświadczenia polsko-ukraińskie z przeszłości, odkryłam, że Sawczenko

są naszymi partnerami. Każdą partię, nawet każdego polityka, staram się analizować oddzielnie. I wtedy można zauważyć, że Viktor Orbán i szerzej Fidesz bardzo silnie podkreślają więzi transatlantyckie. Z kolei takie partie głównego nurtu Unii jak np. niemiecka SPD bywają szokująco prorosyjskie. Politycy głównego nurtu – Jean-Claude Juncker, Macron, Merkel – odwiedzają Federację Rosyjską. Nikogo to nie dziwi. Ważnym kryterium oceny jest stosunek do więzi transatlantyckich, gdyż strategicznym celem Kremla jest przerwanie tej więzi. Niekiedy antyamerykanizm objawia się w najmniej oczekiwanych miejscach i osobach. Choćby w wezwaniach do odcinania USA od współpracy z europejskim przemysłem obronnym. Przypomina to pojawiające się w Unii poglądy utrzymywania przez UE równej odległości od USA i Rosji czy budowy wspólnej przestrzeni gospodarczej i bezpieczeństwa od Lizbony do Władywostoku. Takie głosy niestety odzywają się ostatnio także w Polsce.

Wielka Brytania weźmie udział w wyborach, ale chyba eurodeputowani z Wysp niedługo zagrzeją miejsca w ławach.

Brytyjczycy to solidni i kompetentni partnerzy. Można na nich polegać, na ich trzeźwości sądów, umiejętności dostrzegania zagrożeń ze strony służb Rosji, szczególnie po ataku bronią chemiczną na Skripala. Brytyjczycy byli też bardzo pryncypialni w obronie zasady pomocniczości i kompetencji państw członkowskich w Unii. Brak będzie mi ich zdrowego rozsądku.

A jak wyglądała w ostatnich pięciu latach ewolucja relacji wśród polskich eurodeputowanych?

Mogę to porównywać tylko do mojej pierwszej kadencji w 2004 r. Wówczas systematycznie raz w miesiącu zbierało się gremium, które nazywaliśmy klubem polskim. Wszyscy polscy eurodeputowani konsultowali się, jakie stanowisko zajmować w ważnych sprawach dotyczących Polski.

A teraz?

Ataki na Polskę, w których uczestniczą przedstawiciele Platformy, powodują, że trudno prowadzić dialog. Często łatwiej mi zbudować ponadpartyjną koalicję z deputowanymi z różnych państw niż z kolegami z opozycji. Wśród merytorycznych posłów są jednak wyjątki.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Edukacja w Energylandii



Krzysztof Masłoń

Szkoła wyposażać ma ucznia w prawdziwą wiedzę o świecie,
a nie interpretować ją w dowolny sposób



Tragedia w szkole w Wawrze tragicznie spuentowała ciąg żenujących wydarzeń, w które przemienił się strajk nauczycielski. Akcja wzięła się z naturalnego dążenia pracowników oświaty do osiągnięcia wyższych zarobków, a za sprawą ludzi nieodpowiedzialnych podważyła wszystko to, co z niemałym trudem osiągnięto w naszym szkolnictwie po zmianach, które zaszły w roku 2017. Nagle okazało się, że zaproponowany przez władze okrągły stół oświatowy posłużyć ma do opracowania nowych podstaw programowych, czy raczej powrót do wcześniejszych, w humanistyce kolejnego „przewietrzenia” listy lektur, odciążenia uczniów od nadmiaru przekazywanej im wiedzy encyklopedycznej itp. itd. Naturalnie wszystko to odbywa się pod hasłami unowocześnienia polskich szkół, dostosowania ich do wymogów, które nakłada na nie wiek XXI.

Hucpa to niesłychana, gdyż nie byłoby reformy z 2017 r., gdyby obowiązujący w Polsce system szkolny się sprawdził. Niestety, maksymalnie dał ciała. Gdybyśmy wszyscy byli swego czasu bardziej czujni, nie dalibyśmy sobie wmówić głupstw, które legły u podstaw reformy od nazwiska byłego ministra oświaty w rządzie Buzka nazywanej reformą Handkego. Na nasze usprawiedliwienie powiem, że gimnazja, do których wtedy powróciliśmy, miały nie najgorszą konotację przedwojenną, a poza tym wpędzano nas w kompleksy, opowiadając o fatalnych dla Polaków wynikach badań, z których wynika, że przeciętny nasz rodak nie rozumie instrukcji obsługi nieskomplikowanych nawet urządzeń. Zwolennicy rzekomej nowoczesności winą za ten stan rzeczy obciążali wcale nie niedostateczną znajomość języków obcych czy braki w kształceniu zawodowym, lecz tradycyjne (czytaj: złe i archaiczne) nauczanie, szczególnie humanistyczne. Zrewolucjonizowano więc edukację polonistyczną i historyczną, co oznaczało jej redukcję, zastąpiono lektury wybranych utworów czytaniem ich fragmentów, a sprawdzanie rzeczywiście nabytej wiedzy odbywało się za pomocą prezentacji i, rzadziej, wypracowań przygotowywanych na podstawie „gotowców” krążących w sieci internetowej. Za kadencji minister Katarzyny Hall mieliśmy wręcz do czynienia z otwartym rugowaniem humanistyki ze szkoły.

BALAST WIEDZY NIEPOTRZEBNEJ

Przy tym wszystkim frazeologia towarzysząca reformie Mirosława Handkego

była – na co zwraca uwagę prezydencki doradca, prof. Andrzej Waśko, w niedawno wydanej książce „O edukacji literackiej (nie tylko dla polonistów)” – „kalką frazeologii liberalno-lewicowej panującej od lat na Zachodzie”. W lansowanym i akceptowanym modelu oświaty najważniejsze było odcinanie się od wszelkiej autorytarności. W imię, a jakże, wolności i nowoczesności. W Polsce gładko łykaliśmy podobne frazesy, gdyż autorytaryzm kojarzył nam się wyłącznie z dobrze jeszcze pamiętany komunistycznym. Chcieliśmy czegoś innego, no i się doczekaliśmy. Andrzej Waśko cytuje w tym kontekście znamieny fragment eseju Leszka Kołakowskiego pt. „Samozatrucie społeczeństwa otwartego”:

„Ataki na szkołę i wychowanie rodzinne odbywają się zazwyczaj w imię haseł liberalnych (wolność od autorytetu)... ataki te przedstawiają się chętnie jako dalszy ciąg liberalnej walki przeciwko ogłupiającemu i zimnemu rygoryzmowi i formalizmowi dziewiętnastowiecznego szkolnictwa. Tymczasem we wszystkich prawie rozwiniętych krajach, choć może nie wszędzie w tym samym stopniu, walka ta stała się bezprzedmiotowa. Tym, co dzisiaj jest przedmiotem ataku podobnej frazeologii, nie są pruskie i carskie gimnazja, ale właśnie szkoła liberalna, ze stosunkowo giętkim ustrojem, nadal jednak oparta na zasadzie, że jej zadaniem jest przekazywać uczniom sprawności umysłowe, normy logiczne, wiedzę i dyscyplinę duchową”.

Jednaka tak się składa, że to wszystko właśnie – zdaniem wielu uczniów i, niestety, ich rodziców – stało się zbędne. „... ponowoczesny Polak – powiada prof. Waśko – nie wymaga od szkoły, by ta przekazywała jego dziecku wiedzę. Gardzi też zdobywaniem wiedzy, ponieważ żywi przekonanie, że on sam wiedzę po prostu posiada, bez żadnej nauki. Wie przecież, co mu jest potrzebne do zarabiania pieniędzy; rano słuca radia, więc wie, co należy myśleć i mówić na tematy dnia. Ewentualną resztę może w każdej chwili znaleźć w internetowej wyszukiwarce. Buntuje się przeciwko lekturom, w których jego dziecko napotyka trudne słowa, bo do głowy nie przychodzi mu, że dziecko właśnie po to chodzi do szkoły, żeby poszerzyć swój zasób słownictwa”.

A „dziecko”, choć jest w istocie pierwotnym (wtórnym?) analfabetą, do szkoły chodzi, bo podobno tak wypada. Zajmuje się tam wszystkim, tylko nie nauką. Dom go nie wychował, więc tym bardziej nie

uczynią tego szkoła, nauczyciele, którzy mało zarabiają, a jego się boją (po prostu!), potrafią tylko straszyć wyrzuceniem ze szkoły, a tego nie robią, generalnie są nudni i śmieszni. On sam w szkole czuje się tak samo jak na podwórku, w pubie, do którego już chodzi ze starszymi kolegami, w klubie. Kiedyś młodociany bandzior bójkę taką jak ta w Wawrze urządziłby po lekcjach, poza budynkiem szkolnym. Teraz jest mu wszystko jedno, a nawet – kto wie – czy zabójstwo w takim miejscu nie jest bardziej spektakularne. Zupełnie jak w Ameryce...

OŚWIATA WAŻNIEJSZA NIŻ USTRÓJ

Strajkowa retoryka kierownictwa Związku Nauczycielstwa Polskiego i niemałej części środowiska nauczycielskiego skierowana była przeciw, najogólniej rzecz biorąc, oświatowej polityce partii rządzącej, a konkretnie poczynaniom minister Anny Zalewskiej, na sztafardach wywieszono hasła walki nowoczesności ze wstecznictwem. Tę „nowoczesność” w szkolnym wydaniu znamy od dzieścioleci. To w jej imię w PRL-owskich szkołach dokonywano podziału na epoki „ciemne” i „jasne”, na skutek czego dzieściu na dzieściu absolwentów liceów, a i studiów (!), z tamtego czasu odmawia średniowieczu jakichkolwiek wartości, o Kościele z dawnych wieków wie tyle, że inkwizytorzy palili czarownice na stosach, a „każdy święty miał swoje wykryty”. Trochę przesadzam, ale tylko trochę.

Nienowoczesne jest dziś, jakżeby inaczej, nauczanie w szkole religii. Jednak nienowoczesny, jak się okazuje, jest też cały model oświaty oparty na systemie osiem plus cztery, gdyż oznacza powrót do wykłętego i również uznanego za „ciemny” PRL. Jest to absurdalne; wprowadzana obecnie reforma jest niczym innym jak wysiłkiem podjętym w celu przywrócenia szkole należnego jej miejsca. „Oświata jest ważniejsza niż ustrój” – orzekł już dawno temu T.S. Eliot. I trudno się z tym stwierdzeniem nie zgodzić.

W sumie chodzi o to, że szkoła ma za zadanie wychowywać i uczyć, a nie wypełniać dziatwie czas wolny. Uczniowie są przeciążeni nauką, alarmują „nowocześni” pedagodzy. Za dużo mają ciężkich, trudnych lektur – ubolewają często ci sami, którzy narzekają na niski poziom czytelnictwa w naszym kraju. I nie wspomną nawet o tym, że czytanie lektur jest

najwyczejajniej w świecie ważną częścią czegoś, co wypadaloby nazwać pracą ucznia. Bo to jest jego praca.

Podobnie dzieje się np. z wykorzystaniem wycieczek szkolnych w procesie edukacji. Pomijam już upowszechnienie tzw. zielonych szkół, które w praktyce oznaczają kolejne kilka dni zabranych normalnej nauce szkolnej przez przeróżne ferie, święta i najróżniejsze, przepraszam za wyrażenie, eventy. Jednak już absolutnie kuriozalne są uczniowskie wyprawy w poszukiwaniu miejsc do jak najlepszej zabawy. Bo nie chodzi o zwiedzanie ważnych zabytków, o zaznajamianie się z osiągnięciami kultury, ale o ubaw. Temu służą wyjazdy do Paryża, których głównym celem jest Disneyland Resort Paris, do Wiednia, do którego przyciąga park rozrywki na Praterze, czy ostatnio najbardziej popularnej Energylandii w rodzimym Zatorze. Przez całe pokolenia szkolne wycieczki jeździły do Krakowa, Warszawy, Gdańska, bywało, że do Wilna i Lwowa, teraz mamy Zator ze swoimi atrakcjami w postaci rollercoasterów, kapsuły Space Booster, wahałła Aztec Swing, że o Anaconda Spill Water tylko tu wzmiankuje. Czemu to ma służyć? Już spieszę z wyjaśnieniem: poznaniu kraju, integracji grupy, podniesieniu kondycji zdrowotnej i sprawności fizycznej oraz upowszechnieniu form aktywnego wypoczynku. Na wszelki wypadek zastrzegam: niech dzieci i młodzież jeżdżą, gdzie chcą (oni i ich rodzice), ale niech to robią na własną rękę, nie wymagając od szkoły, by prócz wszystkich innych swoich obowiązków zamieniała się jeszcze w biuro podróży.

Wypowiem tu może herezję, ale rodzice mają stanowczo za wiele do powiedzenia odnośnie do przebiegu edukacji swoich pociech. I o wiele za mało wiedzy w tej materii. Najbardziej zależy im na nauce języków obcych, co samo w sobie jest zjawiskiem pozytywnym, ale w przeciętnej szkole sprowadza się do nauki możliwie wielu języków, na ogół mało skutecznie. Oburzeni bywają niedocenianiem wysiłków ich dzieci czynionych w odrabianiu, np. prac pisemnych z języka polskiego, „przepisanych przecież z Internetu, stamy sprawdziliśmy”, a już pretensje ze strony choćby nauczycieli historii czy geografii przyjmowane są z mieszaniną zdumienia i lekceważenia, jako że wiedza z tych przedmiotów wydaje się mało przydatna. Jak naprawdę cała humanistyka.

No pewnie, jeśli przyszłość dziecka widzi się na zmywaku w Anglii czy w kraju w montowni samochodów, to czytanie książek jawi się jako czynność pozbawiona większego sensu. Erudycji do garnka się nie włoży, a udziału w teleturniejach typu „Jeden z dziesięciu” można sobie oszczędzić. Poziom prezentowany przez ich uczestników wyraźnie zresztą wskazując na edukacyjną zapaść, w której się znaleźliśmy. Niestety, także i przez takich, a nie innych nauczycieli, słuchając bowiem w trakcie strajku niektórych przedstawicieli tego zawodu, można było zwątpić w ich zawodową przydatność, chociaż być może sprawdziliby się w kabarecie.

SZKOLNA DROGA DO PRAWDY

Jako że zajmuję się literaturą, zwróciłem uwagę na rozpowszechnione jeszcze w końcu zeszłego wieku przekonanie, że nie ma książek złych i że nie ma znaczenia, co młodzież czyta, byle czytała. To wyjątkowe głupstwo, gdyż nie brakuje książek ewidentnie szkodliwych, które w żadnym wypadku nie powinny trafić do szkolnej edukacji. Tymczasem czytelnictwo ukazywane było i jest jako sposób spędzania wolnego czasu. Jedni grają w badminton, drudzy, dajmy na to, w piłkę, choćby i nożną, ktoś tam zbiera grzyby, ktoś inny składa modele samolotów, a jeszcze inny czyta. Etatowi reformatorzy nauczania języka polskiego (bo to na lekcjach tego przedmiotu decyduje się, czy ktoś będzie w przyszłości sięgał do książek czy też nie) odwołali się w takiej sytuacji – pisze prof. Waśko – „do zasady przyjemności. Czytanie książek nic nie daje. Żeby więc ratować własne rzemiosło, skoro wykształcenie literackie jest i tak bezużyteczne, postanowili oni przedstawić młodzieży naukę literatury jako rzecz przyjemną, dającą radość i zadowolenie. Lekturami postanowiono uczynić to, co młodzież i tak czyta dla rozrywki, wszelkie zaś »ciężkie Norwidy« w ramach reformy skazane zostały na banicję. Z tych pozycji przywrócenie do szkół większej ilości utworów z literackiego kanonu (trudnych i wymagających) uznano za skandal”.

Reformatorzy z lat 90. wychodzili z założenia, że tekstem kultury jest zarówno arcydzieło, jak i byle jaka produkcja rozrywkowa, w najlepszym razie powieść



ANDRZEJ WAŚKO
„O EDUKACJI
LITERACKIEJ
(NIE TYLKO DLA
POLONISTÓW)“
ARCANA,
KRAKÓW 2019

fantasy. Trudno, ale trzeba wrócić do edukacyjnych korzeni, przypominając samo znaczenie słowa „dzieło”. To jest zresztą szersza sprawa. Guru literackiej krytyki lat 80. i 90., Jacques Derrida, uważał, że żaden tekst niczego nie znaczy naprawdę. W efekcie uczący się utrzymywali, że prawda jest rzeczą względną, i co nam będzie jakiś Herbert wypisywał banialuki o kołatce, która powiada: tak – tak, nie – nie. „Twierdzenie, że poza prawem jednostki do indywidualnej ekspresji – pisze Andrzej Waśko – istnieją jednak jakieś

normy powszechnie obowiązujące, brano tylko za dowód braku tolerancji”.

A tolerancja w szkole bywa mylnie rozumiana i to jest bardzo poważny grzech edukacyjny, gdyż kto jak kto, ale nauczyciel winien rozumieć, że uczniowi ma do przekazania to, co najlepsze, z przeszłości i teraźniejszości. Przyszłość to nie jego domena. Tę – podpowiada prof. Andrzej Waśko – będzie tworzył dzisiejszy uczeń sam, wraz ze swoimi rówieśnikami. Nauczyciel powie mu: „Na tym polega twoja wolność, wolność prawdziwa, nie ta, o której mówią piosenki. Pamiętaj jednak, że prawdziwa wolność, która dodaje człowiekowi skrzydeł, jest także ciężarem. Pracuj nad sobą, żebyś mógł udźwignąć ten ciężar”.

Nie ma nic gorszego w nauczaniu ponad przekonanie, że wszystko jest względne, przykładanie do wszystkiego miary relatywizmu i dialektyki. Edukacja ma być drogą prowadzącą do prawdy, a to się sprowadza do, z jednej strony, ściśle określonych (i realizowanych) programów nauczania, a drugiej, może ważniejszej, do wychowania przekazuącego system ponadczasowych wartości, mających na celu poszanowanie dobra wspólnego i tradycji. Z tym kłóć się dominujące w społeczeństwie zasady indywidualizmu i pragmatyzmu.

Szkoła wyposażać ma ucznia w prawdziwą wiedzę o świecie, a nie interpretować ją w dowolny sposób. Książkami w rodzaju „Harry’ego Pottera” nie zastąpimy „Iliady”, a miejsca opuszczonego przez Sienkiewicza nie wypełnią nam „Księgi Jakubowej”. Podobnie jak najlepsze nawet wiersze Wisławy Szymborskiej nie zastąpiły „Pana Tadeusza”. Chociaż starano się o to.

Europa, pieniądze i konkurencyjność



Rekordowa liczba ponad 12 tys. uczestników. Wystawcy i prelegenci z całego świata. W Katowicach zakończył się Europejski Kongres Gospodarczy (EEC – European Economic Congress), największe tego typu wydarzenie w Europie Środkowej

Jednym z najczęściej poruszanych tematów były kwestie związane z funkcjonowaniem UE. Wśród sesji uwagę zwracał panel „Europejskie inwestycje”. Nie tylko z uwagi na istotny z punktu widzenia krajów wspólnoty temat, lecz także rangę prelegentów. W dyskusji uczestniczyli: minister finansów Teresa Czerwińska, prezes zarządu Banku Gospodarstwa Krajowego (BGK) Beata Daszyńska-Muzycka, wiceprezes Europejskiego Banku Inwestycyjnego Vazil Hudák, minister inwestycji i rozwoju Jerzy Kwieciński, Balázs Rákossy, sekretarz stanu ds. funduszy europejskich

w węgierskim ministerstwie finansów, Jacek Socha z PwC i Robert Sobków z zarządu Grupy LOTOS SA.

– Rozwijamy się średnio trzy razy szybciej niż inne kraje członkowskie UE. Środki europejskie wykorzystujemy w sposób niezwykle efektywny – zapewniała minister Czerwińska. Pozytywną recenzję temu, w jaki sposób Polska wykorzystuje środki unijne, wystawiali też inni uczestnicy debaty. Wszyscy jednak wskazywali, że fundusze europejskie nie mogą być celem samym w sobie. W ostatecznym rozrachunku nie chodzi bowiem o to, ile pieniędzy uda się pozyskać, ale o to, jak skutecznie uda się je zainwestować z pożytkiem dla gospodarki. Polskiej i europejskiej.

Mówiła o tym sama Teresa Czerwińska, zwracając uwagę, że znaczny poziom konwergencji, czyli zbliżenia stopy życiowej w Polsce do standardów UE, już osiągnęliśmy. Teraz czas zacząć myśleć o czymś więcej. To „coś więcej” to szerszy wymiar myślenia o gospodarce, podczas debaty padały nawet sformułowania

takie jak „filozofia” czy „idea”. Filozofia, w myśl której inwestycje zarówno w wymiarze krajowym, jak i europejskim są podporządkowane budowie spójności krajów UE i konkurencyjności jej gospodarki. – Konwergencja i konkurencyjność to dwa filary UE – przekonywała Czerwińska, dodając jednocześnie, że UE potrzebuje dziś wyważonego porozumienia w kwestii podziału budżetu z uwagi na stojące przed nią wyzwania.

O kwestii podziału środków unijnych w nowej perspektywie budżetowej mówili niemal wszyscy prelegenci.

Prezes zarządu Banku Gospodarstwa Krajowego (BGK) Beata Daszyńska-Muzycka ostrzegała, że m.in. ze względu na zagrożenia związane z brexitem środków europejskich będzie coraz mniej, i postulowała efektywne wykorzystanie tych pieniędzy poprzez mechanizmy zwrotne. Sam BGK robi to od dawna – przekonywała, zwracając uwagę na rolę sektora bankowego i mechanizmów zwrotnych w skutecznym wykorzystywaniu pieniędzy z UE. – Mamy doświadczenie zbudowania

wane na gwarancjach de minimis, bo są one naszym sztandarowym produktem, który pozwala lewarować bardzo mocno kapitał dla gospodarki – tłumaczyła Daszyńska-Muzyczka.

Dzięki programowi BGK dla małych i średnich przedsiębiorstw do gospodarki trafiło już ponad 100 mld zł. BGK jako jeden z pierwszych banków podpisał umowę z Europejskim Funduszem Inwestycyjnym w ramach programu CO-SME, co umożliwiło oferowanie małym i średnim przedsiębiorcom gwarancji na zabezpieczenie kredytów obrotowych i inwestycyjnych. W 16 województwach bank ma także ofertę pożyczek unijnych, które pochodzą z regionalnych programów operacyjnych.

Szefowa BGK, mówiąc o roli sektora bankowego w sprawnym wykorzystaniu środków UE, przypomniała ostatnie spotkanie Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju. Mówiono tam, że na świecie jest bardzo dużo pieniędzy, ale wciąż brakuje dobrych projektów, które można by sfinansować. Prezes BGK przekonywała, że nie zgadza się z tak postawioną tezą. – Czy na pewno wiemy, że nie ma tych projektów? Czy może jako sektor bankowy nie pochylamy się nad trudnymi projektami, licząc na proste, łatwe finansowanie i szybki zwrot? Chyba to jest największym problemem – przekonywała Daszyńska-Muzyczka, dodając, że zadaniem dla bankowców jest to, żeby nie oglądając się jedynie na szybki zwrot, potrafili szukać najlepszej drogi do sfinansowania projektów.

O możliwości zmniejszenia puli środków przeznaczonych dla krajów naszego regionu mówił Balázs Rákossy, sekretarz stanu ds. funduszy europejskich z węgierskiego ministerstwa finansów. Podkreślał, że projektowana perspektywa finansowa nie jest dla Węgier zadowalająca. O unijnym budżecie mówił również minister inwestycji i rozwoju Jerzy Kwieciński, który przekonywał, że w walce o większe środki unijne rząd liczy na zrozumienie innych krajów członkowskich.

W jakich sektorach pieniądze unijne są dziś szczególnie potrzebne? Podobnie jak minister Czerwińska na znaczenie innowacji, nowych projektów i budowania konkurencyjności UE zwracał uwagę wiceprezes Europejskiego Banku Inwestycyjnego Vazil Hudák, tłumacząc, że jeśli nie będziemy w stanie jako UE podnieść swojej konkurencyjności, to

staniemy się „muzeum techniki”, do którego będą przyjeżdżać zainteresowani historią turyści. Według Jacka Sochy (PwC) obecne i przyszłe środki unijne powinny być przeznaczane głównie na infrastrukturę. – Infrastruktura i jej stan to jedna z barier wzrostu gospodarczego – mówił, tłumacząc, że chodzi nie tylko o drogi, porty, lotniska, lecz także o infrastrukturę cyfrową.

– Jeśli chcesz zrobić biznes, to zacznij od budowy drogi – przytoczył chińskie przysłowie Robert Sobków z Grupy LOTOS SA.

-Wschodniej wynika, że na zapełnienie luk w infrastrukturze potrzeba 573 mld euro. W proponowanej nowej perspektywie budżetowej pada kwota 40 mld euro, podzielona na siedem lat. – To znaczy, że już za 100 lat dogonimy Europę Zachodnią – kwituje Daszyńska-Muzyczka, zaznaczając, że mimo niższych środków wymagania wobec krajów naszego regionu wciąż będą rosły.

– Europa Środkowo-Wschodnia jest zdefragmentowana. Dzisiaj się zastanawiamy, czy otrzymamy środki z UE, żeby



FOT. MATERIAŁY PRASOWE BGK (3)

Zainteresowanie wywołało kolejne wystąpienie prezes Daszyńskiej-Muzyczka. – Jesteśmy w trakcie negocjowania nowej perspektywy finansowej, prowadzimy zaawansowane dyskusje o tym, na jakie elementy Europa powinna stawiać. Ekologia, środowisko, rurki plastikowe do zlikwidowania... Przecież Europa składa się z 28 państw o bardzo zróżnicowanych potrzebach! – podkreślała szefowa BGK, dodając, że inwestycje europejskie powinny być adresowane do poszczególnych krajów z uwzględnieniem specyfiki regionu.

Jako przykład podano potrzeby związane z infrastrukturą. Z raportu dotyczącego krajów Europy Środkowo-

zniwelować lukę pomiędzy rozwojem zachodniej Europy a Europy Środkowo-Wschodniej. Zaczynamy jednocześnie widzieć coraz więcej obostrzeń.

– Chodzi nam o budowanie silnej gospodarki europejskiej. Silnej Unii, która ma być konkurencyjna wobec innych gospodarek. Tymczasem sami sobie podkładamy kłody pod nogi – zauważa Daszyńska-Muzyczka. – Usiądźmy i pomyślmy, w jaki sposób jako zjednoczona Europa mamy dbać o rozwój i o inwestycje europejskie dla całego kontynentu. Dla budowania silnej gospodarki europejskiej. Inaczej sami skazemy się na podział – apelowała prezes zarządu BGK.

Olga Kowalska

Krzepki stulatek

Bauhaus

Muzeum Bauhausu projektu Heike Hamady

FOT. MATERIAL Y PRASOWE (5)

Dzisiaj Republika Federalna Niemiec lubi nazywać Bauhaus najlepszym niemieckim towarem eksportowym i dba o popularyzację postaci niemieckiego modernizmu. A Weimar czci stulecie otwarciem nowo zbudowanego muzeum. „Bauhaus kommt aus Weimar!” („Bauhaus pochodzi z Weimaru!”) – przypominają bannery rozwieszone na uliczkach weimarskiej starówki, chociaż tego trudnego do okiełznania zbiorowiska awangardowych artystów miasto z ulgą pozbyło się już po sześciu latach od momentu powstania. Dzisiaj Weimar przeprasza się z Bauhausem inauguracją wielkiego muzeum.

Jeśli ktoś myślał, że budowane od podstaw muzeum pod względem formy będzie miało coś z lekkości budynków Waltera Gropiusa czy Miesa van der Rohe, to może przeżyć szok. Muzeum zaprojektowane przez niemiecką architektkę Heike Hamadę ma kształt betonowego kłosa z paroma niewielkimi oknami. Ulubiony architekt Hitlera – Albert Speer – zapewne byłby zachwycony. Laura Wessmüller, krytyk „Süddeutsche Zeitung”, ironizuje:



Piotr Semka z Weimaru

Ze swymi sztandarowymi postaciami Goethego i Schillera Weimar zawsze aspirował do roli duchowej stolicy Niemiec. W tym roku ma dodatkowe powody do chluby. To tu sto lat temu, w 1919 r., powstała republika nieprzypadkowo zwana weimarską i tu sto lat temu powstał Bauhaus – jedna z najbardziej wpływowych szkół wzornictwa i architektury w XX w.

„Niemiecka awangarda dostaje sarkofag w Weimarze”.

Jednak na szczęście wewnątrz muzeum jest już mniej przytłaczające. To tu, na trzech piętrach, zachowano 13 tys. eksponatów powstałych w tej szkole nowoczesnego projektowania lub ich kopii. Skąd się wziął tak nowoczesny eksperyment w samym sercu dość tradycyjnej i konserwatywnej Turynгии?

Księżęta z rodu Wettynów, władający księstwem weimarskim od XVIII w., z chęcią odgrywali rolę mecenasów kultury. Nie tylko z racji miłości do sztuki. Ich państwo było militarnie bez znaczenia,

ale jako ośrodek artystyczny i intelektualny słynne było w całych Niemczech. Tradycję tę z zapalem podtrzymywali dwaj ostatni władcy – Karol Aleksander i Wilhelm Ernest II. Za ich rządów w mieście powstały akademie sztuk pięknych i szkoła rzemiosła artystycznego. Szczególnie ta druga instytucja pod kierownictwem Belga Henry’ego van de Velde (1867–1957) stała się ośrodkiem nowoczesnych trendów w architekturze i we wzornictwie przemysłowym. Już wtedy van de Velde zwrócił uwagę na zdolnego młodego architekta myślącego podobnie jak on – Waltera Gropiusa

(1883–1969). Pierwsza wojna światowa przerwała na cztery lata rozwój szkoły, ale gdy w listopadzie 1918 r. van de Velde opuszczał swoje stanowisko, wskazał na Gropiusa jako na najlepszego następcę.

Nikt z dość konserwatywnych władz Weimaru, które przyjęły to wskazanie, nie wiedział, jak wielkiego artystycznego rewolucjonistę ściągną do szacownego miasta nad rzeką Ilm.

WIELKI EKSPERYMENT

„Nowy człowiek” – tak nazywa się pierwsza część wystawy. Już od przełomu XIX i XX w. coraz więcej ludzi zaczęło zauważać efekty gwałtownej industrializacji dla społeczeństw Europy. Rosły wielkie miasta, powstawały nowe grupy społeczne, takie jak proletariatus. Wszystko to kazało stawiać pytania o „nowego człowieka”, który byłby w stanie sprostać zmianom. Nieprzypadkowo wśród wielu zdjęć pokazujących intelektualny ferment epoki znalazły się dwa portrety: Fryderyka Nietzschego i Róży Luksemburg. Zwolennicy filozofii Nietzschego, który w Weimarze spędził trzy ostatnie lata życia, wywodzili z jego nauk potrzebę ukształtowania nadczłowieka, który sprosta groźbie dyktatu maszyn. Nadczłowieka świadomego swej rasy, ale mającego misję panowania nad słabszymi. Marksizm, którego symbolem jest Róża Luksemburg, wierzył z kolei w siłę kolektywu i świadomości klasowej. Dziełem marksistów miał być nowy człowiek budujący komunizm.

Oba nurty oddziaływały na ówczesne elity artystyczne. W tej atmosferze powstawały idee Gropiusa, który szukał odpowiedzi na pytanie, jaki typ sztuki będzie odpowiedzią na nowe czasy.

„Chcemy stworzyć jasną, organiczną architekturę, której logika wewnętrzna będzie oczywista i promienna, nieobciążona kłamiłymi fasadami i sztuczkami. Chcemy architektury przystosowanej do naszego świata maszyn, radia, szybkich aut” – pisał Gropius wiosną 1919 r. W kwietniu

tamtego roku ambitny architekt został szefem szkoły, którą nazwał Bauhausem. Założenia nowej szkoły ilustrowała grafika Lyonela Feiningera przedstawiająca średnio-wieczną katedrę. Było to nawiązanie do określenia „Bauhütte”, czyli wspólnych domów budowanych na placach średniowiecznych katedr, gdzie żyli i pracowali razem architekci wraz z rzemieślnikami szyczącymi ornamenty i rzeźby dla nowo wznoszonej budowli. Od tego określenia powstała potem nazwa cechów mistrzów budowlanych. Nawiązując do tego wzorca, Gropius wskazywał: „W erze przemysłowej w procesie kształcenia artystów trzeba znieść granice między sztuką a produkcją przemysłową i techniką”.

Napisany przez szefa nowej szkoły „Programm des Staatlichen Bauhauses in Weimar” głosił: „Architekci, rzeźbiarze i malarze na nowo muszą odkryć złożony charakter budowli jako rzeczy realnie istniejącej. Tylko wtedy ich praca będzie znowu przepojona duchem architektonicznym, który utracił jako sztuka salonowa. Architekci, rzeźbiarze, malarze – wszyscy musimy powrócić do rzemiosła. Sztuka nie jest zawodem, nie ma żadnej zasadniczej różnicy między artystą a rzemieślnikiem. Artysta jest natchnionym rzemieślnikiem”.

Ten awangardowy program ściągnął do Weimaru kandydatów z całych Niemiec i dawnych Austro-Węgier. Kim byli?

Jak pisze znawca Bauhausu Gillian Naylor: „Ich wiek wahał się od 17 do 40 lat i przynajmniej połowa z nich była na froncie. Większość była bez grosza [...], ale szukali w tych ponurych powojennych czasach jakiejś sprawy, o którą mogliby walczyć, i jakiejś wspólnoty, do której mogliby się przyłączyć”. Naylor cytuję wspomnienia jednego ze studentów: „Beztroska i pełnia życia tamtych lat sprawiały, że zapominaliśmy o biedzie. Członkowie Bauhausu pochodzili ze wszystkich klas społecznych. Przedstawiali sobą dziwny widok, niektórzy jeszcze ciągle w mundurach, inni boso lub w sandałach, jeszcze inni z brodami artystów lub ascetów”.

Bauhaus był żyjącym własnym życiem eksperymentem akademickim. Był tak



Fotel „B3 Wassily” projektu Marcela Breuera z 1925 r. nosił nazwę na cześć Kandinskiego

nowatorski, że mógł działać wyłącznie wskutek determinacji, talentów dyplomatycznych i atrakcyjnej osobowości Gropiusa, który łączył i godził najróżniejsze postacie.

To on skupił w jednym miejscu czołowych wykładowców z kręgu moderny. Malarzy takich jak Wassily Kandinsky czy Paul

Klee oraz teoretyków sztuki jak Johannes Itten czy Oskar Schlemmer. Jednym z wykładowców była kobieta, Gunta Stölzl, której podlegały warsztaty tkactwa. Wszystko miało tu być nowe, wszystko zrywające z tym, co było wcześniej.

Studentom kazano zburzyć swe dotychczasowe wyobrażenia o sztuce i zapomnieć o wszystkim, co do tej pory zobaczyli i czego się nauczyli na temat sztuki, projektowania i stylu.

Symbolem rozpoznawczym Bauhausu były i są trzy barwy zasadnicze – niebieski, czerwony i żółty. Kandinsky nauczał, że każdy z nich przypisany jest określonej figurze geometrycznej – prostokąt jest czerwony, okrąg niebieski, a trójkąt żółty.

Według tych zasad Peter Keler zaprojektował w 1922 r. kolorystykę słynnej bauhausowej kołyski, która dziś jest symbolem muzeum. Czerwone ścianki boczne, żółte trójkątne boki i niebieskie kółka.

Ta kołyska to dziś w weimarskim muzeum eksponat, wokół którego gromadzi się najwięcej zwiedzających. To dobry symbol zalet i słabości projektów szkoły. Kolorystyka jest spełnieniem idei Kandinskiego, ale jej kanciaste kształty nie zachęcały zbyt wielu mam do wkładania do niej własnych maleństw.

Zwiedzającego odurza wręcz liczba dzieł sztuki i designu wyprodukowanych w ciągu paru raptem lat, choć niektóre eksponaty pochodzą spoza weimarskiego okresu Bauhausu. Obrazy w stylu ekspresjonizmu, projekty w stylu konstruktywizmu oraz nowoczesne wzornictwo, które wtedy musiało szokować swoimi formami. Kanciaste dzbanki do kawy Marianne Brandt, słynne meble Wassily z giętych rurek, szklane ekspresy do kawy, kultowa w Niemczech lampa biurkowa Carla J. Juckera i Wilhelma Wagenfelda. Dzisiaj te nieliczne przedmioty codziennego użytku z Bauhausu, które przetrwały wojnę, osiągają gigantycz-



Słynna kołyska Petera Kelera z 1922 r. dziś jest symbolem muzeum

ne ceny. Jest paradoksem, że choć twórca szkoły był architektem, nie było w niej początkowo wydziału architektury, ale na wystawę osiągnięć szkoły w 1923 r. Gropius zaprojektował i zbudował słynny potem dom w dzielnicy Horn – projekt jednorodzinny, taniego domu o praktycznej konstrukcji, nadającego się do kopiowania na masową skalę.

NON STOP THE DANCE

Legenda Bauhausu nie przetrwałaby tak długo, gdyby nie styl bycia jej uczniów. W szkole było stosunkowo dużo kobiet, co nadało jej – jak na tamte czasy – specjalny charakter. W Bauhausie założono teatr, którego futurystyczne, zgeometryzowane kostiumy obejrzeć można na zdjęciach i filmach. Dzieci zapraszano na spektakle lalkowe. Równie słynne były liczne bale kostiumowe i barwne karnawałowe pochody, w których odbijały się siła ekspresji oraz niesamowity witalizm środowiska, które odreagowywało niedawną wojnę. Kwitła tu sekta Mazdaznan – miks zaratustryzmu z kultem ekologicznego życia, którego guru był wspomniany już profesor uczelni Johannes Itten. Kolejnym czynnikiem, który trudno było oddzielić od tak awangardowej szkoły, była polityka. Gropius był eksperymentatorem w szkolnictwie, ale politycznie starał się trzymać środka.

Wiedział, że rozpolitykowanie Bauhausu przyniesie jego koniec. Dlatego już w październiku 1919 r. wydał ścisły zakaz demonstracji politycznych na terenie uczelni. Chociaż nie ma co udawać, że szkoła przez cały okres istnienia do 1933 r. nie była wahańta na lewo. Zarzuty o polityczne zideologizowanie szkoły przyczyniły się do końca jej istnienia w Weimarze w 1925 r. Konserwatywne władze Turyngii miały dosyć finansowania zanadto awangardowej jak na ich gust uczelni. Urażony Gropius przeniósł szkołę do Dessau, gdzie rządzą socjaliści z SPD.

Sam Gropius weźmie udział w 1931 r. w konkursie na projekt Pałacu Sowietów w Moskwie, ale będzie potem głosił, że był jedynie okazją do zaprezentowania swoich koncepcji architektonicznych. Gdy w 1928 r. odejdzie z funkcji szefa Bauhausu, zmęczony godzeniem tak różnych osobowości w kadrze profesorskiej – zastąpi go zdecydowany marksista Hannes Meyer. Niedługo potem, w 1930 r., Meyer zostanie usunięty przez władze



Klocki „Statek” zaprojektowała Alma Siedhoff-Buscher

Dessau z SPD i wyjedzie z gronem studentów do Moskwy, oferując swój talent władzy sowieckiej. Grupa czerwonego Bauhausu zorganizuje wystawę na temat nowej architektury w Moskwie, a potem zaprojektuje i zbuduje osiedla robotnicze w Magnitogorsku i Orsku. Rychło jednak w ZSRS nastanie moda na socrealizm i grupa Meyera wypadnie z łask. On sam cudem wyjedzie z Moskwy, ale wielu jej członków padnie potem ofiarami wielkiej czystki lat 1937–1939.

A co z Bauhausem? Po Meyerze kierownictwo szkoły obejmie Ludwig Mies van der Rohe i szkoła coraz bardziej będzie utożsamiana z nowoczesną architekturą. W 1932 r. w Dessau wygrywa NSDAP i wygania szkołę do Berlina. Rok potem wygrana Hitlera ostatecznie kończy istnienie szkoły uznanej za czynnik „bolszewizmu kulturowego”. Większość najsłynniejszych osobowości Bauhausu z Gropiusem i Miesem van der Rohe udaje się na emigrację. Inni wtapiają się w architekturę i przemysł III Rzeszy, przenosząc niektóre wzorce swej szkoły do masowego wzornictwa i budownictwa przemysłowego.

SYMBOL EPOKI

„Co zostało po Bauhausie?” – tym pytaniem żegnają się z widzami autorzy ekspozycji w Weimarze. I unikają jednoznacznej odpowiedzi.

Na pewno szkoła Gropiusa stworzyła wzorce nowoczesnej architektury i designu. Jej praktycyzm, a także lekkość formy wyczuć można w wyrobach wielu renomowanych dziś firm. Minimalizm, oszczędność detali, funkcjonalizm, używanie powtarzalnych form – cała ideologia IKEA ma swe korzenie w szkole założonej w Weimarze.

Jeszcze większą karierę magiczne słowo „Bauhaus” zrobiło w architekturze. Do Europy duch szkoły wrócił triumfalnie po wojnie via Ameryka, gdzie na emigracji kariery zrobili Gropius i Mies van der Rohe.

Do dziś ich sława budzi irytację części historyków sztuki, którzy wskazują, że fetysz Bauhausu przysłonił międzywo-

jenne osiągnięcia niemieckiego związku architektów i inżynierów Werkbundu czy np. Akademii Sztuk Pięknych w niemieckim Wrocławiu.

Jednak to hasło „Bauhaus” jest dziś cudownym zaklęciem w popkulturze. Tel Awiw wypromował turystycznie „Białe Miasto”, czyli swoją dzielnicę z lat 30., reklamując je jako dzieło żydowskich uczniów Bauhausu. Tym bardziej na cudownym zaklęciu korzysta miasto Weimar. Od początku kwietnia muzeum zwiedziło już 30 tys. widzów, a bilety trzeba zamykać z parodniowym wyprzedzeniem.

Dla widza z Polski uderzająca jest niechęć autorów wystawy do umieszczenia epopei Bauhausu w kontekście historii Niemiec lat 20. i 30. Jednak dla polityki pamięci RFN setna rocznica szkoły jest błogosławieństwem. We wrześniu otwarte zostanie kolejne muzeum Bauhausu w Dessau. Całoroczny cykl imprez w wielu krajach zawiera ponad 700 imprez i wystaw – rząd federalny nie szczędzi pieniędzy.

Nie bez powodu. Kult szkoły Gropiusa przypomina o Niemczech jako ojczyźnie nowoczesnej architektury i wzornictwa. Szkołę zamknęli naziści, co daje jej status ofiary Hitlera. Bauhaus to dowód, że były także pozytywne strony burzliwych lat 20. i 30.

Jednak zostawmy na boku niuanse polityki historycznej naszych sąsiadów. Wzornictwo Bauhausu nie starzeje się zbyt szybko. To element uniwersalnej historii sztuki XX w. Takie sprzężenia talentu i inwencji nie zdarzają się w dziejach zbyt często. Wypad do Weimaru to dobrze wydane pieniądze.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Muzeum Bauhausu w Weimarze czynne jest od 6 kwietnia br. Szczegóły na: www.klassik-stiftung.de/bauhaus-museum-weimar.

Kultowe lampy Carla J. Juckera i Wilhelma Wagenfelda uzyskują dziś na aukcjach kosmiczne ceny





PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Ubecka dintojra

Był 22 października 1945 r. Około 2.30 w nocy do Café Adria w Inowrocławiu wkroczyli funkcjonariusze milicji. Przechodząc w pobliżu budynku, usłyszeli bowiem dochodzące ze środka strzały. W lokalu obok bufetu znaleźli trupa. W jego prawej skroni ziała dziura po pocisku. Brzegi rany były osmalone. Śmiertelny strzał został oddany z bliskiej odległości.

Czasy były powojenne, niespokojne. Wódczane zabójstwo w nocnym lokalu pewnie nie wzbudziłoby większego zainteresowania. Stało się jednak inaczej. Denat nie był bowiem zwykłym pijakiem czy awanturnikiem. Nazywał się Wincenty Mücke, był członkiem PPR i jednym z najważniejszych funkcjonariuszy inowrocławskiego Urzędu Bezpieczeństwa.

Co się stało feralnej nocy? Według oficjalnej wersji ogłoszonej przez UB w Adria, „zaszedł wypadek przypadkowego samobójstwa na tle nadmiernego wypicia alkoholu”. Problem w tym, że wcześniej śledczy ustalili, iż w lokalu oddano aż pięć strzałów. Czyżby więc denat był aż tak zalany, że czterokrotnie chybił, zanim zdołał sobie wpakować kulę w czaszkę?

Pierwsze doniesienia mówiły o sprzeczce

i szamotaninie. Zdaniem wdowy po funkcjonariuszu o żadnym samobójstwie nie mogło być mowy. Wersja ta miała zostać wymyślona przez innych ubeków w celu zatuszowania sprawy. Historyk Mirosław Pietrzyk uważa bowiem, że Mücke padł ofiarą ubeckiej dintojry. W Café Adria zastrzelili go resortowi koledzy. Obawiali się bowiem, że Mücke zdemaskuje ich nadużycia i przestępstwa.

Sprawa zabójstwa w Inowrocławiu to tylko wierzchołek góry lodowej. Mirosław Pietrzyk podaje, że tylko w latach 1946–1950 odnotowano 43 463 przestępstwa dokonane przez funkcjonariuszy UB. 355 z nich postawiono zarzut dokonania zabójstwa. Jak widać, poziom moralny funkcjonariuszy tajnej komunistycznej policji był zatrważający.

Ciekawy artykuł Pietrzyka o śmierci Mückiego znalazł się w ostatnim tomie periodyku IPN pt.

„Aparat represji w Polsce ludowej 1944–1989”. To znakomite czasopismo jest kopalnią wiedzy na temat tajnych służb PRL. I to nie tylko dla specjalistów! Tymczasem pismo ma fatalne opóźnienie. Piętnasty numer z 2017 r. ukazał się dopiero kilka tygodni temu. Szanowna redakcjo! Pora przyspieszyć. ©©



★★★★★
„APARAT
REPRESJI
W POLSCE
LUDOWEJ
1944–1989”
1/15/2017



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Wieszcz i koronacja cara

Zniewiadomych powodów do dzisiaj pokutują opinie, że związki wileńskich studentów w początkach XIX w. (filomaci, promieniści itd.) były skierowane przeciwko carskiej Rosji. W rzeczywistości głosiły program odnowy etnicznej i moralnej, a konspiracyjny charakter niektórych z nich był efektem niechęci

„Odebrałem tu z Warszawy wiadomość o koronacji i pełne entuzjazmu opisy uczt i zabaw. Ja tam nie byłem! Podzielałem tylko z daleka szczęście moich współrodaków... Donoszę ci tylko, że Cesarz nasz jest teraz w Berlinie, przyjmowany z entuzjazmem, i że, jak powszechnie słychać, rad był z pobytu w Warszawie, i Cesarzowa łaskawie wspominała o serdecznym uniesieniu, z jakim przyjęta była od mieszkańców polskiej stolicy”.

Kiedy po śmierci wieszcza list dostał się w ręce członków krakowskiej Akademii Umiejętności, szacowne grono tej instytucji rozważało jego zniszczenie – dla dobra pamięci poety. List ocalał tylko fakt, że jego treść ogłosił jeden z badaczy w swojej biografii Mickiewicza.

Poeta, pisząc do Bułharyna, przebywał w Berlinie, poza zasięgiem władz rosyjskich, i nie zamierzał już nigdy powrócić w granice imperium Romanowów. Nic zatem nie zmuszało go do pisanania takich słów, nie było to żadne „łudzenie despoty”, jak chcieli to interpretować niektórzy badacze. Mickiewicz faktycznie uznawał Mikołaja I za legalnego króla Polski, a swoje postulaty polityczne ograniczał wyłącznie do powiększenia autonomii narodowej i zjednoczenia ziem polskich pod berłem rosyjskiej dynastii. Jednak czego nie może zdziałać mistrzowskie pióro poety? Czytając III część „Dziadów”, nikt nie ma wątpliwości, że bohaterowie dramatu z Konradem/Gustawem na czele są zajadłymi wrogami Rosji i cara... ©©

Uwięzienie i wyrok osiedlenia się w Rosji niewiele zmieniły w poglądach Mickiewicza

władz carskich do legalizacji organizacji studenckich. Wprawdzie pojawiały się hasła patriotyczne („z kajdan ojczyznę ratować”), ale filomaci z Zanem i Mickiewiczem na czele byli legalistami. Nie był to typ rewolucjonistów żyjących z fałszywymi dokumentami i rewolwerem w kieszeni, wprawdzie chcieli zmieniać świat, ale wyłącznie legalną drogą.

Zresztą uwięzienie i wyrok osiedlenia się w Rosji niewiele zmieniły w poglądach Mickiewicza. Nie chodzi tu nawet o wiernopoddańczą przedmowę do „Konrada Wallenroda” – można ją uznać za zabieg ułatwiający opublikowanie poematu. Prawdziwy problem stanowi zachowany list wieszcza do Tadeusza Bułharyna na temat koronacji Mikołaja I na króla Polski, która miała miejsce 24 maja 1829 r.:

Cud na plebanii w Dylągowej



Piotr Włoczyk

75 lat temu w cudownych okolicznościach ocalona została duża polska wieś na Podkarpaciu. Niemców i Ukraińców powstrzymał przed mordem polski policjant, który wszystkie zasługi przypisywał działaniu Bożej Opatrzności

Z kościoła dochodziły dźwięki mieszaniny śpiewów, płaczu i jęków. Zamknięci w środku ludzie żegnali się właśnie z życiem, każdy na swój sposób. Niemcy nie pozwolili proboszczowi na odprawienie mszy św., ale zgodzili się, by udzielił wiernym rozgrzeszenia „in articulo mortis” („w obliczu śmierci”). Blisko 500 osób – głównie kobiet, dzieci i starców – miało za moment stanąć przed karabinami maszynowymi, które Niemcy rozstawili na łące nieopodal kościoła. Napastnicy zaczęli też przygotowywać głęboki masowy grób. To miał być koniec polskiej wsi.

– Tej grozy nie sposób opisać, wyglądało na to, że nasza wieś została skazana na śmierć i nie ma dla nas ratunku – wspomina w rozmowie z „Do Rzeczy” Franciszek Kłyż, mieszkaniec Dylągowej, który był wówczas dzieckiem.

ZEMSTA NA NIEWINNYCH

– W Dylągowej miało się stać to samo, co wydarzyło się dwa miesiące wcześniej w Hucie Pieniackiej – mówi „Do Rzeczy” Artur Brożyniak z IPN w Rzeszowie.

– Ukraińscy nacjonaliści, którzy sami nie byli w stanie wymordować polskich mieszkańców Huty Pieniackiej, nakłonili Niemców, by zetrzeć z powierzchni ziemi tę miejscowość. Pretekstem była obecność w okolicy partyzantki sowieckiej.

Ukraińscy nacjonaliści i SS wymordowali wówczas ok. tysiąca mieszkańców Huty Pieniackiej, a także Polaków z okolicznych wsi, którzy szukali tam schronienia przed banderowcami. W Dylągowej miał zostać powtórzony ten scenariusz.

Napastnicy pojawili się w Dylągowej po południu 25 kwietnia 1944 r. Najpierw pojawili się ukraińscy policjanci, a następnie wezwani przez nich Niemcy. Starcie z powierzchni ziemi liczącej blisko 1,5 tys. mieszkańców wsi miało być elementem szerszej akcji „oczyszczania” ziem na wschód od Sanu z żywiołu polskiego, ale bezpośrednim pretekstem była zemsta za akcję AK przeciw posterunkowi ukraińskiej policji z nieodległego Jawornika Ruskiego.

Tego samego dnia wcześniej rano 32-osobowy oddział AK pod dowództwem ppor. Aleksandra Gruby ps. Sęp zaatakował ukraińską placówkę, by odbić trzech pojmanych niedawno AK-owców. Kiedy jednak okazało się, że mieszkańcy Jawornika Ruskiego przyłączyli się do obrony posterunku, a w środku nie ma aresztowanych Polaków, AK-owcy się wycofali. Nie mogąc dostać w swoje ręce żołnierzy polskiego podziemia, ścigający ich ukraińscy nacjonaliści postanowili zemścić się na pobliskiej Dylągowej, przekonując Niemców, że to właśnie mieszkańcy tej wsi brali udział w ataku na posterunek

w Jaworniku Ruskim. Była to nieprawda. AK-owcy „Sępa” nie mieli w Dylągową nic wspólnego.

Mężczyźni z tej wsi zostali aresztowani i popędzeni do Jawornika Ruskiego, a resztę mieszkańców zamknięto w kościele. Ukraińscy policjanci zaczęli przygotowywania do rzezi.

– Kiedy w Dylągowej pojawili się Niemcy, to – podburzeni przez policjantów ukraińskich – bardzo szybko doszli do przekonania, że należy wymordować mieszkańców wsi – tłumaczy Artur Brożyniak.

W tych okolicznościach do Dylągowej ściągnięci zostali przez Niemców również polscy policjanci pracujący pod ich komendą. Mieli pomóc w zabezpieczeniu całej akcji. Dowodził nimi mjr Kazimierz Mięśowicz, który w czasie okupacji zmuszony był służyć w „policji granatowej” pod niemieckimi rozkazami. Był komendantem powiatowym policji w Krośnie, a równocześnie służył w kontrwywiadzie AK. Przed wojną mjr Mięśowicz był najpierw żołnierzem Wojska Polskiego, a od 1936 r. pracował w Policji Państwowej.

„Dla odstraszającego przykładu kompletnej zagładzie musi ulec wieś Dylągowa, która nie tylko wysyła oddziały bandytów, aby zniszczyli posterunek ukraiński, ale nawet dała im schronienie – streszczał rozkazy dowodzącego Niemcami mjr. Ro-

senberga Kazimierz Mięśowicz w swoich wspomnieniach. – Nie powinien ślad pozostać, tak po wsi, jak i jej ludności. Akcja zaczęła się już z wieczora; są aresztowani. Trzeba jeszcze przetrząsnąć wieś za bandytami, za bronią i ewakuować ją z ludności, którą zajmie się Gestapo, a następnie wieś podpalić ze wszystkich stron, aby po niej znaku nie zostało. [...] Sparaliżowała niemal doszczętnie moje ośrodki nerwowe myśl, że właśnie mnie, oficerowi polskiemu, przypadł okrutny los wzięcia udziału w masakrze swych własnych rodaków”.

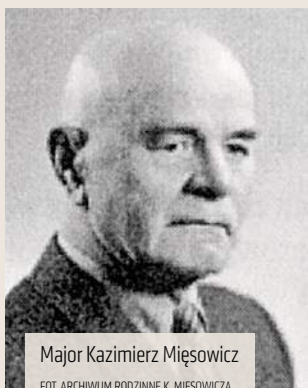
– Ojciec niesłychanie mocno to przeżywał. To było być albo nie być dla całej wsi. Dla niego, jako dla polskiego oficera, masakra kilkuset osób zamkniętych w kościele była nie do wyobrażenia. Musiał ją powstrzymać za wszelką cenę – mówi Maria Mięśowicz, córka policjanta, która była wówczas małym dzieckiem.

NAJCIEŹSZY DZIEŃ W ŻYCIU

– Kazimierz Mięśowicz rozważał wszczęcie buntu przez polskich policjantów, a nawet własne samobójstwo. Uznał jednak, że jedyną szansą na ratunek dla wsi są negocjacje z mjr. Rosenbergiem – dowódcą niemieckiego oddziału pacyfikacyjnego. Mięśowicz zaczął od przeciągnięcia na swoją stronę grupy niemieckich oficerów, którym przedstawił zarys historii stosunków polsko-ukraińskich. Powiedział im, że ukraińscy nacjonaliści wykorzystują Niemców do własnych celów. Bardzo przebiegle zagrał na ich ambicji. Jego wywody poparł dr Marburg – niemiecki lekarz wojskowy, który – jak się okazało – studiował wiele lat wcześniej we Lwowie i rozumiał kontekst tego konfliktu etnicznego – mówi Artur Brożyniak.

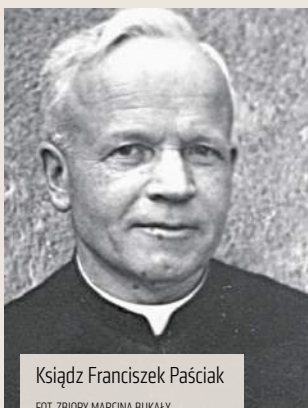
Intensywne negocjacje, które mjr Mięśowicz prowadził na plebanii kościoła w Dylągowej, trwały kilkanaście godzin.

– Ojciec cały czas był w napięciu, bo jeden nieostrych ruch mógł sprawić, że Niemcy zdecydują się na egzekucję. Ojciec całe życie to przeżywał, nawet po latach tamto napięcie wracało we wspomnieniach. To był bez wątpienia najcięższy dzień w jego życiu – mówi córka oficera.



Major Kazimierz Mięśowicz

FOT. ARCHIWUM RODZINNE K. MIĘŚOWICZA



Ksiądz Franciszek Paściak

FOT. ZBIORY MARCINA BUKAŁY

Niemieccy oficerowie, którzy przyjęli argumentację polskiego policjanta, zaczęli przekonywać swojego dowódcę, by przeprowadzić uproszczoną procedurę sądową. Major Mięśowicz wspominał, że przedstawiając argumenty za przeprowadzeniem procesu, poczuł niezwykłe „natchnienie”, które wprost utożsamiał z interwencją niebios. Ostatecznie – ku ogromnemu zaskoczeniu samego mjr. Mięśowicza, mjr Rosenberg (sprawiał wrażenie niezwykle zatwardziałego hitlerowca) posłuchał reszty oficerów niemieckich i wyraził zgodę na przeprowadzenie szybkiego

procesu. Dowódca polskich policjantów miał być tłumaczem.

– Mięśowicz zawczasu poinstruował przesłuchiwanym, żeby mówili jak najmniej, a najlepiej, żeby odpowiadali na pytania Niemców tylko „tak” lub „nie” – podkreśla ekspert z IPN.

Ostatecznie wobec braku dowodów Niemcy odstąpili od zniszczenia wsi. Na nic zdały się protesty Ukraińców. – Ojcu spadł z serca kamień tak ogromny, że aż ziemia musiała wokół zadrzeć. Równocześnie ojciec nie mógł pokazać po sobie radości, bo był przecież policjantem służącym pod niemieckim dowództwem. Musiał odgrywać swoją rolę zimnego funkcjonariusza do końca. Kiedy przyszli do niego ludzie z Kościoła, by dziękować za ocalenie, musiał od nich uciekać, żeby Niemcy nie zobaczyli radości – opowiada Maria Mięśowicz.

W historii ocalenia Dylągowej dużą rolę przypisuje się również proboszczowi miejscowej parafii ks. Franciszkowi Paściakowi. – Ksiądz Paściak wstawał się za mieszkańcami wsi i na wszelkie sposoby próbował jakoś udobruchać Niemców. Jego postawa przyczyniła się do rozładowania napiętej atmosfery. Najważniejszą rolę w uratowaniu mieszkańców Dylągowej odegrał jednak bez wątpienia Kazimierz Mięśowicz, który wykazał się wspaniałymi zdolnościami negocjacyjnymi. Ten polski policjant, który oddawał również nieocenione zasługi Armii Krajowej, uratował

jednego dnia kilkaset osób od potwornej śmierci – mówi historyk z IPN w Rzeszowie.

Na pomniku, który stoi dziś we wsi, napisano, że mieszkańców uratowały wówczas „Opatrzność Boża, działania ks. proboszcza Franciszka Paściaka i mjr. Kazimierza Mięśowicza”.

Cudowne ocalenie wsi nie było jednak pełne – trzech mieszkańców Dylągowej straciło życie w wyniku napaści połączonych sił niemiecko-ukraińskich, w tym ojciec Franciszka Kłyż. – Mój ojciec zginął w wyniku bardzo nieszczęśliwego spłotu okoliczności, ale jednak wieś ocalała. Czy ktoś słyszał o drugim takim przypadku, żeby Niemcy odstąpili od dokonania masowej egzekucji po tym, gdy już raz powzięli taką decyzję? Kazimierz Mięśowicz dokonał wówczas rzeczy niemożliwej – mówi Franciszek Kłyż.

Półtora roku później, w październiku 1945 r., Dylągowa nie miała już jednak tyle szczęścia i atak dwóch sotni UPA okazał się dla wsi katastrofalny. Jak można przeczytać na pomniku w Dylągowej: „W nocy z 3 na 4 października 1945 roku UPA napadła na wioskę, zamordowała kilku mieszkańców i spaliła większość zabudowań. Wieczorem 1 stycznia 1946 r. UPA zniszczyła wieś. Część mieszkańców została wymordowana, pozostali udali się na kilkuletnią tułaczkę”.

W sumie w tych dwóch atakach ukraińskich nacjonalistów zginęło 12 Polaków. Wieś na dwa lata przestała istnieć. W 1948 r., po akcji „Wisła”, mieszkańcy wrócili do Dylągowej i zaczęli odbudowywać swoją miejscowość.

„GRANATOWI” W SŁUŻBIE AK

Maria Mięśowicz podkreśla, że należy uważać z generalizowaniem w ocenie działalności „granatowych policjantów”.

– Ojciec starał się na różne sposoby powstrzymać złych policjantów, którzy pod nim służyli. Niektórym mówił wręcz, że jeżeli dalej będą szkodzili innym, to może ich spotkać coś złego... Z drugiej strony ojciec miał całą grupę zaufanych policjantów, dzięki którym miał wiadomości o sytuacji w powiecie, co przekazywał dalej do AK – mówi córka Kazimierza Mięśowicza. I dodaje: – Pamiętajmy, że „policjanci granatowi” byli bardzo różni. Nie godzę się z tak często powtarzanym stwierdzeniem, że wszyscy „policjanci granatowi” byli zdrajcami. Takich funkcjonariuszy jak mój ojciec było bowiem w tej formacji o wiele więcej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Demitologizacja cesarstwa



Demitologizacja i desakralizacja urzędów, u których podstaw leżą sankcje religijne, stają się faktem. Najpierw na emeryturę przeszedł po abdykacji papież Benedykt XVI, co symbolicznie przeniosło urząd papieski ze sfery absolutnego sacrum ku przestrzeniom zdecydowanie bardziej świeckim, teraz na podobny krok zdecydował się japoński cesarz Akihito, który w 85. roku życia zdecydował się złożyć swój urząd, co było pierwszym takim przypadkiem od ponad 250 lat. I o ile w przypadku papieża istniały odpowiednie przepisy, o tyle w przypadku cesarza prawo Japonii w ogóle nie przewidywało takiej możliwości, więc parlament musiał zmienić ustawę i wprowadzić abdykację.

I choć może się to wydawać wydarzeniem pozbawionym z perspektywy



Tomasz P. Terlikowski

Są rzeczy, które wydawać by się mogły niezmiennie, ot choćby taka, że ojciec, papież i japoński cesarz nigdy nie przechodzą na emeryturę. Z tych trzech instytucji już tylko jedna się nie zmieniła

Polski znaczenia, to warto sobie uświadomić, że oznacza to gigantyczną zmianę dla Japończyków, a poza tym dotyczy jednego z dwóch (właśnie obok papieństwa) najstarszych urzędów na Ziemi. Rodzina cesarska (wciąż ta sama) rządzi bowiem Japonią przynajmniej od VI w.

Pierwszym cesarzem, którego istnienie zostało historycznie potwierdzone, jest Kinmei, który zaczął swoje panowa-

nie w roku 539, ale tradycja nakazuje wierzyć w to, że w kraju tym rządziło przed Kinmeiem jeszcze 28 innych cesarzy, z których pierwszym był Jimmu, miał on rządzić w VI w. przed Chrystusem.

RODZINA BOGINI AMATERASU

Ale to wcale nie on jest źródłem władzy i autorytetu rodu cesarskiego, ale bogini Amaterasu, której wnuk, czyli wła-

Cesarz Akihito (pierwszy z lewej) w wieku 85 lat złożył swój urząd, co było pierwszym takim przypadkiem od ponad 250 lat

FOT. THE ASAHI SHIMBUN/GETTY IMAGES



z brązu, w którym miała ujrzeć swoje odbicie bogini, i wreszcie wisiorkami. Efekt był taki, że zaskoczona śmiechem, który wywołał taniec bogini, wysunęła się z jaskini, zaczęła przeglądać w lustrze, a wtedy bogowie zamknęli jaskinię i w ten sposób przywrócili słońce światu. Bogini owe trzy przedmioty – czyli miecz, wisiorki i lustro z brązu – wręczyła swojemu wnukowi, gdy zstępował on na ziemię, by zostać pierwszym cesarzem. I właśnie dlatego są one później regaliai rodziny cesarskiej.

Ta zabawna historyjka, która przypomina nam jako żywo mitologię grecką, była nauczana w japońskich szkołach jeszcze do czasów II wojny światowej. I choć cesarz Hirohito został zmuszony przez Amerykanów po wojnie do zrzeczenia się aspiracji do boskości (zdaje się, że rozumianej przez niego zupełnie inaczej niż przez nich), to nadal można zwiedzać jaskinię, z której miała wyłonić się bogini, a różne wersje tańca, który miał ją wywabić, nadal są istotną częścią obrzędów szintoistycznych. Cesarz zaś i jego rodzina nadal uważają się za wywodzących się wprost od bogini, a zatem posiadających boski autorytet. Warto mieć jednak świadomość, że boskość Japończycy rozumieją zupełnie inaczej niż Europejczycy. Dla nich bogowie nie są ani wieczni, ani doskonali, ani tym bardziej nie da się ich uznawać za Absoluty. Owszem, znajduje się w nich kami (my byśmy powiedzieli sacrum), ale niewiele ma to wspólnego z tym, co przez sacrum rozumieją ludzie Zachodu ukształtowani przez swoją kulturę. Autorytet zaś i władza cesarza, choć umocowane w sakralnych ideologiach, wcale nie są tak stare jak sama instytucja władcy.

WŁADZA UTRACONA I ODZYSKANA

Historycznie możemy bowiem powiedzieć, że władzę rodzina cesarska uzyskała mniej więcej w VII w., kiedy cesarzem został Kotōku (645–654). Wpływy chińskie sprawiły, że zorganizował on zarządzanie swoim państwem na wzór chiński, to znaczy, że cesarz stał się władcą absolutnym (nosił tytuły niebiańskiego władcy i syna niebios, a jego władza pochodziła od Amaterasu), który rządził państwem przy użyciu sprawnie zorganizowanej biurokracji. Dość szybko jednak, bo już dwa wieki później, władzę w cesarstwie zaczął stopniowo przejmować ród arystokratyczny Fujiwara, który stopnio-

wo – za pomocą urzędu kanclerskiego – przejął realną władzę w cesarstwie. Od tego momentu w istocie Krajem Kwitnącej Wiśni rządzili właśnie regenci i kanclerze, a od cesarzy ważniejszą rolę odgrywali ekscesarze, których reskrypty i decyzje bywały ważniejsze niż te wydawane przez obecnych cesarzy, których rola stawiała się stopniowo głównie religijna, symboliczna i kulturowa. Efektem były zamieszanie i destabilizacja.

W XII w. władza arystokracji dworskiej została zastąpiona przez rządy arystokracji wojskowej, a w roli realnych władców Japonii kanclerzy i regentów zastąpili szogunowie, czyli wojskowi dowódcy sprawujący kontrolę nad samurajami. Przez jakiś czas zwierzchnictwo nad arystokracją dworską sprawował kanclerz, a sam cesarz – choć w teorii miał nad nimi panować – w istocie został marionetką. Marionetką dodajmy często tak biedną, że przez lata kolejnych cesarzy nie było stać na intronizację i koronację.

Ostateczny upadek władzy cesarskiej wiąże się z przejściem dziedzicznym urzędu szoguna przez ród Tokugawów. Ieyasu Tokugawa podjął bowiem decyzję, że cesarz nie ma prawa opuszczać Kioto (czyli stolicy cesarza), miejscem jego pobytu ma być pałac, a jego rola ma być ceremonialna do tego stopnia, że zgodę nawet na spotkania z urzędnikami cesarskimi musiał wydawać szogunat. Co zatem miał robić cesarz? Sprawować obrzędy, uprawiać poezję i kaligrafię.

I tak to trwało aż do wieku XIX. Wtedy młodzi samurajowie, którzy mieli już dość systemu stworzonego przez Tokugawów, całkowicie zamkniętego na inne kraje, a przy okazji totalnie kontrolującego wszystko, zaczęli szukać symbolu, z którym na sztandarach mogliby wywalczyć zmianę. Stał się nim właśnie cesarz, a postulaty otwarcia na inne kraje, budowania nowej potęgi Japonii zaczęto wiązać właśnie z powrotem do władzy cesarzy. Jednocześnie szintoizm, który wciąż był dominującą religią na wyspach (choć nie ulega kwestii, że ustępował on buddyzmowi pod względem spójności), zaczęto modernizować w taki sposób, by stał się on oficjalnym kultem cesarza.

Początkowo cesarz Kōmei, którego otaczali młodzi wojownicy głoszący ideę: „Przywrócić władzę cesarzowi – wypędzić barbarzyńców”, skutecznie odbudowywał swój autorytet, jednak wcale nie chciał sprawować władzy samodzielnie, ale wspólnie z szogunem, i to w taki

śnie Jimmu, został pierwszym cesarzem. Kim była Amaterasu? Aby to zrozumieć, trzeba powrócić do mitycznych początków Japonii. Otóż wyspy miały zostać stworzone przez boga i boginię Izanagi i Izanami, którzy stojąc na unoszącym się nad oceanem moście, wzburzyli włóczęnią wodę zdobioną klejnotami. Wyspy powstały ze spadających z owej włóczni kropel wody, a z lustra z brązu, które trzymał w dłoni Izanagi, zrodziła się później bogini słońca Amaterasu.

Krótko potem w niebiosach wybuchła wojna (to niemal tak samo jak wśród bogów greckich), a bogini Amaterasu skryła się w pewnej jaskini, pogrążając niebo i ziemię w ciemnościach. Inni bogowie chcieli ją wywabić z kryjówek i posłużyli się w tym celu komicznym tańcem z włócznią pewnej bogini, lustrem

■ sposób, by to na tego ostatniego zawsze spadała odpowiedzialność za błędy. Ostatecznie jednak władzę cesarską przywrócił dopiero jego syn cesarz Meiji, któremu grupa rodzin arystokratycznych, a także młodych, wykształconych samurajów, często bez przydziału, oddała całą władzę. W roku 1867 szogun Yoshinobu Tokugawa zrezygnował z urzędu i oddał władzę cesarzowi, urząd szoguna przestał wtedy istnieć. Rok później zaś ogłoszono Wielkie Rozporządzenie o Restauracji Władzy Cesarskiej (jap. Ōsei fukko no daigōrei), w którym zniesione zostały urzędy szoguna, kanclerza i regenta, a zastąpiono je rządami cesarskimi sprawowanymi za pomocą zgromadzenia ludowego.

TECHNOKRACI I SAMURAJE

Okres cesarza Meiji uchodzi za czas błyskawicznej modernizacji i westernizacji Japonii. Technokraci, którzy sami wywodzili się z rodzin samurajskich, nakazywali obcięcie kucyków (będących symbolem rodzin samurajskich), a wyjazd na Zachód stał się najlepszą drogą do zrobienia kariery. Jednocześnie zaczęto odbudowywać sakralne uzasadnienie władzy cesarskiej, a także powracać do idei szintoistycznych i konfucjańskich, według których społeczeństwo japońskie miało się stać wielką i posłuszną konfucjańską rodziną z cesarzem, który był nie tylko głową, lecz także ojcem. Kult ten wiązano z błyskawicznym rozwojem armii i japońskiego militarizmu, cesarz bowiem był tym, który miał zapewnić rozwój potęgi militarnej Kraju Kwitnącej Wiśni. Czy oznacza to, że cesarz zaczął rządzić? Nic bardziej błędnego. Cesarz, choć był w centrum władzy, choć był symbolem Japonii, choć to dla niego żyli i umierali Japończycy, nadal nie sprawował w zasadzie władzy politycznej, nie brał udziału w rządach.

W niczym nie zmienia to tego, że – choć władza cesarza nie była sprawowana przez niego, ale w jego imieniu – miłość wobec cesarza, poczucie obowiązku napędzały odwagę, ale i okrucieństwo japońskich żołnierzy w czasie wojen. Ta miłość sprawiała, że nauczyciele tracili życie, rzucając się w ogień pożaru, byle tylko uratować portret cesarza, a pewien człowiek popełnił samobójstwo, nazwał

bowiem swoje dziecko imieniem Hirohito (czyli cesarskim), a w Japonii nie wymawiało się wówczas imienia cesarza. Ruth Benedict opisuje także żołnierzy, którym kazano przemaszerować 40 km w absolutnym upale i w imię cesarza zakazano pić wody z manierek. Kilkunastu z nich zmarło w czasie marszu, a przy każdym znaleziono zamkniętą butelkę pełną wody.

Tak ogromny autorytet cesarza, a także obowiązek posłuszeństwa mu zostały zresztą później wykorzystane przez Amerykanów, którzy właśnie na

Pierwszym cesarzem, którego istnienie zostało historycznie potwierdzone, jest Kinmei (zaczął swoje panowanie w 539 r.) FOT. BEEW



decyzji Hirohito o kapitulacji i wezwaniu do posłuszeństwa zbudowali nową Japonię. Posłuszeństwo to było tak ogromne, że wystarczyło jedno słowo cesarskie, żeby Japończycy złożyli broń i zaczęli współpracować ze Stanami Zjednoczonymi. Amerykanie, choć wykorzystali ten element tożsamości Japończyków, jednocześnie nakazali cesarzowi, by ten zrezygnował z uznania się za bóstwo, i to mimo iż on sam wyjaśniał, że przekonanie to niewiele ma wspólnego z tym, co przez pojęcie wcielony bóg rozumieją Europejczycy.

Decyzja została jednak podjęta i 1 stycznia 1946 r. w noworocznym prze-

mówieniu radiowym ówczesny cesarz zrzekł się swojej boskości i zaprzeczył wyższości Japończyków nad innymi rasami. Od tego momentu cesarz jest „symbolem jedności narodu”, a shintō państwowe, zwane tennoizmem, którego głównym elementem było właśnie głoszenie kultu cesarza i wielkości narodu japońskiego, zostało zlikwidowane. Warto sobie jednak uświadomić, że jednym z najważniejszych świątyni szintoistycznych w Tokio jest nadal mauzoleum żołnierzy poległych w czasie wojen prowadzonych w imię japońskiego militarizmu (w tym w czasie II wojny światowej), których nadal uważa się za bóstwa.

Powolna laicyzacja i demitologizacja urzędu cesarskiego trwa oczywiście od wielu lat. Cesarz Akihito, który właśnie ustąpił, zanim wstąpił na tron, prowadził badania ichtiologiczne i był uznanym ekspertem w tej dziedzinie (co oczywiście nie zdarzało się wcześniej), a jego syn, obecny cesarz Naruhito, jest magistrem historii. Do pewnego momentu poważnym problemem był w rodzinie cesarskiej brak męskiego potomka, który mógłby objąć japoński tron (córkę go nie dziedziczą), postulowano nawet dopuszczenie do dziedziczenia kobiet, ale dyskusja się zakończyła, gdy 6 września 2006 r. urodził się w rodzinie młodszego brata obecnego cesarza chłopiec, książę Hisahito.

Książę, i to też jest element demitologizacji urzędu, jest pierwszym od czasów II wojny światowej księciem, który nie uczęszcza do specjalnej szkoły dla arystokracji i właśnie rodziny cesarskiej, czyli Gakushūin. Książę jest drugim w kolejności po swoim ojcu, księciu Aki-shino, pretendentem do tronu. Na razie jednak, zgodnie z zasadami japońskimi, panowanie nowego władcy rozpoczęło także nową erę historyczną Reiwa (Piękna Harmonia). Wybór nazwy nowej ery także reguluje szczegółowe prawo, które przypomina, że ma ona „odzwierciedlać aspiracje i ideały społeczeństwa”, składać się ze znaków systemu kanji, a także wywodzić się z cytatów z klasycznej literatury chińskiej (choć w tym przypadku cytat pochodzi z klasycznej literatury japońskiej).

Nowa epoka potrwa do momentu, gdy cesarz Naruhito umrze albo ustąpi ze swojego stanowiska. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Powrót terrorystów



FOT. PLANET PICTURES/FOCUS



Witold Repetowicz

Prezydent USA zarzuca Europie, że nic nie robi z problemem bojowników Państwa Islamskiego. Tymczasem następnym celem może być właśnie Stary Kontynent

Mamy 1,8 tys. więźniów wziętych do niewoli w ostatnich bitwach w celu zniszczenia w 100 proc. kalifatu w Syrii. Teraz podejmowane są decyzje, co dalej robić z tymi niebezpiecznymi więźniami, ale kraje europejskie zupełnie nam nie pomagają, mimo że odniosły z tego dużą korzyść. Odmawiają wzięcia więźniów pochodzących z tych krajów z powrotem. Niedobrze!" – napisał niedawno na Twitterze

Donald Trump. Wielu Europejczyków zapewne odpowiedziałoby: „Bardzo dobrze!", bo powrót dżihadystów niewątpliwie spowoduje gwałtowny wzrost zagrożenia terrorystycznego. Jednak chowanie głowy w piasek może mieć znacznie gorsze skutki.

ZACIĄG Z EUROPY

Obecnie się ocenia, że w rękach Syryjskich Sił Demokratycznych (SDF), czyli sprzymierzonej z USA koalicji pod przywództwem syryjskich Kurdów, przebywa ok. 9 tys. jeńców, w tym ponad 2 tys. „foreign fighters". Mniej więcej połowa tych najemników pochodzi z Europy.

Jednak to nie wszystko. W rękach SDF jest ponadto 60 tys. kobiet i dzieci dżihadystów, które przeważnie nie ukrywają swojego uwielbienia dla Państwa Islamskiego oraz jego „kalifa" Abubakra al-Baghdadię. Na coraz liczniejszych nagraniach zakryte od stóp do głów czarnymi nikabami i abajami,

będące w niewoli, agresywne kobiety wykrzykują dżihadystyczne hasła, ciskają wyzwiskami, plują i rzucają różnymi przedmiotami. Na jednym z nagrań na pytanie kurdyjskiej dziennikarki o to, co spowodowało, że uznawały mordowanie za dopuszczalne, zaczęły wykrzykiwać: „Łamałyśmy im karki i to jest droga naszego proroka" albo: „Chwała Allahowi, że był tak łaskawy dla nas w Rakce i pozwolił nam zabijać niewiernych kulą w łeb".

Tylko niektóre z nich usiłują udawać „niewinne ofiary" w nadziei na szybkie przedostanie się do Europy. Jedną z nich była pochodząca z Wielkiej Brytanii Shamima Begum. Różne organizacje praw człowieka starały się przedstawiać ją jako zagubioną dziewczynkę, która zbłądziła, wyjeżdżając do Syrii w wieku 15 lat i teraz należy dać jej jeszcze jedną szansę. Szybko się okazało jednak, że udająca niewiniątko Shamima należała w Państwie Islamskim do okrutnej



system sądowniczy jest „elastyczny”, a organizacje praw człowieka mają niewiele do gadania (np. Rosja), chętniej zabierają swoich obywateli.

Państwa europejskie natomiast stosują pełną hipokryzji taktykę chowania głowy w piasek. Mają nadzieję, że Irak i SDF większość więźniów powybijają albo sami umrą w niewoli z chorób i niedożywienia i w ten sposób problem się rozwiąże. A wtedy oczywiście te same państwa będą mogły do woli krytykować Kurdów i Irakijczyków za „naruszenie praw człowieka”. Tyle że cierpliwość tamtej strony (Kurdów i Iraku) jest na wyczerpaniu.

HRW, a także propaganda turecka, atakuje również SDF za rzekomo złe warunki, w jakich przetrzymywani są więźniowie i ich rodziny. Tymczasem SDF od dawna podkreśla, że nie jest w stanie ponosić ciężaru przetrzymywania tylu ludzi, gdyż wiąże się to zarówno z kosztem finansowym, jak i zaangażowaniem osób potrzebnych do innych zadań. Wojna z IS całkiem się bowiem jeszcze nie skończyła. Według niektórych doniesień członkowie rodzin IS mają nawet lepsze warunki w swoich obozach aniżeli ich ofiary, np. jazydzi. Kurdowie, nie będąc uznanym międzynarodowo podmiotem, nie są też w stanie przeprowadzić procesów terrorystów, nie mówiąc już o egzekucjach. Od razu zostałyby one uznane za „pozasądowe mordy” i mogłyby stać się pretekstem dla Turcji do ataku na kontrolowane przez SDF tereny.

Dlatego SDF, żeby choć częściowo pozbyć się tego brzemia, postanowił podrzucić część jeńców Irakowi. Wtedy pojawiły się doniesienia, że Bagdad zgadza się kompleksowo zająć sprawą, ale oczekuje, że w zamian państwa, z których ci terroryści pochodzą, zapłacą za to, że będą oni trzymani w irackim więzieniu. Według jednej z wersji oferta miałaby polegać na tym, że właściwe państwo płaciłoby 2 mln dol. rocznie za każdego trzymanego w irackim więzieniu swojego obywatela. Druga wersja mówi o zapłacie 10 mld dol. z góry, a następnie po 1 mld każdego roku za wszystkich. W tym wypadku zainteresowane kraje musiałyby same się jakoś podzielić odpowiedzialnością za uiszczenie tej sumy. Irak miał przy tym tłumaczyć, że kwoty te są obliczone na podstawie kosztów utrzymania Guantánamo. Miał również zażądać, by organizacje praw człowieka trzymały się z daleka od tej sprawy, a zainteresowane kraje nie

milicji obyczajowej, terroryzującej miejscowe kobiety za takie przewinienia jak „nieodpowiedni strój”.

Co najmniej 4 tys. takich przetrzymywanych przez SDF kobiet i dzieci pochodzi z Europy. To wciąż nie wszystko, bo do tej liczby należy doliczyć terrorystów i ich rodziny, przetrzymywanych przez Irak. W tym wypadku dokładne liczby nie są znane, ale BBC podawała niedawno, powołując się na ONZ, że „foreign fighters” (nie tylko z Europy) jest tam około tysiąca. Trzeba zatem doliczyć do tego kilka tysięcy członków ich rodzin.

Dla państw europejskich osoby przetrzymywane przez Irak wydają się mniejszym problemem, bo kraj ten dysponuje lepszą infrastrukturą więzienną, a ponadto sądy często stosują wobec terrorystów karę śmierci. Tyle że zachodnie organizacje humanitarne robią wszystko, by sprawę skomplikować. Na przykład Human Rights Watch taśmowo produkuje raporty oskarżające władze irackie o stosowanie tortur wobec więźniów IS, arbitralność aresztów oraz nieuczciwość procesów. Obraz wyłaniający się z tych

dokumentów jest taki, że praktycznie wszyscy schwytani terroryści w rzeczywistości są niewinni. Taką wersję przyjęli zresztą też jeńcy przetrzymywani przez SDF. Większość z nich twierdzi, że do Syrii czy Iraku przybyła, by „pomagać ludziom”, i że nie robiła nic złego. Ot, sami kucharze, sprzątacze, po prostu pojechali „na zmywak”. Teraz pragną po prostu wrócić do domu i nie rozumieją, dlaczego ich kraje chcą się ich wyprzeć. Dotyczy to nawet takich kreatur jak tzw. IS Beatles, czyli El Shafee Elsheikha i Alexandra Koteya, którzy zajmowali się wykonywaniem egzekucji poprzez odcinanie zakładnikom głowy nożem. W jednym z wywiadów po schwytaniu wyrazili swoje zdziwienie tym, że Wielka Brytania chce ich wydać USA, gdzie mogą zostać skazani na śmierć za zamordowanie amerykańskich dziennikarzy Jamesa Foley’a i Stevena Sotloff’a oraz aktywisty humanitarnego Petera Kassiga.

TAKTYKA PRZECZEKIWANIA

Kraje, które stosują karę śmierci (np. USA) lub w których, delikatnie mówiąc,

FOT. JUNA MUHAMMAD/ZUMA/FOURIA

krytykowały stosowania przez Irak kary śmierci wobec terrorystów.

SETKI TERRORYSTÓW NA ULICACH

Reakcji ze strony państw europejskich nie było, stąd tweet Trumpa. Europa z jednej strony chce się pozbyć problemu i ma świadomość, że jeśli ci ludzie wrócą, to zapewne skończy się to zamachami i w rezultacie zmianami na scenie politycznej. Z drugiej jest więzieniem swojej politycznej poprawności, retoryki praw człowieka itp. Nie ma też większej wątpliwości, że przytłaczająca większość terrorystów, która wróciłaby do Europy, nie zostałaby skazana, a nawet jeśli, to wyroki byłyby niskie i po kilku latach wszyscy byłiby już na wolności. Jak bowiem przeprowadzić postępowanie dowodowe? Nikt nie będzie współpracował z instytucjami asadowskimi. Wątpliwa jest też współpraca sądowa z Irakiem ze względu na nacisk ze strony takich organizacji jak HRW. A takie na przykład Niemcy nie wyślą prokuratorów na tereny kontrolowane przez syryjskich Kurdów w obawie przed reakcją Turcji.

Setki dżihadystów IS już chodzą na wolności po ulicach europejskich miast.

Spośród 6 tys. osób, które wyjechały z Europy Zachodniej do Syrii i Iraku, by dołączyć do IS, wróciło prawie 1,8 tys.

W połowie 2018 r. oceniano, że spośród 6 tys. osób, które wyjechały z Europy Zachodniej do Syrii i Iraku, by dołączyć do IS, wróciło prawie 1,8 tys. W przypadku Europy Wschodniej, liczonej razem z Rosją, jest to odpowiednio 7 tys. i 800 osób. Tylko niewielka liczba spośród nich została skazana. Ofiary IS, które uzyskały w Europie azyl, raportowały, że spotykały swych oprawców w niemieckich supermarketach.

Ogromnym problemem są również dzieci terrorystów. Nikt nie bierze pod uwagę pozbawiania dżihadystów praw rodzicielskich, za to organizacje praw człowieka naciskają, by były one repatriowane. Zresztą wiele spośród nich zapewne już dawno jest tutaj. W końcu ktoś z jakiegoś powodu płacił za „sieroty” migrujące nielegalnie do Europy i niewielu zastanawiało

się, kim one są i skąd miały finanse na przemytników. Dorastające dzieci IS oraz kilkutyśieczna armia terrorystów doświadczonych w boju w Syrii i Iraku będzie zdolna do zorganizowania wielu „Sri Lanek” na naszym kontynencie. Warto zresztą pamiętać, że w tamtejszy zamach również zaangażowani byli „foreign fighters”, którzy wrócili do domu.

Chowanie głowy w piasek nie jest żadnym rozwiązaniem, bo grozi niekontrolowanym powrotem najemników. Donald Trump mówił o tym już w lutym. Ponadto Kurdom ciągle grozi atak Turcji, a wtedy nie będą mieli sił, by pilnować więźniów. Syryjczy Kurdowie zaproponowali więc międzynarodowy trybunał, który miałby sądzić terrorystów, ale znów wszyscy ich zignorowali.

Z perspektywy Polski pozornie powroty „foreign fighters” nie są problemem, bo wśród nich nie ma Polaków. Jest jednak wielu obywateli Niemiec, a także trochę osób z Ukrainy. Były też próby przerzucania ich z Syrii i Turcji do Polski. W związku z tym właśnie w grudniu 2018 r. aresztowano mieszkającego w Polsce Czeczena Alwiego A. Musimy więc mieć się na baczności.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



WIECZÓR WYBORCZY w Polskim Radiu

politycy publicyści analizy opinie komentarze

26 maja 2019

Początek o 20.45.



Słuchaj nas na antenie

Polskie Radio **24.**

i oglądaj na
polskieradio24.pl

Wojna o Stambuł



Teresa Stylińska

Erdoğan chętnie powtarza: „Kto zdobywa Stambuł, ten zdobywa Turcję”. Dlatego będzie dwoił się i troił, by w powtórzonych wyborach na burmistrza uratować miasto dla kandydata swej partii



Z Wielkiego Meczetu Camlica, wzniesionego na wzgórzu o tej samej nazwie po azjatyckiej stronie Bosforu, można podziwiać rozległą panoramę europejskiej części Stambułu. Nad morzem domów górują ogromne kopuły najwspanialszych meczetów: Błękitnego i sułtana Sulejmana, a także – najpotężniejsza – bizantyjskiej świątyni Mądrości Bożej. Hagia Sofia od ponad 80 lat jest muzeum i nie pełni żadnej funkcji sakralnej, ale – kto wie? – może znowu, tak jak za rządów Osmanów, stanie się meczetem.

Ta kwestia, od dawna, choć jak dotąd bezskutecznie podnoszona przez muzułmańskich aktywistów, w tym deputowanych rządzącej Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP), ostatnio ponownie znalazła się w centrum uwagi, i to za sprawą samego prezydenta Recepta Tayyipa Erdoğan. Chciałby on bowiem, by świątynię znowu zaczęto nazywać meczetem.

To, że prezydent poprzestał na stronie semantycznej, z przekonującym argumentem finansowym – przypominał, że wstęp do meczetów jest bezpłatny – nie powinien jednak wprowadzać w błąd. Deklaracja Erdoğan to swego rodzaju balon próbny. Nie od dziś wiadomo, że przywrócenie funkcji sakralnych w Ayasofya, jak po turecku brzmi nazwa świątyni, leży mu bardzo na sercu. Recep Erdoğan jest przecież gor-

liwym muzułmaninem, a Stambuł to jego ukochane miasto, z przyczyn tyleż rodzinnych, co politycznych i historycznych.

W skrócie: tu dorastał (choć urodził się w Rize nad Morzem Czarnym), tu, od stanowiska burmistrza, zaczął drogę na szczyt, tu wreszcie może pielęgnować to, co najbardziej ceni w historii Turcji – jej dziedzictwo osmańskie. Również dlatego tu właśnie, nad Bosforem, skoncentrowano wielkie budowle i potężne inwestycje nowej Turcji. Meczet Camlica, największy w Turcji, jest jedną z nich.

SKRADZONE ZWYCIĘSTWO

Uwagę mieszkańców Stambułu zaprzątają dziś jednak inne problemy. Oto burmistrz Ekrem İmamoğlu, przedstawiciel opozycyjnej Republikańskiej Partii Ludowej (CHP), wybrany 31 marca w wyborach municypalnych i zaprzysiężony w połowie kwietnia, po trzech zaledwie tygodniach został pozbawiony urzędu decyzją Najwyższej Rady Wyborczej. Uznała ona, choć niejednomyślnie, protest wniesiony przez AKP, wybory anulowała i na 23 czerwca wyznaczyła termin powtórnego głosowania. Co ciekawe, anulowano wyłącznie wybory burmistrza miasta. Wybory radnych wszystkich szczebli oraz burmistrzów dzielnic uznano za ważne, choć przecież – jak zauważył komentator dziennika „Hürriyet Daily News”, jeśli podnoszone za-

strzeżenia traktować poważnie, należałoby odnieść je do każdego z głosowań.

Nie ulega wątpliwości, że Rada ugięła się pod presją AKP, a ściślej: samego prezydenta, który uważa Stambuł niemal za swą własność i nie wyobraża sobie, by mogła nim rządzić opozycja. Jej wygraną Erdoğan komentuje we właściwym sobie, tyleż ostrym, co demagogicznym stylu, dowodząc, że opozycja „ukradła zwycięstwo” kandydatowi AKP, a powtórka sprawi, iż „demokracja zostanie przywrócona”. Podczas głosowania, dowodzi AKP, w użyciu były nieostemplowane kartki wyborcze (gdy wygrywał Erdoğan, nic jej to nie przeszkadzało), głosowali też ludzie nieuprawnieni, a to wypaczyło wyniki.

Kandydatem AKP był i będzie premier Binali Yıldırım. Gdyby to on miał rządzić Stambułem, można by było powiedzieć, że władzę w tym mieście nadal sprawuje Erdoğan. Stuprocentowa lojalność wobec Erdoğan to jedyna cecha, jaką wniósł Yıldırım do działalności publicznej.

Rzecz cała nie sprowadza się jednak tylko do sentymentów obecnego prezydenta. To, co dzieje się w Stambule i wokół niego, to kwintesencja zwrotu, jakiego Erdoğan dokonał w życiu Turcji, i to na wielu płaszczyznach. Za jego sprawą Stambuł wrócił de facto do roli stolicy, acz – w przeciwieństwie do czasów osmańskich – stolicy nieformalnej. Erdoğan zapewne chętnie



FOT. URKUH PRESIDENTIAL PRESS SERVICE/AP/EAST NEWS

ogromne lotnisko, które ma być największe na świecie, z 200 mln pasażerów rocznie, tunel pod Bosforem, wspomniany meczet Camlica, a także Yenikapi, mieszczące ponad milion ludzi miejsce wieców i zgromadzeń, nie przypadkiem porównywane z norymberskim Zeppelinfeld.

Trwa jeszcze budowa Galataportu, przeznaczonego dla wielkich wycieczkowców, i inwestycja największa oraz najbardziej ambitna: budowa kanału łączącego Morze Czarne z morzem Marmara i biegnącego równoległe do Bosforu. Wypada też wspomnieć o inwestycjach w mieście, takich jak kontrowersyjna przebudowa placu Taksim, gdzie mieści się ataturkowskie centrum kultury, i pobliskiego terenu osmańskich koszar. W 2013 r. realizacja tych planów wywołała największe jak dotąd protesty przeciwko rządowi Erdoğan. A że wielkie inwestycje niszczyły środowisko? Tym się nie przejmowano, podobnie jak losom ludzi, których domy burzono, by zrobić miejsce pod budowę wielopiętrowych wieżowców, znakomicie psujących panoramę Stambułu, oraz osiedli dla nowej klasy ludzi zamożnych, do tej pory wiernych wyborców AKP.

Znaczenie Stambułu, również dla AKP, wiąże się jednak przede wszystkim z jego miejscem w gospodarce. Największe miasto Turcji to siedziba banków i funduszy, a także miejsce produkcji i atrakcja turystyczna najwyższej klasy. 15-milionowa metropolia, według portalu telewizyjnej publicznej TRT World, wytwarza aż 27 proc. PKB Turcji. W 2018 r. odwiedziło Stambuł ponad 12 mln turystów, 30 proc. całego ruchu turystycznego. Budżet miasta przekracza 42 mld lir; to blisko 8 mld dol., nawet przy spadającym kursie liry wystarczająco dużo, by dać władzom miejskim wielkie możliwości działania.

POZOSTAĆ W PAMIĘCI

Jak mówi tureckie powiedzenie, cytowane ostatnio przy każdej okazji. „Kto zdobywa Stambuł, ten zdobywa Turcję”. Erdoğan sam chętnie je powtarza, bo jest to stwierdzenie efektowne i w jego wypadku w jakiejś mierze prawdziwe. Jemu samemu istotnie drogę do władzy w kraju utorowały wybory lokalne z 1994 r., gdy został burmistrzem Stambułu. Wówczas jednak chodziło nie tylko o Stambuł. Po raz pierwszy w historii republiki wygrała partia islamska – wówczas Refah (Partia Dobrobytu), poprzedniczka AKP. Zdobycie Stambułu i Ankary otworzyło przed ruchem islamskim nowe szanse i perspektywy.

Recep Erdoğan ma więc powody do obaw. Historia może się powtórzyć, choć z odwrotnym skutkiem. Utrata obu miast może zwiastować koniec doskonałej passy AKP, która od 2002 r. nie przegrała żadnych wyborów. Dlatego Erdoğan, zawsze aktywny w kampaniach przedwyborczych, będzie dwoił się i troił, by uratować miasto dla kandydata swej partii.

W tej strategii mieści się również otwarcie meczetu Camlica. Nie dość, że jest ogromny – na 25 tys. ludzi, a wraz z dziedzińcem aż 63 tys. (dla porównania: Błękitny Meczet mieści 10 tys. ludzi) – to zbudowano go z uwzględnieniem bogatej symboliki: po trosze tureckiej, po trosze stambulskiej. Główna kopuła ma 72 metry w obwodzie, bo w mieście żyli przedstawiciele 72 narodowości. Mniejsza ma 34-metrową średnicę – bo 34 to numer Stambułu na tablicach rejestracyjnych. We wnętrzu umieszczono 16 przydomków Allaha – co przypomina także, że Turcy stworzyli 16 państw. A cztery z sześciu minaretów mają wysokość 107,1 metra – bo w 1071 r. pod Manzikertem Turcy seldżuccy pokonali armię Bizancjum, dzięki czemu opanowali Anatolię.

Osmańskie meczety to miejsca modlitwy, ale zarazem grobowce sułtanów. Ciche podejrzenie, że Erdoğan chciałby spocząć kiedyś w meczecie Camlica, nie jest więc chyba bezpodstawne. Czemuż by nie, skoro Atatürk spoczywa w modernistycznym mauzoleum w Ankarze? Może i o tym myślał Erdoğan, gdy otwierając latem 2016 r. most Selima mówił: „Człowiek, gdy umiera, pozostawia za sobą swe dzieła. My za te dzieła właśnie będziemy pamiętani”.

Przewaga Ekrema İmamoğlu nad Yıldırımem – ponad 13 tys. głosów, przy 8,5 mln głosujących – istotnie była niewielka. Kemal Kılıçdaroğlu, lider CHP, partii Atatürka, jest jednak dobrej myśli. W ponownym głosowaniu opozycja, jak uważa, jeszcze zyska. Wielu ludziom nie podoba się anulowanie głosowania, zwłaszcza że zdarzyło się to po raz pierwszy i może stanowić niebezpieczny precedens. Poza tym dwoje innych kandydatów opozycji już się wycofało, apelując do swych zwolenników o poparcie kandydata CHP.

A zbojkotowanie wyborów? W tak wątpliwych okolicznościach byłoby nawet uzasadnione. Ale cóż po tym, skoro oznaczałoby ucieczkę z pola bitwy i oddanie Stambułu bez walki? Wojnę o Stambuł trzeba przecież wygrać. Dla Turcji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

by tę zmianę usankcjonował, ale jak dotąd nie zdobył się na krok tak rewolucyjny, oznaczający przypieczętowanie procesu zrywania z kemalizmem. Brakowałoby już tylko powrotu do alfabetu arabskiego i przywrócenia piątku w charakterze dnia świątecznego...

LEKCEWAŻONA STOLICA

O ile Mustafa Kemal Atatürk, twórca republiki, odciął się od Stambułu, by zerwać ze spuścizną imperium, o tyle Erdoğan odcina się od Ankary i eksponuje Stambuł, by zdystansować się od kemalizmu i podkreślić swe przywiązanie do epoki sułtanów. Oficjalna siedziba prezydenta nadal znajduje się w Ankarze, ale nie jest to już pałac Cankaya, siedziba szefów państwa od czasów Atatürka. Nową rezydencją jest Biały Pałac – ogromna budowla w stylu osmańskim, kompletnie więc niepasująca do modernistyczno-nowoczesnej Ankary.

Biały Pałac był potrzebny, by podnieść splendor urzędu, ale poza tą jedną inwestycją i patronowaniem budowie ankarskich meczetów Erdoğan nigdy nie angażował się w rozwój stolicy. Traktuje ją po macoszemu, wręcz lekceważąco. Całą jego uwagę skierowana jest na Stambuł, gdzie koncentrują się prawdziwe mega-inwestycje – znak firmowy jego rządów. Do użytku oddano już trzeci most na Bosforze, nazwany imieniem Selima I Groźnego,



ZORGANIZOWALI ZA DŁUGI MARATON

Przebiec 42 km i 195 m to spory wysiłek. Nieraz widać biegaczy, którzy przeżywają wielkie kryzysy przed metą, tak że ledwo do niej docierają. Tymczasem w Belfaście przez „błąd ludzki” – jak to wyjaśniono później – trasa ostatniego maratonu okazała się prawie o pół kilometra dłuższa. Organizatorzy za błąd przeprosili, a wygrał i tak, jak to zwykle podczas maratonów bywa, Kenijczyk.

FOT. LATE MCGURRY/PA IMAGES/GETTY IMAGES

KOLIZJA Z SAMOŁOTEM MERKEL

Samolot Bundeswehry – odrzutowiec Global 500 – wykorzystywany jako niemiecka maszyna rządowa, został uziemiony na lotnisku w Dortmundzie. Pracowniczka lotniska jeżdżąca dostawczym samochodem okazała się tak wielką fanką Angeli Merkel, że po jej przylocie pobiegła zrobić pani kanclerz zdjęcie. Niestety, w samochodzie nie zaciągnęła hamulca ręcznego. Furgonetka uderzyła w samolot, uszkadzając poszycie kadłuba. Merkel do Berlina musiała wrócić helikopterem.

CZEGO NAUCZY ŻONA MACRONA

Jak doniosła francuska prasa, żona prezydenta Emmanuela Macrona powraca do zawodu nauczycielki. Brigitte Macron, nauczycielka języka francuskiego, zacznie pracę w szkole dla dorosłych w dzielnicy Clichy-sous-Bois w północno-wschodniej części Paryża. Szkoła ma wyposażać dorosłych w „fundamenty umożliwiające im wejście na rynek pracy”. A prezydent-

wa zapowiedziała: – Ja chcę im zaszczyścić upodobania do literatury.

TŁOCZNO JAK NA MOUNT EVEREŚCIE

Najwyższa góra świata ma w sobie coś magicznego i zwykle wejście na nią postrzegane jest jako heroiczny wyczyn – coś, co dostępne było jedynie dla Edmunda Hillary’ego i innych gigantów himalaizmu. Tymczasem w rzeczywistości na szczycie w sezonie jest po prostu tłoczno. Każdy turysta może tam wejść, o ile ma ok. 11 tys. dol. na zezwolenie i jeszcze trochę na zorganizowanie wejścia. Nepalski rząd poinformował, że w tym roku wydał już rekordową liczbę zezwoleń na wejście na szczyt – 378.

ŁOŚ SAMOBÓJCA

W centrum szwedzkiego miasta Linköping łoś wspiął się po schodach budynku stojącego nad rzeką. Wyszedł na balkon i skoczył z wysokości ok. 5 m. Zwierzę zostało ranne i zdechło, zanim na miejsce dojechał miejski myśliwy. Nie wiadomo, dlaczego łoś postanowił w ten sposób zakończyć życie. ©©

Łukasz Zboralski



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Totalniackie bzdury Spurek

Sylwia Spurek, do niedawna zastępczyni rzecznika praw obywatelskich, a dziś kandydatka Wiosny do PE, zapytała na Twitterze, czy osoby o poglądach takich jak prof. Ryszard Legutko powinny mieć bierne prawa wyborcze do Parlamentu Europejskiego. Pani Spurek nie spodobało się, że filozof nazwał przypadki pedofilii w Kościele pederastią.

Przypomnijmy: pederastia to określenie czasami używane wymiennie na określenie homo-

seksualizmu, ma jednak nieco inny odcień, oznacza bowiem skłonność głównie do młodych chłopców. Trudno powiedzieć, co się pani Spurek nie spodobało. Kandydatka Wiosny jest bowiem znana z wy-czulenia na wszelkie naruszenia poprawności politycznej – skandaliczne może być dla niej nawet nazwanie Murzyna Murzynem.

Ważniejsze jednak, że skrajna le-wica kompletnie już nie kryje swo-ich totalniackich zapędów. Mamy do czynienia z ludźmi, którzy nie

są w stanie ścierpieć, że ktoś może widzieć świat inaczej. Nie miejmy złudzeń: gdyby kiedykolwiek rządy w Polsce dostały się w ręce osób pokroju pani Spurek, oznaczałoby to koniec wolności słowa.

Różnica między mną czy prof. Legutką a byłą zastępczynią RPO polega na tym, że my nie chcemy pozbawiać jej praw wyborczych nawet za najgorsze bzdury, jakie może wygadawać. Chcemy mieć tylko prawo do nazywania ich bzdurami. ©©

TEST „DO RZECZY”: SENNHEISER MOMENTUM TRUE WIRELESS

Rewelacyjna jakość dźwięku, komfort użytkowania i dobre mikrofony umożliwiają bezproblemowe używanie tego modelu nie tylko do słuchania muzyki, lecz także do prowadzenia rozmów telefonicznych – to największe zalety nowego gadżetu cenionego niemieckiego producenta.

Największą zaletą testowanego modelu jest jakość brzmienia, która przewyższa wszystkie podobne słuchawki bezprzewodowe. Być może nazwanie ich audiofilskimi byłoby przesadą, ale naprawdę niewiele im brakuje. Dźwięk jest czystszy niż w kultowych AirPodsach od Apple, a także niż w podobnym modelu firmy JBL. Bas jest wyraźniejszy, a górny zakres pasma bardziej subtelny. Ciekawa jest też funkcja Transparent Hearing, dzięki której użytkownik może być świadomy tego, co się dzieje dookoła niego, nawet jeśli słucha głośno muzyki (wbudowane mikrofony wzmacniają bowiem dźwięki z zewnątrz, przez co z pewnością usłyszymy klakson czy pytanie o drogę).

Ważące 13,2 g słuchawki są większe niż u konkurencji, przez co bardziej wystają z ucha. Ich kształt jest jednak na tyle dobrze dopasowany, że model



ten jest komfortowy w użytkowaniu. Aby słuchawki nie wypadły z uszu, w zestawie znajdują się cztery rozmiary dousznych silikonowych wkładek (od XS po L).

Na pochwałę zasługuje również jakość łączności bezprzewodowej – testowane słuchawki ani razu nie straciły połączenia ze smartfonem, choć często odchodziłem w nich stosunkowo daleko od telefonu.

Bateria wbudowana w słuchawkach pozwala używać je bez przerwy przez trzy-cztery godziny.

Podobnie jak w przypadku konkurencji – która oferuje niewielkie, bezprzewodowe słuchawki – w zestawie wraz ze słuchawkami otrzymujemy również eleganckie, zgrabne etui (wążące 56,6 g), pełniące jednocześnie funkcję ładowarki oraz banku energii. Mieszczące się w dłoni etui ładuje się za pomocą nowoczesnego gniazda USB-C (kabelek w zestawie). W sumie

czas nieprzerwanego słuchania na jednym ładowaniu wynosi do 12 godzin. Nieźle, ale niektórzy konkurenci oferują akumulatory, które pozwalają na dłuższe użytkowanie sprzętu.

Po stronie minusów można też wpisać wspomniany rozmiar słuchawek. Największą wadą testowanego modelu jest jednak potwornie wysoka cena, wynosząca aż 1199 zł.

Jeśli kogoś na to stać, to niemal na pewno będzie zadowolony z Sennheiser Momentum True Wireless. Za takie pieniądze można bowiem kupić niemal dwie pary podobnych – choć gorzej brzmiących – słuchawek. ©

Jacek Przybylski



System czujników wilgotności automatycznie wyłącza urządzenie, gdy Morus Zero nie jest w stanie wykrywać wilgoci w odzieży i urządzenie uznaje, że proces suszenia jest zakończony.

Zamawiać można na portalu Kickstarter w cenie około tysiąca złotych za sztukę. Dostawa w grudniu.

HERBATKA WSZĘDZIE

Popularne jeszcze niedawno termosiki i stalowe kubki coraz częściej odchodzą do lamusa, a ich miejsce zajmują nowoczesne, ekologiczne, multifunkcyjne butelki-zaparzacze. W ten trend wpisuje się też Mosi Tea, czyli nowoczesny, przenośny zaparacz do herbaty. Wielką zaletą urządzenia jest możliwość szybkiego przygotowywania herbaty także za zimno, dzięki opatentowanej technologii Infusion.

Gadżet kosztuje ok. 120 zł i można go zamawiać na Kickstarterze. Dostawa także w grudniu tego roku. ©

Wojciech Wybranowski

WYSCHNIJ NA BIURKU

„Dzień za dniem pada deszcz / Słońce śpi, nie ma cię / Jest mi bardzo, bardzo źle / Zimny kraj, zimny maj” – śpiewała Kora w wielkim przeboju zespołu Maanam. Nie ma co ukrywać, maj zapowiada się zimny i deszczowy, lato podobnie ma obfitować w opady.

A co zrobić, gdy solidnie przemokniemy i koszulka ocieka strugami deszczu? Ano można na przykład sięgnąć po Morus Zero, czyli „biurkową”, niewielką, za to ultraszybką suszarkę bębnową wyposażoną w technologię Vacuum+ (generalnie polegającą na zasysaniu wody). Urządzenie jest tak niewielkich rozmiarów, że można zabrać je ze sobą na przykład na camping albo jacht, a czas suszenia odzieży w niej to niewiele ponad kwadrans.

Co ważniejsze – urządzenie nie tylko suszy, ale i odświeża odzież, a to dzięki wbudowanej sterylizacji UV, która – jak twierdzi producent – skutecznie eliminuje 99,9 proc. bakterii.



Uziemione marzenia



Jacek Przybylski

Superjet 100 był nadzieją rosyjskiego przemysłu lotniczego i oczkiem w głowie prezydenta Władimira Putina. Jego kolejne katastrofy sprawiły jednak, że popyt na te maszyny jest mizerny, a firma, która miała podbić świat, nie podbiła nawet rodzimego rynku



To mogła być niezwykła historia o szybkim powrocie do światowej potęgi. Przed upadkiem muru berlińskiego przemysł lotniczy Związku Sowieckiego produkował bowiem nie tylko ok. 40 proc. wszystkich powstających na świecie samolotów wojskowych, lecz także ok. 25 proc. wszystkich maszyn cywilnych. Rozpad Związku Sowieckiego, Układu Warszawskiego i Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej sprawił jednak, że produkcja samolotów cywilnych spadła z 715 maszyn w roku 1990 do 4 (słownie: czterech) zaledwie dziesięć lat później.

Rosja straciła istotną część zaplecza przemysłowego. Zakłady Tupolewa, które produkowały takie eksportowe hity Sowietów jak Tu-154, mieściły się bowiem na Ukrainie, a zakłady Iljuszyna – składające m.in. słynne iły-114 – w Uzbekistanie. Dotyczy to nie tylko przemysłu lotniczego, lecz także raketowego – Kreml nie może już też liczyć na pomoc ze strony Ukraińców, którzy wcześniej

dostarczali m.in. silników do rosyjskich rakiet kosmicznych.

Wracając do samolotów cywilnych. Również krąg odbiorców błyskawicznie stopniał i ograniczył się w zasadzie do klientów z Iranu, Kuby i części Afryki. Z rodzimej produkcji zrezygnował szybko nawet rosyjski Aerofłot, który pierwszego Airbusa A310 – maszynę europejskiego konsorcjum – kupił już w 1992 r., a następnie zainwestował w maszyny takich amerykańskich firm jak Boeing i McDonnell Douglas.

W 2006 r. marzący o odbudowie potęgi Związku Sowieckiego prezydent Władimir Putin podjął decyzję o nacjonalizacji United Aircraft Corporation. Pod państwowego producenta podpięto wszystkich cywilnych producentów w Rosji.

Szefowie UAC dostali zaś jasne zadanie: stworzyć nowoczesny samolot pasażerski. Wykorzystano projekty modelu, który zaczął powstawać w biurach Jakowlewa, Iljuszyna i Suchoja

jeszcze w latach 90. ubiegłego wieku. Ponieważ technologicznie Rosjanie byli już mocno zapóźnieni, przy składaniu nowego modelu wykorzystano wiele zagranicznych części. Ekonomiczny silnik PowerJet SaM146 stworzyło konsorcjum francusko-rosyjskie. Awionikę kupiono od francuskiego koncernu Thales. Układy sterujące dostarcza niemiecka firma Liebherr, a część podzespołów pochodzi od konkurencyjnego Boeinga. W sumie odsetek elementów i podzespołów, które muszą być importowane z zagranicy, szacuje się na ok. 80 proc.

Mimo to, gdy w 2007 r. nowoczesna sylwetka regionalnego wąskokadłubowego samolotu pasażerskiego została oficjalnie pokazana światu, ówczesny wicepremier Siergiej Iwanow nie ukrywał przed dziennikarzami i inwestorami, że dla Rosjan to nie jest zwyczajny produkt. Suchoj Superjet 100 – pierwszy rosyjski samolot pasażerski powstały po rozpadzie Związku Sowieckiego – miał być technologiczną wizytówką Rosji i urze-

Putina



5 maja należący do Aeroflotu superjet 100 podczas awaryjnego lądowania stanął w płomieniach. Zginęło 41 osób FOT. SERGEI/XINHUA/EAST NEWS

czywistnieniem marzeń Kremla nie tylko o odzyskaniu przez rosyjski przemysł lotniczy krajowego rynku samolotów pasażerskich, lecz także o powrocie do gry na skalę globalną.

Sztandarowy produkt rosyjskiego przemysłu lotniczego miał rywalizować z takimi graczami, jak: Airbus, brazylijski Embraer czy kanadyjski Bombardier.

TRAGICZNY CIOS

W niedzielę 5 maja marzenia Putina i jego świty zostały na długo uziemione. Podczas awaryjnego lądowania na lotnisku Szeremietiewo w Moskwie należący do linii Aeroflot i wypełniony paliwem superjet 100 kilkukrotnie ciężko uderzył o ziemię i stanął w płomieniach. Tragiczną śmiercią zginęło 41 z 78 osób znajdujących się na pokładzie maszyny, która została wyprodukowana w czerwcu 2017 r., a ostatni duży przegląd przeszła w kwietniu obecnego roku.

Śledczy nie ustalili jeszcze przyczyny katastrofy. Chociaż rozpatrywane są

różne hipotezy – od błędu pilotów lub kontrolerów poprzez bardzo trudne warunki meteorologiczne do awarii maszyny – to widok kompletnie spalonego wraku samolotu wielu osobom odbiera jakąkolwiek ochotę na podniebną podróż suchojem.

Zwłaszcza że nie była to pierwsza katastrofa w krótkiej historii tego modelu. Kiepska opinia ciągnie się za nim od 2010 r., gdy rosyjska telewizja NTV ujawniła, że 70 pracowników fabryki, w której produkuje się nowe odrzutowce, swoje dyplomy inżynierów uzyskało, przekupując po prostu pracowników lokalnej uczelni technicznej. Kierownictwo Suchoja uspokajało jednak, że akurat ci „inżynierowie” nie brali bezpośredniego udziału w produkcji samolotu.

9 maja 2012 r. podczas pokazowego lotu w Indonezji rosyjski odrzutowiec rozbił się o zbocze wulkanu Salak. Zginęło wówczas 50 pasażerów i członków załogi. Chociaż komisja do badania wypadków lotniczych uznała, że przy-

czyną katastrofy był błąd załogi, która zignorowała ostrzeżenie „terrain ahead”, zła passa trwała nadal.

Zaledwie rok później w trakcie lądowania samolotu testowego na Islandii maszynie nie wysunęło się podwozie. Na szczęście jednak w tym incydencie lekko ranna została tylko jedna osoba.

Szczęśliwie bez ofiar i rannych zakończył się również rejs Aeroflotu z Moskwy do Kijowa 4 maja 2015 r. – dopiero po wylądowaniu okazało się bowiem, że jeszcze podczas startu na moskiewskim lotnisku Szeremietiewo z jednego silnika odpadło kilka części, które po zgłoszeniu incydentu odnaleziono niedaleko pasa startowego.

Mimo katastrof i wielu różnych wątpliwości, wbrew obowiązującym na świecie praktykom, władze Rosji do zamknięcia tego wydania „Do Rzeczy” nadal nie podjęły decyzji o zawieszeniu rejsów maszyn Superjet. Trudno się jednak dziwić, że zaledwie kilka dni po niedawnej tragedii okazało się, że



Interjet, meksykańska tania linia lotnicza, musiała uznać większość rosyjskich maszyn. FOT. MARINA LYSTSEVA/TASS/FORUM

■ cudem rosyjskiej techniki boją się latać nawet sami Rosjanie. Pasażerowie rejsu z moskiewskiego Szeremietiewa do Rygi odmówili zgody na lot superjetem 100, ponieważ części z nich wydawało się, że czują zapach palącej się instalacji elektrycznej. Start opóźniono o dwie godziny, ale po dokładnych oględzinach pasażerowie musieli wrócić do maszyny, która na szczęście bez problemów wylądowała w łotewskiej stolicy.

13 maja 2019 r. inny superjet 100 tuż po starcie został zawrócony na lotnisko Szeremietiewo. Tylko w maju Aeroflot odwołał już kilkadziesiąt lotów, które miały być wykonywane rosyjskim odrzutowcem. W Internecie pojawiła się więc petycja wzywająca rosyjskie władze do zawieszenia lotów superjetem 100.

WIELKIE ROZCZAROWANIE

Rosyjski samolot miał być hitem eksportowym, ponieważ wyceniono go na zaledwie 31,7 mln dol., czyli o jedną trzecią taniej od porównywalnych maszyn produkowanych przez Kanaadyjczyków czy Brazylijczyków. Szefowie firmy Suchoj mieli więc nadzieję, że do 2030 r. uda im się znaleźć kupców nawet na tysiąc egzemplarzy swego samolotu pasażerskiego.

Jeszcze przed tragiczną katastrofą na moskiewskim lotnisku Superjet 100 sprzedawał się jednak o wiele gorzej, niż wymarzyły sobie to kremlowskie elity. Łącznie zamówiono dotąd ponad 300 egzemplarzy, z czego zbudowano ponad 170.

Jako pierwsza zamówienie na 50 maszyn złożyła co prawda linia S7 Airlines, drugi pod względem wielkości przewoźnik lotniczy w Rosji, ale ostatecznie kontrakt anulowano. W 2007 r. umowę

na zakup czterech superjetów podpisały armeńskie narodowe linie lotnicze Armavia, które pierwszy komercyjny lot rosyjską maszyną wykonały w kwietniu 2011 r.

Kilkadziesiąt sztuk kupiło kilku rosyjskich przewoźników, z czego 50 sztuk – chcąc nie chcąc – musieli kupić szefowie Aeroflotu, największego przewoźnika lotniczego w kraju, który w grudniu 2018 r. pochwalił się poprawą wyników operacyjnych o 13,5 proc. rok do roku i wzrostem liczby obsługiwanych pasażerów do 35,8 mln w roku 2018.

30 egzemplarzy rosyjskiego hitu eksportowego zamówiła również meksykańska tania linia lotnicza Interjet. Niezadowoleni z nowego nabytku są Meksykanie, którzy zredukowali kontrakt, ponieważ 15 rosyjskich odrzutowców stoi uziemionych na płycie lotniska z powodu awarii i braku części zamiennych. Aby poradzić sobie z częstymi awariami, Meksykanie zdecydowali się na rozebranie na części zamienne czterech niemal nowych samolotów. Jednocześnie domagają się jednak od Rosjan przeprowadzenia remontu silników we własnych posiadanych odrzutowcach, i to na koszt producenta.

W Europie na wykonywanie lotów tym rosyjskim odrzutowcem zdecydowały się tylko irlandzkie tanie linie CityJet, ale z powodu licznych awarii wycofały się z ich użytkowania. Nad złożeniem zamówienia na 15 sztuk zastanawiał się również słoweński przewoźnik Adria Airways – w kwietniu słoweńska firma poinformowała jednak oficjalnie o zerwaniu rozmów z rosyjskim producentem.

Trudno się dziwić, skoro nawet według ekspertów cytowanych przez „Kommiersanta” rosyjski odrzutowiec

jest o wiele bardziej awaryjny i zawodny niż podobne konstrukcje Boeinga czy Airbusa.

AMBICJE I OGROMNE ZACOFANIE

W zeszłym roku udział w projekcie kupiła spółka Irkut Corporation. Od listopada odrzutowiec Superjet 100 oficjalnie występuje już więc bez słowa Suchoj.

Producent ma jednak problem z podbiciem nawet rodzimego rynku, chociaż popyt na loty w Rosji wzrasta w ogromnym tempie. Od 2009 r. liczba pasażerów lotniczych w Rosji wzrosła z 45 mln do rekordowych 116,1 mln w roku 2018. Konserwatywne prognozy na obecny rok przewidują wzrost do co najmniej 120 mln pasażerów. Jednocześnie poprawia się kondycja krajowych przewoźników, którzy obsłużyli ponad 66 proc. rosyjskiego ruchu lotniczego. Lepszym wynikiem operacyjnym sprzyja rosnący popyt i wzrost średniego obłożenia samolotów w komercyjnych rosyjskich liniach, które w ciągu dekady zwiększyło się o 5,5 punktu procentowego do 83,7 proc. w roku 2018.

Kolejne katastrofy i liczne usterki sztandarowego rosyjskiego modelu samolotu pasażerskiego pokazują jednak dobitnie największą słabość ery rządów Putina, których charakterystyczną cechą są imperialne ambicje wysoko górujące nad możliwościami i kompetencjami.

Niepowodzenia niedopracowanego modelu odrzutowca – który już i tak jest tylko składakiem rosyjskich chęci i zachodnich technologii – to jedna z przyczyn spadającej produkcji samolotów w Rosji. Dramatyczne zacofanie rosyjskiego przemysłu lotniczego pogłębiają zaś jeszcze wprowadzone w 2014 r. – po agresji Rosjan na Ukrainę – zachodnie sankcje.

Niestety, władze na Kremlu na te problemy znalazły na razie tylko typowo imperialne rozwiązanie. Według portalu AvioNews pod koniec kwietnia minister przemysłu i handlu Denis Manturow zapowiedział już, że do 2030 r. połowę floty Aeroflotu będą stanowiły samoloty wyprodukowane na terenie Rosji. I wątpliwe, by coś w tych planach miało się zmienić, bo z dotychczasowych wypowiedzi przedstawicieli Kremla wynika, że Superjet jest po prostu super. Takie podejście władz może nie tylko nie uratować rosyjskiego odrzutowca, ale pociągnąć na dno największego przewoźnika Rosji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Kolejny sukces, niestety

Nie lada kłopot mają propolscy antypisowcy, czyli ci wszyscy, którzy dobrze życzą Polsce, w tym polskiej gospodarce, a jednocześnie źle życzą PiS. No bo jak mają żyć, co myśleć i mówić, gdy od pewnego czasu nie ma miesiąca, a czasami tygodnia, by któraś z ważnych instytucji nie podniosła prognozowanego tempa wzrostu polskiego PKB, czyli tempa rozwoju Polski.

A to Międzynarodowy Fundusz Walutowy ogłasza, że PKB Polski wzrośnie w 2019 o 3,8 proc., a nie – jak prognozowano wcześniej – o 3,5 proc. A to Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju przyznaje, że wzrost PKB Polski wyniesie w 2019 r. 4,1 proc., zamiast prognozowanych wcześniej 3,6 proc. A to Komisja Europejska winduje własne prognozy wzrostu PKB Polski na 2019 r. – z 3,5 do aż 4,2 proc., a na 2020 r. – z 3,2 do 3,6 proc. I w dodatku przyznaje, że Polska znalazła się wśród zaledwie pięciu państw UE, dla których przewidywany wzrost PKB w latach 2019–2020 skorygowano w górę.

Aprzecież i poprzednie lata spędzone pod bu-tem reżimu PiS nie były pod tym względem łatwe dla propolskiego antypisu. Bo z podobnymi korektami, poprawkami, rewizjami i wcześniej spieszyły zarówno owe nobliwe międzynarodowe instytucje, jak i agencje ratingowe. Co prawda, niektóre z owych agencji na samym początku PiS-owskiej okupacji dawały propolskie-

mu antypisowi nadzieję, na zapas obniżając – co prawda, nie sam rating Polski, lecz jego perspektywę, wszelako niedługo potem wracały do wyższych ocen.

Ate agencje to wiadomo – mierzą, ważą, porównują, przeliczają wszystkie deficyty i długi publiczne, wszelkie ryzyka – i krótko-, i długoterminowe, także te płynące z przeróżnych decyzji polityków. I wciąż wychodzi im podobnie, całkiem nieźle dla Polski, a więc także PiS. Nie dalej jak w marcu agencja Fitch Ratings utrzymała ocenę wiarygodności kredytowej Polski na poziomie „A-” z perspektywą stabilną. Kilka tygodni później to samo uczyniły Moody’s i Standard & Poors. Agencja Moody’s pozostawiła rating wiarygodności kredytowej Polski na poziomie „A2” z perspektywą stabilną, przy okazji podwyższając prognozę tempa wzrostu PKB naszego kraju w 2019 r. z 4,2 do 4,4 proc. Natomiast S&P utrzymała ocenę ratingową Polski dla długoterminowych zobowiązań w walucie zagranicznej na poziomie „A-” z perspektywą stabilną, a dla krótkoterminowych – na poziomie „A2”. Utrzymała też ocenę dla długo- i krótkoterminowych zobowiązań w walucie krajowej na poziomie odpowiednio „A” i „A2” z perspektywą stabilną.

Co w tej sytuacji pozostaje propolskim antypisowcom? Cóż, albo pogodzić się z tym i pozostać z mieszanymi uczuciami, albo nie pogodzić się i zacząć źle życzyć polskiej gospodarce, czyli Polsce. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Problem matki Polki

Młode uczą się na własnych błędach pod czujnym okiem samicy, podczas gdy samiec dba o pożywienie. Taki jest model u wielu zwierząt i przez tysiąclecia tak samo było w przypadku człowieka. Jednak w minionych kilku dekadach przyjęliśmy inny model, w którym nadopiekuńcza matka Polka nie pozwala dziecku zostać samodzielnym dorosłym. Zaczyna się od rana. Matka Polka budzi swoje dziecko do szkoły, zamiast pozwolić młodemu człowiekowi wyrobić sobie nawyk odpowiednio wczesnego wstawania. Potem jest seria pytań sprawdzających: czy wzięła(e)ś to, a tamto; może zrobić ci kanapkę; pamiętaj, że może padać, weź kurtkę przeciwdeszczową itd. A to dopiero początek. Nastolatek (nastolatka) dzięki aktywności matki Polki przekonuje się, że otaczają go (ją) samościerające się łóżka, samopiorące i samoprasujące się ubrania, pokoje mają funkcję automatycznego sprzątania.

Sto lat temu dzieci wcześnie zaczynały pracować, więc wcześniej uczyły się samodzielności. Obecnie matka Polka marzy, aby jej dziecko skończyło studia, więc pozbawione własnych dochodów żyje w kokonie matki Polki do 25. roku życia, a często nawet dłużej. To oznacza, że zmienił się model biznesowy rodziny. Kiedyś dzieci wcześniej generowały dodatkowe dochody w rodzinie, więc wiele dzieci oznaczało wyższe dochody rodziny.

Obecnie dzieci i młodzież, nawet po osiągnięciu wieku dorosłego, stanowią znaczącą pozycję kosztową w budżecie rodziny, co oznacza, że rodzin nie stać na wiele dzieci.

Oczywiście jest możliwe, że wydłużenie procesu edukacji powoduje, iż młodzież zaczyna pracę później, ale ma lepiej opłacane zajęcie, więc ta inwestycja w edukację może się opłacać. Ale prawdopodobnie jest to zbyt późno, żeby wpłynąć pozytywnie na liczbę planowanych dzieci. Ponadto najwyższe dochody osiągane są w gospodarstwach domowych przedsiębiorców, a osłabianie procesu uczenia się na własnych błędach redukuje możliwości wyboru ścieżki bycia przedsiębiorcą przez młodego człowieka. Zresztą wiele pomysłów na własny biznes nie pojawia się na takiej czy innej lekcji (wykładzie), prowadzonej przez pracownika najemnego, który nie ma własnych doświadczeń bycia przedsiębiorcą, ale właśnie podczas podjęcia próby zarobienia pieniędzy przez młodego człowieka.

A gdyby przeprowadzić eksperyment i po ukończeniu przez pociechę 15 lat (plus minus) ustawowo zabronić matce Polce budzić rano dziecko do szkoły, sprzątać mu pokój, a przez dwa dni w tygodniu nastolatek (nastolatka) zamiast uczęszczać do szkoły, musiałby podjąć gdzieś pracę lub praktykę? Być może nastąpiłaby eksplozja przedsiębiorczości i wzrosła by dzietność. ©©

Autor pełni funkcję chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

Ci „straszni” deweloperzy



Stefan Sękowski

Czytając media lub fora internetowe, można odnieść wrażenie, że już niedługo rodzice będą branżą budowlaną straszyć niegrzeczne dzieci. A to deweloperom zawdzięczamy budowę ok. 3,5 mln mieszkań w Polsce po 1989 r.

Zabudowują każdy możliwy kawałek terenu blokami, w których patrząc przez okno, można rozpoznać markę bielizny sąsiadki. Na osiedlach brak sklepów, parkingów i zieleni, a place zabaw wyglądają jak spacerniaki w więzieniu. Za te „luksusy” płacimy, często biorąc wieloletnie kredyty. Takie opinie na temat współczesnej budowlanki często pojawiają się w mediach i prywatnych rozmowach. I choć bazują one często na argumentach anegdotycznych, to można odnieść wrażenie, że pojęcie „deweloper” zaczyna być coraz bardziej pejoratywne.

W tym wszystkim umyka nam to, że prywatne firmy budowlane stanowią zdecydowaną większość podmiotów budujących mieszkania. Po 1989 r. oddano w Polsce do użytku ponad 3,5 mln mieszkań, z czego większość wybudowali właśnie deweloperzy. To głównie oni starają się zaspokoić wciąż ogromny głód mieszkaniowy.

BUDOWNICTWO LEPSZE NIŻ ZA KOMUNY

I robią to skutecznie. Chociaż jeśli spojrzymy na liczbę wybudowanych mieszkań, 172 tys. w 2017 r., to dopiero doganiamy szybkowe lata PRL (nie mówiąc już o latach 70., np. rekordowy rok 1978, gdy oddano do użytku 283 tys. mieszkań). Jednak są to mieszkania coraz większe. O ile w 1988 r. na osobę przypadało 17 mkw. mieszkania, o tyle pod koniec 2017 r. było to ponad 27 mkw. Przeciętą

liczba izb w mieszkaniu wzrosła z 3,13 do 3,82, zaś średnia liczba osób w mieszkaniu spadła z 3,15 na 2,66. Nadal wygląda to gorzej niż w wielu krajach Unii Europejskiej (przykładowo na mieszkańca UE przypada średnio ok. 42 mkw. mieszkania), ale jest lepiej, niż było.

PRL-owskiego systemu nie dało się utrzymać. Teoretycznie mieszkania były z punktu widzenia przyszłego mieszkańca tańsze, bo możliwość korzystania ze spółdzielczego M wymagała jedynie wkładu 10–20 proc. wartości na książeczke oszczędnościowe. W praktyce oznaczało to jednak, że aby otrzymać lokum, trzeba było czekać po kilka-kilkanaście lat (w latach 80. średnia sięgała nawet 10 lat). To wywoływało zrozumiałą frustrację i korupcję. Wraz z postępującą degrengoladą realnego socjalizmu jakoś budownictwa spadała. To wszystko powoduje, że dziś wielu osób serial „Alternatywy 4” wcale nie śmieszy. Jest zbyt prawdziwy.

– Dzisiejszy system jest bardziej gospodarny, choć nie jest pozbawiony słabości. Samo wprowadzenie różnorodnych form własności na rynku spowodowało polepszenie sytuacji zarówno w zakresie budownictwa, jak i później zarządu nieruchomościami – mówi „Do Rzeczy” ekonomista dr hab. Mariusz Sokołowicz z Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego Uniwersytetu Łódzkiego. Dzisiaj od podjęcia decyzji do wprowadzenia się do mieszkania mijają najwyżej miesiące (pod warunkiem że budynek już stoi). Oczywiście

ście nie za darmo. I tu pojawia się szkopuł, bo mieszkania w Polsce nadal są bardzo drogie. Chociaż ceny w Warszawie od cen w Jeleniej Górze będą się bardzo różniły, to nadal patrząc na Polskę jako całość, za średnią pensję nie kupi się nawet metra kwadratowego mieszkania. Chociaż i to się zmienia: jak wynika z raportu „Hypo-stat 2018. A Review of Europe’s Mortgage and Housing Markets” ekspertów European Mortgage Federation, w latach 2000–2017 stosunek ceny do zarobków zmalał w Polsce o 15 proc. Także marże deweloperów spadają. Z danych Narodowego Banku Polskiego wynika, że (oczywiście w zależności od lokalizacji) w 2017 r. wahały się one w granicach 20–27 proc., co przekładało się na jakieś 10–15 proc. zysku. To względnie mało w porównaniu z okresem boomu na rynku z okolicy 2008 r., kiedy marże sięgały nawet 40 proc.

– Rynek mocno ewoluuje. Dzisiaj już ok. 50–60 proc. mieszkań w Warszawie jest kupowanych za gotówkę. Coraz częściej robią to ludzie, którzy nie kupują mieszkania, by z niego korzystać, ale by je komuś wynająć – mówi „Do Rzeczy” ekonomista dr Sławomir Palicki z Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu. Ekspert od rynku nieruchomości zwraca uwagę na to, że mamy do czynienia z różnymi segmentami rynku, które trudno traktować jako całość. – Bardzo szybko rozwija się segment mieszkań premium dla ludzi majątnych. Klientów „kredyto-





FOT. ADRIAN STOK

wych” znajdziemy więcej w tzw. segmencie popularnym, o którym najczęściej się mówi – dodaje.

PATOLOGIE BEZPRAWNE I ZGODNE Z PRAWEM

Tak wygląda sytuacja z lotu ptaka, jednak często w poszczególnych przypadkach nie jest różowo. Prezydent Federacji Polskie Porozumienie Rynku Nieruchomości Tomasz Błeszyński kreśli obraz rynku nieruchomości po 1989 r. w dość ciemnych barwach. – Po tym, jak zmieniono podejście z „damy ci mieszkanie” na „idź i sobie kup”, pojawiło się wiele małych firm, które działały, parafrazując Reymonta, według zasady „ja nie mam nic, ty nie masz nic, za wszystko zapłaci klient”. Banki zwęszyły okazję i to one są w tej chwili de facto właścicielami wielu mieszkań w kraju – mówi. To doprowadziło do kilku kryzysów na rynku, w latach 90. i dwutysięcznych.

W 2013 r. Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów zbadał m.in. prospekty informacyjne i umowy zawierane przez 96 deweloperów. Okazało się, że aż 96 proc. z nich narusza uchwaloną dwa lata wcześniej tzw. ustawę deweloperską, chroniącą klientów. W dokumentach brakowało np. informacji o prawie do odstąpienia od umowy, dokładnych opisów inwestycji (np. czy w promieniu 1 km będzie w najbliższym czasie powstawało coś innego), próbowano także nakładać na klientów dodatkowe obowiązki.

Jednak wiele działań, które nie podobają się klientom (i innym mieszkańcom), wcale nie bierze się z łamania prawa. Jeśli regulacje pozwalają np. na to, by przed czymś oknem wybudować mur lub żeby bloki przypominały panoptikon, to właściwie czemu deweloper miałby w zgodzie z nimi nie zbudować mniejszym kosztem mieszkań dla większej liczby osób? Jednym z celów zawsze będzie upchnięcie jak największej liczby mieszkań na jak najmniejszej powierzchni. Tym bardziej że klienci... sami tego chcą – a przynajmniej nie wyrażają sprzeciwu. Jak wynika z badania, które dla serwisu OtoDom.pl przeprowadził TNS Polska w 2015 r., główne przesłanki wyboru danej nieruchomości to cena, lokalizacja i powierzchnia mieszkania/domu. Bliskość sklepów/urzędów, położenie okien czy infrastruktura dla dzieci mają znacznie mniejsze znaczenie. Także gdy motyw „lokalizacja” został rozebrany na części pierwsze, okazało się np., że bliskość terenów zielonych znalazła się dopiero na czwartym miejscu – za udogodnieniami, przede wszystkim komunikacyjnymi.

PLACYK ZABAW NIE WYSTARCZY

Wielu patologiom mogłoby zaradzić planowanie przestrzenne, które nie jest zadaniem deweloperów, lecz samorządów. To pomogłoby lepiej wkomponować nowe budynki i osiedla w istniejącą tkankę miejską i przyrodę. Te jednak

często się do tego nie kwapią – obecnie tylko 30 proc. powierzchni kraju jest pokryte planami zagospodarowania przestrzennego, z czego tylko co trzeci sporządzany jest na dłużej niż trzy lata. Zmienić to może znajdująca się jeszcze w powijakach nowa ustawa o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym, nad którą pracuje Ministerstwo Inwestycji i Rozwoju. Zdaniem dr. hab. Mariusza Sokołowicza przydałyby się także nowe narzędzia dla samorządów. – Przykładowo, gdyby samorządy mogły w większym stopniu sterować podatkami od nieruchomości, moglibyśmy uniknąć problemów związanych z rentą gruntową, czyli tym, że lokalizacja mieszkań w centrach miast w gospodarce wolnorynkowej jest mniej opłacalna i skłania do budowania na peryferiach. To z kolei prowadzi do nadmiernego rozlewania miast – tłumaczy.

Na szczęście to także się zmienia. – Do czasu kryzysu dla deweloperów liczył się zysk ponad wszystko. Po 2009 r. klient nauczył się, że ma prawo więcej wymagać. Pojawiają się sugestie, że nie wystarczy kusić np. dodatkowym placem zabaw. To powoduje ewolucję samoświadomości deweloperów, którzy zaczynają dbać o jakość przestrzeni dookoła – mówi „Do Rzeczy” dr Sławomir Palicki z Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu. Jako przykład podaje inwestycje na poznańskich Naramowicach. – Tam widać ładne sprzężenie nowych budynków z zielenią. Stawia się coraz częściej na funkcjonalność, dostępność handlu czy miniparki – dodaje ekspert ds. rynku nieruchomości.

To nie znaczy, że polska budowlanka ma się utrzymywać jedynie na deweloperach. Jak wskazuje dr hab. Sokołowicz, swoje miejsce mają też Towarzystwa Budownictwa Społecznego czy budownictwo komunalne w gminach. Konkurencją mogą być także „klasyczne” spółdzielnie czy kooperatywy mieszkaniowe, czyli grupy osób budujących budynki wielomieszkaniowe własnym sumptem. Poza tym nigdzie nie jest napisane, że wszyscy muszą mieć mieszkanie na własność. Jednak w dominacji sektora prywatnego nie ma w tej branży nic złego, wręcz przeciwnie. O to, żeby się zanadto nie rozszalał, trzeba dbać samemu, np. decyzjami konsumentskimi. A od państwa wymagać ustalenia odpowiednich ram prawnych, które będą chroniły klientów i otoczenie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora thinkzine'u „Nowa Konfederacja”.



Agnieszka Niewińska

Szorują łazienki, myją piekarniki, porządkują garaże i pokazują to w Internecie, zarabiając całkiem duże pieniądze. Poznajcie clean influencerów

Widzicie te zacieki? – pyta swoich widzów Sophie Hinchliffe i puka długim tipsem w szybę kabiny prysznicowej. Osadem z mydła na szybie jest wyraźnie zdegrustowana, więc szybko instruuje, jak się z nim uporać. Pokazuje niezawodne mleczko do czyszczenia i jedyną w swoim rodzaju gąbkę, rzekomo najlepszą do tej roboty. Wkłada gumowe rękawice i demonstruje ruchy okrężne. Potem jeszcze elektryczna ściągaczka do szyb znanej marki i kabina lśni jak nowa. Na koniec Sophie wrzuca zdjęcie sprzętów i detergentów, których użyła.

Liczba odsłon jej youtube'owej produkcji z kabiną prysznicową w roli głównej przekroczyła 100 tys., ale Sophie Hinchliffe – znaną jako Mrs. Hinch – na Instagramie (profil założyła w marcu 2018 r.) obserwuje 2,4 mln użytkowników. Mrs. Hinch ma już na koncie własną książkę o porządkach, na sklepowych półkach stoją detergenty firmowane jej internetowym pseudonimem, a każdy jej wpis przynosi realne zyski, bo prezentuje w nich konkretne produkty. Ma już status celebrytki – jest gościem programów telewizyjnych, udziela wywiadów kolorowym czasopismom, tłumacząc w nich, że „czysty dom to czysty umysł”. Jest clean influencerką, czyli przedstawicielką prężnie rozwijającego się internetowego fenomenu, w ramach którego prezentuje widzom, jak sprzątać i za pomocą jakich środków.

TYSIĄC FUNTÓW ZA POST

Mrs. Hinch w samej Wielkiej Brytanii ma poważną konkurencję. Niemalą popularnością cieszy się Lynsey Crombie, znana jako „Królowa Czystości”. Potęgę na Instagramie Crombie dopiero buduje (139 tys. obserwujących), ale w telewizji ma status gwiazdy, od kiedy w 2014 r. zaistniała w dokumentalnym show „Obsessive Compulsive Cleaners”, w którym wraz z innymi maniakami czystości robi rewolucje w domach wyjątkowych bałaganiarzy. Crombie ma

Kurz i brud, czyli żyła złota

też za sobą dramatyczną historię rodzinną. Fanom tłumaczy, że zaczęła obsesyjnie sprzątać, by uporać się z traumą po tym, jak jej mąż okazał się pedofilem i trafił do więzienia. Była wówczas w ciąży z bliźniętkami. Stres doprowadził do przedwczesnego porodu i walki o życie córek.

Dzisiaj Crombie przedstawia się jako odnosząca sukcesy bizneswoman. Ma firmę sprząającą, wydaje magazyn, ale większość dnia poświęca działalności na Instagramie. To dziś najbardziej dochodowa część jej przedsiębiorstwa. Serwisowi vice.com zdradziła, że każdy jej post przynosi jej ok. 1 tys. funtów zysku.

Melissa Maker – kanadyjska clean influencerka – swoje dochody określa mianem „całkiem niesamowitych”. Jej konto na Instagramie – Clean My Space – śledzi ponad 72 tys. użytkowników. Na YouTube jej kanał ma aż 1,2 mln subskrypcji. W swoich filmach Melissa Maker zdradza proste patenty na skuteczne sprzątanie, pokazuje, jak uporać się z brudem w łazience, bałaganem w samochodzie czy płataniną kabli w szufladach. Filmy nie są kręcone komórką, ale robione w nieco bardziej profesjonalny sposób, dynamicznie zmontowane. Niekiedy występuje w nich nawet mąż Melissy – Chad. Trzydziestosześcioletnia dziś kanadyjska influencerka, zanim

zajęła się sprzątaniem, pracowała w banku. Rzuciła pracę i założyła firmę sprząającą. W swoich filmach opowiada, że zakładając ją, nie miała pojęcia o sprzątaniu, w dzieciństwie była bałaganiarą, a sprzątania wprost nie cierpi. Nie przeszkodziło jej to jednak w zarabianiu na pracach porządkowych. Dzisiaj poza prężnie działającymi kanałami w mediach społecznościowych i firmą sprząającą wprowadziła na rynek ściarki z mikrofibry pod nazwą Maker's Clean i wydała książkę.

Częstym gościem programów śniadaniowych w USA jest pochodząca z Chicago Becky Rapinchuk znana jako Clean Mama (334 tys. obserwujących na Instagramie). Przedstawia się jako ekspertka w dziedzinie sprzątania z sukcesem prowadząca własną firmę, żona, matka trojga dzieci i była nauczycielka sztuki. Na koncie ma już cztery własne książki o sprzątaniu, na swojej stronie sprzedaje też serie produktów i sprzętów do sprzątania pod własnym szyldem. Odbiorcom radzi m.in., jak przygotować naturalne środki czyszczące, posprzątać mieszkanie w 10 minut czy opracować całotygodniowy rozkład prac. Rapinchuk nie kryje, że sprzątanie po prostu kocha.

Skąd te sukcesy guru od sprzątania? – Popularność cleaning influencerów





Melissa Maker, kanadyjska clean influencerka, swoje dochody określa mianem „całkiem niesamowitych”

FOT. WWW.CLEANMYSPACE.COM

może być dla kogoś argumentem za dzwacznością Internetu. Tymczasem, choć sprzątanie wydaje się prostą czynnością, wielu z nas sprzątać nie potrafi. Popularność tego typu treści wskazuje, że jest na nie zapotrzebowanie – mówi dr Karol Jachymek, kulturoznawca ze School of Ideas Uniwersytetu SWPS. Zwraca uwagę, że programy o sprzątaniu nie są nowym zjawiskiem. Zaistniały już wcześniej w telewizji. Porządkowania uczyła nas choćby Małgorzata Rozenek wcielająca się w „Perfekcyjną Panią Domu”, która czystość w mieszkaniach bohaterów programu sprawdzała za pomocą białej rękawiczki.

– Kanały o sprzątaniu w mediach społecznościowych są trochę inne, mniej opresyjne, bo tu nikt nie przeprowadza testu białej rękawiczki. Wpisują się także w trend zero waste, w modę na minimalizm. Żyjemy w epoce rozbuchanego konsumpcjonizmu, kupujemy i gromadzimy mnóstwo rzeczy. Chyba każdy ma dziś jakąś szafkę czy kącik, do których aż strach zaglądać, bo nagromadzone jest tam mnóstwo przedmiotów, z którymi nie wiadomo, co zrobić. Uporządkowanie tego wielu osobom może przynieść ulgę, poczucie wolności – mówi kulturoznawca. I dodaje, że ze wszechobecnego nadmiaru

rzeczy wynika też ogromna popularność Marie Kondō, japońskiej guru od sprzątania, która sprzedała na świecie miliony książek o swojej metodzie sprzątania i ograniczania liczby posiadanych rzeczy, a w minionym roku wystartowała z własnym programem na Netflixie.

Japonka odwiedza w nim rodziny mające poważne problemy z nadmiarem rzeczy i utrzymaniem czystości. Z ubrań każe układać stos, a następnie przytulić do siebie każdą z rzeczy. Jeśli sweterek czy kurtka nie budzą pozytywnych emocji, wówczas zaleca właścicielowi, by tej rzeczy podziękował za wspólnie spędzony czas i wrzucił ją do worka na śmieci.

Jacek Gadzinowski, twórca treści wideo, przedsiębiorca, podróżnik, powody popularności clean influencerów upatruje jeszcze w czym innym. – Mamy przesytność informacji docierających do nas z mainstreamowych mediów i m.in. z tego powodu coraz bardziej widoczny jest w Internecie trend slow life. Skoro ludzie potrafią oglądać transmisje z ośmiogodzinnego przejazdu pociągu, bo to ich uspokaja i relaksuje, to dlaczego nie mieliby sięgać po filmy, na których ktoś sprząta? – pyta. – Coraz częściej szukamy w sieci filmów, które pokazują ludzi wykonujących prozaiczne, codzienne czynności i to niekoniecznie po to, by ich naśladować. Czasami chcemy zobaczyć coś, czego sami nie robimy. Ci, którzy oglądają sport, często go nie uprawiają. Ktoś, kto ogląda clean influencerów, niekoniecznie sam sięgnie po ścierkę – uważa Gadzinowski.

Jest zdania, że coraz większa popularność w sieci różnych guru od sprzątania to także konsekwencja tego, że w Internecie chętnie sięgamy po filmy z serii DIY (do it yourself – zrób to sam) – o majsterkowaniu czy samodzielnym przygotowaniu ozdób. – Clean influencer to jakby przedłużenie tego trendu, bo jeśli już coś zrobimy własnymi rękami, wyremontujemy, to chcemy to utrzymać w czystości – mówi Gadzinowski.

Nie dziwi go to, że sprzątanie w wirtualnej przestrzeni zamienia się na całkiem realne pieniądze. – Zdziwiłbym się, gdyby tak nie było. Internet się bardzo skomercjalizował. W Wielkiej Brytanii już w tej chwili wydatki na reklamę w Internecie są większe niż na reklamę w telewizji. Widownię clean influencerów w dużej mierze stanowią kobiety, które są bardziej zaangażowanymi odbiorcami niż mężczyźni. Częściej komentują, udostępniają, a im większe zaangażowanie, tym większe

pieniądze dla internetowego twórcy. Jednak nie każdego czeka wielka popularność. W tej branży duże znaczenie ma charyzma.

KOPIOWANIE INTERNETOWYCH TRENDÓW

– Kariery clean influencerów pokazują siłę Internetu, dzięki któremu można zbudować sukces, bazując na naszych atutach, umiejętnościach tak zwyczajnych jak właśnie sprzątanie – podkreśli dr Karol Jachymek. W polskim Internecie jeszcze jednak brakuje clean influencerów na miarę Sophie Hinchliffe czy Melissy Maker. Youtuberki, które wpisują się w ten nurt, na swoich kanałach pokazują trochę więcej niż tylko sprzątanie – urządzają domy, gotują, radzą w temacie domowego budżetu czy przeprowadzenia metamorfozy balkonu. Ulę Pedantule, czyli Ulę Chincz, dziennikarkę telewizyjną, reporterkę związaną z TVN, śledzi na Instagramie 82 tys. osób. Jej kanał na YouTube subskrybuje 191 tys. internautów. Chincz wydała też własną książkę – „Pozamiatane”. – To jest fajna książka i dla początkujących, dzięki której im się usystematyzuje trochę ta wiedza o prowadzeniu domu, a także bardzo fajna inspiracja dla zaawansowanych, którzy już mają fajnie w domu, a chcieliby mieć jeszcze fajniej – zachwalała książkę widzom swojego kanału tuż przed Bożym Narodzeniem.

Lavendova to z kolei blog o sprzątaniu, prowadzeniu i organizacji domu. Jego autorką jest Sylwia, która wraz z mężem mieszka na południu Francji. W filmach na YouTube wyjaśnia, jak stosować ocet do sprzątania, zdradza sposoby na mycie zlewu, ale także remontuje, dekoruje, a nawet radzi, jak oduczyć psa spania w łóżku. Na YouTube jej kanał subskrybuje 21 tys. osób, a filmy mają po kilkadziesiąt tysięcy odsłon.

Jacek Gadzinowski zwraca uwagę, że clean influencerom łatwiej jest zaistnieć na zachodnich rynkach, takich jak np. USA, bo liczba kanałów kablówki czy programów śniadaniowych jest tak duża, że nieustannie jest zapotrzebowanie na nowych bohaterów. – My kopiujemy internetowe trendy z zagranicy, więc przypuszczam, że i w Polsce przybędzie treści wideo o sprzątaniu. Czy to się będzie dobrze klikało, to się dopiero okaże. Wiele osób takie filmy początkowo umieszcza w sieci w ramach hobby. Żeby zarabiać, trzeba w to włożyć dużo czasu i pracy.



W zeszłym tygodniu w Belwederze dyskutowano na temat możliwości zmiany modelu finansowania służby zdrowia FOT. KRZYSZTOF SITKOWSKI/KPRP

Jacek Przybylski

Kolejne kraje podpisują kontrakty, w których pieniądze za leki czy terapie uzależnione są od ich wyników. Kiedy Polska przejdzie na model płacenia szpitalom czy koncernom farmaceutycznym za efekty, a nie tylko za świadczenie usług?

Cel: zdrowy pacjent

Value Based Healthcare – pod terminem promowanym przez Michaela Portera z Uniwersytetu Harvarda kryje się ochrona zdrowia oparta na wartościach. Zgodnie z tą ideą nacisk kładziony jest nie tyle na sam fakt świadczenia usług, ile na efekty kompleksowej poprawy zdrowia i jakości życia pacjenta.

W teorii na model VBHC składają się skuteczność leczenia, wysoka jakość świadczeń i efektywność kosztowa. W połączeniu z nowymi technologiami, ogromnymi bazami danych i ze zmianą sposobu myślenia najważniejszych graczy w systemie ochrony zdrowia koncepcja ta ma doprowadzić do rewolucyjnych zmian dla pacjentów, lekarzy czy firm farmaceutycznych. Idea ta zakłada bowiem, że nie będzie się już płacić za liczbę przyjętych osób czy wykonanych badań, ale za wyniki pracy i skuteczność oferowanych terapii. Tym wynikiem może być np. pokonanie przez pacjenta choroby nowotworowej, mniejsza liczba hospitalizacji w przypadku cukrzycy czy zapobieżenie złamaniom kości w przypadku chorych na osteoporozę. Taką zmianę paradygmatu widać już np. w leczeniu pacjentów onkologicznych. Wcześniej poddawano ich po prostu krótkotrwałej chemioterapii, po której chory był wyleczony albo nie. Nowoczesne leczenie nowotworów jest oparte na perso-

nalizowanej terapii celowanej molekularnie, która często trwa latami i choć kosztuje nieporównywalnie więcej, to pozwala długo utrzymywać chorobę pod kontrolą.

Chodzi nie tylko o innowacyjne leki, lecz także o to, aby rozwijać dużo tańszą profilaktykę, a jeśli pacjent już zachoruje, to dopilnować np., aby prawidłowo przyjmował przepisane medykamenty i nie przerywał terapii w połowie, bo takie działanie jest szkodliwe dla niego samego (choroba szybko powraca), jak i koszmarnie drogie dla i tak coraz bardziej niewydolnego systemu opieki.

MODEL NA XXI WIEK

Ekspertsi przekonują, że stworzenie nowego modelu na miarę wyzwań XXI w. było konieczne. Systemy opieki zdrowotnej i społecznej na całym świecie są bowiem w coraz większych tarapatkach, ponieważ w starzejących się społeczeństwach wydatki na ochronę zdrowia rosną o wiele szybciej, niż wynosi wzrost gospodarczy. Na razie nie ma alternatywy. Idea VBHC od kilku lat zyskuje więc na popularności w takich krajach jak Holandia – gdzie wdrażanie opieki opartej na wartościach jest na bardzo zaawansowanym etapie – Dania, Szwajcaria, Francja, Finlandia, Szwecja, Hiszpania, Włochy, Wielka Brytania czy nawet Stany Zjednoczone, które na służbę

zdrowia w relacji do PKB wydają najwięcej na świecie.

– To model, na który stopniowo, bo oczywiście nie w całości, przechodzi coraz większa liczba krajów. Nowoczesne leki oraz technologie są coraz droższe i systemy opieki zdrowotnej nawet w najbogatszych krajach nie są w stanie udźwignąć rosnących kosztów. Na pewno nowym modelem są zainteresowani pacjenci oraz firmy farmaceutyczne, które widzą w nim sposób na szybsze wprowadzanie nowych leków oraz technologii. Trzeba jednak pamiętać, że Polska w porównaniu z innymi krajami – również tymi na naszym poziomie zamożności – ma niski odsetek innowacyjnych leków oraz podlegających refundacji i choć sytuacja w ostatnich dwóch-trzech latach się poprawiła, to nadal mamy z tym problem – mówi „Do Rzeczy” prof. Piotr Czauderna, koordynator Sekcji Ochrony Zdrowia w powołanej przez prezydenta Andrzeja Dudę Krajowej Radzie Rozwoju.

Według sondażu przeprowadzonego w zeszłym roku przez NEJM Catalyst Insights Council w USA aż 42 proc. ankietowanych menedżerów systemu opieki zdrowotnej oraz klinistów stwierdziło, że rozliczenia oparte na wartości efektów zdrowotnych staną się podstawowym modelem opieki medycznej. 46 proc. pytanym stwierdziło, że kontrakty oparte na VBHC

istotnie poprawią jakość opieki, a 42 proc., że znacząco obniżą jej koszt. Mimo to 36 proc. ankieterów uznało, że nie są przekonani, czy model VBHC kiedykolwiek stanie się głównym modelem finansowania w Stanach Zjednoczonych. Dlaczego? Część podmiotów po prostu chciałaby pozostać przy obecnym systemie rozliczeń. Część chciałaby z kolei, aby przed rewolucyjną zmianą dokładnie zdefiniować oczekiwane „wartości”. Mimo obaw części środowiska transformacja z modelu „opłata za usługę” do modelu „opłata za jakość” nabiera tempa. Dla przykładu w maju jeden z amerykańskich ubezpieczycieli zdrowotnych zebrał wszystkie koszty związane z opieką prenatalną, porodem i opieką po porodzie w jeden pakiet opłacany już zgodnie z ideą VBHC. Ogólnie, według szacunków Business Insider Intelligence, w 2018 r. 71 proc. kosztów opieki w USA rozliczanych było według modelu „opłata za usługę”, a tylko 23 proc. zgodnie z ideą „opłata za jakość”, to już w roku 2021 proporcje te mają wynosić 49 proc. do 46 proc. I chociaż w roku 2018 z modelem VBHC eksperymentowały głównie najlepiej rozwinięte gospodarczo państwa, to w roku obecnym do idei tej zaczęły też na większą skalę sięgać kraje rozwijające się.

CZY POLSKA JEST GOTOWA?

Za efekt i jakość, a nie tylko za sam fakt świadczenia usług płacić chce również obecny minister zdrowia. Profesor Łukasz Szumowski rozpoczęcie transformacji modelu systemu ochrony zdrowia w Polsce w kierunku płacenia za efekty uznał za jeden ze swoich priorytetów na rok 2019. Zarówno minister Szumowski, jak i prof. Czauderna brali też udział w ubiegłotygodniowej konferencji w Belwedrze, której hasłem przewodnim był dostęp do nowoczesnych technologii w systemie ochrony zdrowia i ich znaczenie w Polsce (Value Based Healthcare).

Wśród gości konferencji był też Herb Riband, wykładowca Uniwersytetu Stanforda i jeden z najbardziej znanych ekspertów specjalizujących się w koncepcji VBHC. – To nowy, prawdziwie rewolucyjny model finansowania opieki zdrowotnej, którego wprowadzenie wydaje się niezbędne i który jest na tyle uniwersalny, że powinien zdać egzamin w różnych krajach, także w Polsce. Chodzi w nim bowiem o to, aby za pieniądze, które dane państwo wydaje na ochronę zdrowia, uzyskać jak największą wartość, czyli najlepszą jakość świadczeń dla pacjenta – tłumaczy „Do

Rzeczy” Herb Riband, który brał również udział w warsztacie dotyczącym sposobów wdrożenia koncepcji Value Based Healthcare w Polsce.

Czy Polska jest gotowa na przejście na model VBHC? – W skali masowej na pewno nie. Moglibyśmy jednak zacząć wdrażać te nowe rozwiązania w tych obszarach, w których są one szczególnie potrzebne, np. w zakresie dostępu do tych nowych leków, które są najdroższe i najbardziej pożądane dla pacjentów. Mówię o przypadkach wyjątkowych leków, które potrafią u niektórych pacjentów zadziałać, gdy już wszystko inne zawodzi, np. o niektórych terapiach celowanych czy o terapii zmodyfikowanymi limfocytami CAR-T. Ta ostatnia jednak potrafi kosztować pół miliona dolarów za jednego pacjenta i na razie mało który kraj ją refunduje – tłumaczy w rozmowie z „Do Rzeczy” prof. Piotr Czauderna. I zaznacza, że nie jest możliwe przejście z jednego modelu w bardzo krótkim czasie. – To jest proces na lata – podkreśla prof. Czauderna.

Zgadza się z nim Herb Riband. – Mówimy o procesie transformacji całego systemu opieki. A to musi potrwać wiele lat. Ważne jednak, aby zacząć jak najszybciej. Dlatego zachęcam, aby nie tracić czasu na dyskusje i jak najszybciej rozpocząć od pilotażowych projektów w wybranych dwóch, trzech dziedzinach. Na podstawie pierwszych sukcesów będzie można rozszerzać tę koncepcję na pozostałe obszary – radzi nam profesor Stanforda. I ostrzega, że jak w każdym kraju, również w Polsce pojawiają się pewnie trudności z wprowadzeniem rewolucji w służbie zdrowia. Od niechęci do zmian wśród niektórych lekarzy czy polityków do potrzeby unowocześnienia systemów informatycznych w placówkach zdrowotnych, co jest konieczne do zbierania i analizy dużej liczby danych. – Warto pokazać lekarzom, pacjentom, płatnikom i politykom, że ten model może być korzystniejszy dla każdej ze stron. Wiele osób szybko staje się entuzjastami nowego systemu, ale sceptycy zdarzają się w każdym kraju – dodaje prof. Riband, którego zdaniem przedstawiciele polskich władz już teraz wydają się zainteresowani wprowadzeniem nowego modelu.

Zdaniem rodzimych ekspertów w Polsce rzeczywiście brakuje odpowiednich systemów informatycznych oraz baz danych, przez co nasze placówki medyczne mają kłopot z udowodnieniem osiąganych efektów leczenia, ale podstawową barierą wprowadzenia nowego modelu w Polsce

jest wyjątkowo niskie finansowanie systemu opieki zdrowotnej.

Problemem są też przepisy o finansowaniu wydatków publicznych i rozdział na wydatki NFZ i ZUS. Biorąc pod uwagę wyłącznie cenę danej procedury medycznej, pomijamy całościowe koszty choroby – dużo wyższe wydatki na dany lek czy nowoczesną terapię mogą się okazać bardzo opłacalne, bo chory szybciej wróci do pracy, w związku z czym będzie krócej pobierał zasiłki zdrowotne, a NFZ nie będzie musiał płacić za jego długotrwałą rehabilitację. Konieczna jest więc integracja obu systemów. Aby móc wprowadzać ideę opieki opartej na wartościach, potrzebne są także rzetelne informacje o wynikach i wskaźnikach efektywności pozwalające na ocenę jakości leczenia. Jedynie opierając się na wiarygodnych analizach, nowoczesnych rejestrach oraz wiedzy pokazującej efekty zdrowotne, a nie tylko liczbę przeprowadzonych procedur, będzie można obiektywnie oceniać pracę lekarzy, porównywać wyniki leczenia w konkretnych placówkach, a także zestawiać efektywność stosowanych w Polsce technologii lekowych z wynikami uzyskiwanymi w innych krajach Europy czy świata.

Międzynarodowe konsorcjum mierzenia wyników w służbie zdrowia (ICHOM), organizacja non profit działająca na rzecz nowego modelu, udostępnia już bowiem rzetelne dane dotyczące standardów, pomiarów i procedur w różnych krajach świata. Z kolei organizacja All.Can promuje rozwiązania bazujące na modelu opartym na wartościach w onkologii. Jak bowiem informuje Szymon Chrostowski, przewodniczący Polskiej Grupy Sterującej All.Can, „w Europie dostępne są technologie medyczne mogące przedłużyć życie, ale polscy pacjenci często nie mogą z nich korzystać”.

Do sukcesu nowego modelu konieczna jest też właściwa identyfikacja chorych, którzy mogą odnieść największe korzyści z konkretnej metody leczenia. Niezbędne są więc informatyzacja oraz cyfryzacja, która ułatwi np. promowanie efektywnych kosztowo działań. Bo im efektywniej wydaje się pieniądze – niezależnie od tego, ile ich jest w danym systemie – tym więcej celów można zrealizować. W szybko starzejących się gospodarkach – takich jak m.in. Polska – wprowadzenie w ciągu najbliższych lat idei Value Based Healthcare może być zaś nie tylko opłacalne, lecz także wręcz konieczne. Dla zdrowia pacjentów i dla wytrzymałości systemu opieki społecznej.



Z prof. dr. hab. Piotrem Kuną, alergologiem
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Atak astmy gorszy niż zawał

KATARZYNA PINKOSZ: Atak astmy to gorsza szkoda dla organizmu niż zawał serca?

PIOTR KUNA: Napad astmy wiąże się z ciężkim niedotlenieniem, które u osób z miażdżycą może doprowadzić do zawału serca lub udaru mózgu. Prowadzi do niedotlenienia różnych narządów i ich niewydolności. Można powiedzieć, że zawał serca to „tylko serce”, a atak astmy może spowodować upośledzenie funkcji płuc, mózgu, serca, nerek.

Duszność i lęk. Duszność to uczucie znacznie gorsze od bólu towarzyszącego zawałowi serca. A lęk jest niewiarygodny. Człowiekowi wydaje się, że umiera.

Atak astmy to takie uczucie, jakby ktoś komuś włożył na minutę lub dwie głowę pod wodę i nie pozwolił wyjąć. Potworne uczucie duszności i lęku przed śmiercią.

Można leczyć astmę tak, by uniknąć zaostrzeń? Są przecież chorzy, którzy zdobywają medale olimpijskie i najwyższe szczyty gór.

Wiele zależy od typu i przebiegu astmy, ale można ją dziś leczyć tak, by pacjent nie miał żadnych dolegliwości. Powinien wiedzieć, że jest chory i prawdopodobnie będzie przez całe życie. Może jednak nie mieć dolegliwości, napadów, normalnie funkcjonować, pracować. Jest jednak warunek: trzeba przyjmować leki przez cały czas, nawet wtedy, kiedy dobrze się czuje. Im dłuższe są okresy dobrego zdrowia i braku dolegliwości, tym większa szansa, że astma będzie dobrze kontrolowana, czyli że nie będą się pojawiać zaostrzenia.

W Polsce naprawdę aż 4,5 mln osób ma astmę? Wiedzą o tym?

To dane z badań epidemiologicznych, wykonanych na prawie 50 tys. losowo dobranych mieszkańcach Polski. Z badań wynika, że połowa osób wie, iż ma astmę, a połowa nie, bo... często nie mówią im o tym lekarze. Czasem rozpoznają inne choroby albo uważają, że dolegliwości miną. A czasem po prostu nie chcą straszyć pacjentów.

W przypadku wielu chorób przewlekłych, takich jak astma, a także cukrzyca, miażdżycy, nadciśnienie tętnicze, jest duży problem z opóźnieniem postawienia diagnozy i rozpoczęcia leczenia. Niestety, przez to pacjenci mają liczne powikłania, często trafiają do szpitala w ciężkim stanie,

z zaostrenziami, i dopiero wtedy choroba jest diagnozowana. Ludzie ciężko chorują, bo nie potrafimy zorganizować wczesnego wykrywania chorób przewlekłych i wczesnie rozpocząć terapii, co ma szansę zahamować rozwój choroby i spowodować, że pacjent co prawda będzie miał astmę, ale będzie mógł z nią w miarę normalnie żyć.

Jak wielu chorych, spośród 2 mln w Polsce, którzy wiedzą, że chorują, jest leczonych zgodnie z zaleceniami?

Według danych NFZ w Polsce ok. 2 mln osób leczy się z powodu astmy. 70 proc. z nich jest leczonych nieprawidłowo. A nieprawidłowe leczenie często jest gorsze niż jego brak.

70 proc. pacjentów jest nieprawidłowo leczonych? Dlaczego? Są przecież leki.

Przyczyn jest wiele. Często pacjenci nie stosują się do zaleceń, nie mają odpowiedniej wiedzy. Jednak też – przykro mi, ale muszę to powiedzieć – niejednokrotnie jest to wina lekarzy. 85 proc. lekarzy w Polsce nie uczy się po zakończeniu specjalizacji. A ponieważ taka edukacja nie jest wymagana, popadają we wtórny analfabetyzm. Medycyna bardzo szybko się zmienia. Praktycznie co roku mamy nowe standardy leczenia, pojawia się wiele nowych leków. Edukacja jest konieczna. Każdy lekarz powinien kontynuować dokształcanie się i uzupełnianie wiedzy – to powinno być oceniane i sprawdzane. Jeśli się nie uczy, to nie powinien leczyć w ramach NFZ, bo można powiedzieć, że państwo płaci pracownikom, którzy mają nie do końca pełne wykształcenie. A już Hipokrates mówił: „Primum non nocere” – po pierwsze nie szkodzić.

Pokazywał pan szokujące dane, że pacjenci, którzy mieli ciężkie zaostrenzenia astmy i zmarli z tego powodu, wcześniej przyjmowali bardzo wiele leków.

Tak, tylko te leki często były niewłaściwe. Czasem jest to wina chorego, ale niestety także braku wiedzy lekarzy.

Czy od początku trzeba stosować sterydy wziewne? Wiele osób się tego obawia.

Od początku leczenia astmy powinno się stosować sterydy wziewne, są bardzo bezpieczne. Najnowsze rekomendacje GINA (Global Initiative for Asthma) zalecają, by stosować sterydy wziewne lub w jednym inhalatorze kombinację dwóch leków: steroidu z drugim lekiem przeciwzapalnym. W przypadku astmy łagodnej chory powinien przyjmować lek, gdy pojawiają

się dolegliwości (duszność, kaszel). Dopóki nie występują one częściej niż dwa razy w tygodniu, dopóty takie leczenie wystarczy. Jeśli pojawiają się częściej, leczenie musi być stosowane codziennie.

To leki działające przeciwzapalnie. Powodują, że choroba stopniowo ulega wygaszeniu, a odczyn zapalny – który toczy się w drobnych drogach oddechowych – jest niwelowany. Dzięki temu dolegliwości są znacznie mniejsze lub wcale się nie pojawiają.

Osoby, które z powodu astmy przyjmują sterydy doustne, pięć razy częściej chorują na sepsę, cztery razy częściej mają złamania, cztery razy częściej zapadają na chorobę zakrzepowo-zatorową

Mówi pan, że właśnie trwa rewolucja, jeśli chodzi o leczenie astmy. Po pierwsze, trzeba unikać salbutamolu, leku, który wielu astmatyków ma w swojej apteczce, bo szybko przynosi ulgę.

Nie wolno brać salbutamolu. To lek, który jest szkodliwy. Jak mówiłem, podstawą leczenia astmy są sterydy wziewne, a tak naprawdę kombinacja sterydu z drugim lekiem wspomagającym działanie przeciwzapalne. Salbutamol to lek przez chorych nadużywany. Udowodniono, że jego przyjmowanie zwiększa 10–20-krotnie ryzyko śmierci u chorych na astmę. To lek, który nas zabija.

Dlaczego? Przecież po jego przyjęciu chory szybko odczuwa ulgę, łatwiej się po nim oddycha.

Kiedyś stosowany był lek, który wydawał się cudowny: prokainamid, który wygaszał zaburzenia rytmu serca. Tylko że jednocześnie powodował migotanie komór. Z powodu przyjmowania go zmarło na świecie pół miliona osób. A dla porównania przypomnę, że w Wietnamie zginęło 50 tys. Amerykanów. Jeden lek zabił więc 10 razy więcej osób. Na świecie co roku umiera prawie pół miliona chorych na astmę. Około połowa z nich prawdopodobnie z powodu zbyt częstego przyjmowania salbutamolu. Powinien być stosowany w naprawdę wyjątkowych sytuacjach. Jeżeli chory z powodu astmy musi brać salbutamol, to powinien zostać natychmiast skierowany do specjalistycznego ośrodka

leczenia astmy. Przyjmowanie tego leku przez chorego jest wskaźnikiem niestabilnej lub nieskutecznie leczonej astmy.

O tym, że sterydy doustne co prawda leczą ciężką astmę, jednak ich stosowanie na dłuższą metę szkodzi, było wiadomo już od dawna. Nadal jednak wielu lekarzy je podaje. Druga rewolucja w leczeniu to wycofanie się ze sterydów doustnych?

To największe zmiany w leczeniu astmy od 50 lat: zaleca się nie stosować sterydów doustnych. Badania pokazują, że co piąty chory w USA przyjmuje dawkę sterydów, która jest szkodliwa. W dodatku im bogatszy stan w USA, tym więcej podawanych sterydów, tak jakby były one narkotykami. I myślę, że one tak działają: uzależniają, a koszty takiego leczenia wcale nie są mniejsze niż zażywania narkotyków. Osoby, które z powodu astmy przyjmują sterydy doustne, pięć razy częściej chorują na sepsę, cztery razy częściej mają złamania, cztery razy częściej zapadają na chorobę zakrzepowo-zatorową, trzy razy częściej na cukrzycę. Lecząc sterydami doustnymi astmę – która może być leczona innymi lekami – wywołujemy epidemię cukrzycy, epidemię sepsy. Primum non nocere. Pomagają w astmie, tylko jednocześnie wywołują inne choroby, które mogą chorego zabić. Obecnie zaleca się ich podawanie w szczególnych wypadkach stanu astmatycznego ciężkiego zaostrenzenia, który powinien być leczony w wyspecjalizowanych ośrodkach. U chorych z ciężką astmą w leczeniu przewlekłym podaje się leki biologiczne.

Jak dziś ocenia pan leczenie astmy w Polsce?

Dostępność leków leczących astmę jest w Polsce stosunkowo dobra, choć ciągle brakuje nam refundacji najnowszych terapii. Mamy wiele do zrobienia, ponieważ nowe standardy leczenia GINA zupełnie zmieniają sposób leczenia. Cieszymy się, bo są zgodne z tym, co propagujemy jako Polskie Towarzystwo Alergologiczne. Musimy te standardy rozpropagować i przekonać zarówno lekarzy, jak i pacjentów do zmiany nawyków.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Piotr Kuna – jest kierownikiem II Katedry Chorób Wewnętrznych i Kliniki Chorób Wewnętrznych, Astmy i Alergii Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, byłym prezesem Polskiego Towarzystwa Alergologicznego, członkiem m.in. PTA, American Academy of Allergy, Asthma and Immunology.



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Czarną strzałą w Łysiaka

Dwa numery temu Waldemar Łysiak rzucał na mnie kalumnie z okazji felietonu o św. Stanisławie i Bolesławie Szczodrym. Z przykrością stwierdzam, że uprawia typową dla siebie „łysiakizację” historii Polski, uważając, że tylko jego punkt widzenia jest słuszny. I obrażając wszystkich mających inne zdanie niż prezentowane w jego artykułach w „Przekroju” sprzed

dziesięcioleci. Nie lubię marnować tej kolumny na polemiki, ale czując się zmuszony do odpowiedzi, wracam do sporu św. Stanisława z Bolesławem Szczodrym. I wzorem Stanisława Stadnickiego wypuszczam czarną strzałę w oboje Łysiaka.

Nigdzie nie napisałem, że król Bolesław naprawdę był homoseksualistą, jedynie cytowałem różne źródła historyczne, które oskarżały go o sodomie i zoofilię. Jak z nimi jest – wie każdy badacz; nie można im do końca wierzyć. Historycy setki, tysiące razy krytykują je, porównują, odrzucają, aby i tak w końcu do nich wrócić; bo innych przekazów po prostu i zwyczajnie nie ma! Jednak wszystkie dostępne źródła, nawet te, których nie cytowałem, oskarżają króla o homoseksualizm albo coś gorszego. Kadłubek pomawia o chęć wymordowania dzieci spółdżonych ze związków żon rycerzy z niewolnymi. „Kronika wielkopolska” oskarża o zoofilię: „A tak dalece brzydził się strojem niewieścim, że dokądkolwiek szedł, kazał ze sobą prowadzić zamiast żony bydlę juczne, ozdobione purpurą i bisio-rem”. Długosz w „Rocznikach...” do homoseksualizmu dodaje wysane z palca porywanie niewiast.

Historycy nie wypowiadali się w kwestii homoseksualizmu króla; poza prof. Franciszkiem Sielickim, dyrektorem Instytutu Filologii Słowiańskiej na Uniwersytecie Wrocławskim, tłumaczem „Powieści minionych lat”, stygmatyzowanym przez Łysiaka jako: „współczesny głąb”. Potwierdził on oskarżenia Długosza. Jednak Sielicki wiedział, że homoseksualizm naprawdę rozpowszechniony był na Rusi jako element utrzymywania w posłuchu możnych i Śmiały mógł mu ulec. Przykładem są stosunki cara Iwana Groźnego z Fiodorem Basmanowem; inne świadectwa są choćby u Zygmunta Herbersteina w „Rerum Moscovitarum Commentarii”.

„Kwity” na św. Stanisława w Pradze? Może od razu w IPN? Podzielając poglądy Franciszka Stefcyka („Upadek Bolesława Śmiałego”), Maksymiliana Gumpłowicza i przede wszystkim Tadeusza Wojciechowskiego („Szkice historyczne XI wieku”) o zdradzie biskupa i jego związkach z Czechami i Niemcami, Łysiak mentalnie zatrzymał się na początku lat 70. Wszystkie późniejsze prace – jak choćby Gerarda Labudy, Aleksandra Gieysztora czy Tadeusza Grudzińskiego („Bolesław Śmiały-Szczodry i biskup Stanisław”) – zdejmują ze świętego odium zdrajcy. Labuda czyni go rzecznikiem możnych: „Biskup krakowski wystąpił jako rzecznik niezadowolonych i dokonał publicznego upomnienia króla. W oczach Bolesława pasowało go to na przywódcę spisku”. Z kolei Grudziński podaje rozsądnie, że spór miał podłoże polityczne. Bolesław bowiem nie wsparł Stanisława w jego staraniach o arcybiskupstwo, a chciał też doprowadzić do okrojenia biskupstwa krakowskiego.

Jest jedna arcyważna rzecz, pokazująca, jak bardzo znenawidzony był pod koniec życia król Bolesław Szczodry pomimo jego zasług na

polu odbudowy Polski: łatwość, z jaką pozbawiono go władzy. Pogromca Czechów, Węgrów i Rusinów zostaje... wypędzony praktycznie bez wojny domowej, niczym pies kijem, podczas gdy historia pokazuje, że pozbycie się innych władców – np. Władysława Wygnąńca – wymagało daniny krwi. Świadczy to o sile kłętwy kościelnej, a także o tym, że Bolesław był dogłębnie znenawidzony wśród poddanych. Tadeusz Grudziński podaje bowiem, że wystąpienie św. Stanisława było odpowiedzią na represje i okrucieństwa króla, który po powrocie z Kijowa zaczął szaleć – karać rycerzy za opuszczenie go, być może także nie zaniechał praktyk homoseksualnych – aby pokazać, wzorem władców Rusi, że nie tylko zniszczy, lecz także pohańbi wrogów. Wywołało to odwrotny skutek – najpierw krytykę i kłętwe biskupa, a po jego śmierci bunt.

Dlaczego porywaczy Szczodry – który wedle niektórych własnoręcznie zabił św. Stanisława – nie porwał się do miecza na przeciwników? Odpowiedź jest prosta – nie miał szans, pozostał sam, z garścią przybocznych rycerzy, przeciwko całemu społeczeństwu Królestwa Polskiego. Król wpadł w pułapkę Bolesława Chrobrego, wykrwawiając państwo w wojnach i wyprawach; doprowadzając niewolnych i wolnych na skraj rozpacz. Na szczęście tym razem nie wybuchł ludowy bunt albo – jak podaje Labuda – miał ograniczony zakres. Jeśli tak było, to św. Stanisław występowałby w nowej roli: jako głos i rzecznik rodzącego się gdzieś tam w mrokach narodu polskiego, który nigdy nie zrezygnował ze swej słowiańskiej wolności. Postacią tragiczną, ale nie zdrajcą. Jak bowiem pisał o królu i biskupie Józef Dobosz: „Obaj zapłacili cenę niewspółmierną do win, które popełnili”. ©©



Bolesław Szczodry

FOT. WIKIPEDIA

PRZYSMAK ADAMA MAŁYSZA, CZYLI NIE TYLKO BUŁKA I BANAN



Izabela i Adam Małyszowie FOT. ARCH. PRYWATNE

Izabela Małysz: W czasach, gdy mój mąż odnosił największe triumfy na skoczni, konkurencyjne sztaby starały się szukać przyczyny jego niedoścignionej w pewnym okresie formy. Analizowano to, jakich nart używa, w jakim stroju skacze, obiektem zainteresowania była też dieta Adama. Wtedy wielką karierę zrobiła słynna bułka z bananem. I faktycznie taki zestaw na zawodach mógł się sprawdzać, bo dostarczał dających energię węglowodanów, ale po powrocie do domu mój mąż jadał najchętniej co innego. Zresztą do dziś jest to jego ulubione danie. To kaczką z jabłkami. Może niekoniecznie kojarzy się ze sportową dietą, ale po pierwsze – jak widać – od czasu do czasu nie szkodzi nawet zawodowcom, a po drugie – jest pyszna. Polecamy.

Kaczka z jabłkami

Składniki:

- 1 kaczką w całości
- kilka kwaśnych jabłek
- majeranek (suszony lub/i świeży)
- czosnek (kilka ząbków)
- czerwone wino
- sól, pieprz

Przygotowanie:

Wypatroszoną kaczkę dokładnie myjemy i nacieramy (od zewnątrz i wewnątrz) solą, pieprzem, czosnkiem oraz majerankiem. Do środka wkładamy – jeśli mamy pod ręką – kilka gałązek świeżego majeranku. Jabłka myjemy, kroimy w ćwiartki i wkładamy do kaczki. Zszywamy. Wkładamy do brytfanny i podlewamy szklanką wody. Pieczemy w temp. 220 st. C. Po 40 minutach wlewamy do brytfanny butelkę czerwonego wina i pieczemy dalej – aż do miękkości kaczki. ©©

oprac. raw



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Jaka pogoda?

W czasach analogowych pytało się starego górala: „Baco, jaka będzie pogoda?”. W czasach cyfrowych baco bierze komórkę i sprawdza. Pytających jest jednak mniej, bo sami sprawdzają ją na smartfonie. Ja też zamiast wyjrzeć przez okno, pytam telefon, czy potrzebny będzie parasol czy szalik.

U mnie częstotliwość sprawdzania pogody weszła już w stadium, które kwalifikuje się na konsultację u psychiatry. Prognozy sprawdzam mniej więcej co godzinę. Głównym powodem nie jest czekanie na słońce, ale na deszcz. Widząc symbole ze słoneczkiem, popadam w depresję.

Moja jednostkę chorobową można by określić jako hydroobsesję.

Na usprawiedliwienie mego schorzenia powiem, że jest ono poniekąd usprawiedliwione. Kilka deszczowych dni z rzędu (jak ubiegłotygodniowe) nie zdarza się często. Polska cierpi na brak wody, a ostatnie lata i zimy są szczególnie ubogie w opady. Na wyschniętym Mazowszu wciąż łakniemy wody. Województwu łódzkiemu i Kujawom grozi pustynnienie. I będzie gorzej, jeśli władza zdecyduje się regulować rzeki. Wyprostowane i wybetonowane cieki wodne spływają szybko do Bałtyku.

Od kilku dni pada, ale w kwietniu i na początku maja, czyli w okresie najintensywniejszego wzrostu roślin, w centralnej Polsce nie spadła kropla deszczu.

Wystąpiła już susza hydrologiczna, co oznacza spadek poziomu wód powierzchniowych i podziemnych, usychanie drzew i wysychanie studni.

Niestety, krajowe prognozy pogody nie przynoszą odpowiedzi na pełne niepokoju zapytania, co będzie się w aurze działo przez najbliższe dni. Pogodynka Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej jest moim zdaniem mało wiarygodna. Podobnie jak przepowiednie Wasilewskiego z TVN, które pewnie na niej bazują. Straszanie burzami, ulewami, stanami alarmowymi rzek, prawie tornadem... Wszystko bzdura, nic z tego się nie sprawdziło. O jedno tylko chodzi – o klikalność. Wiadomo, każdy kliknie, bo chce znać przyszłość. Ze mną na czele.

Jeśli gdzieś warto sprawdzać prognozy, to na amerykańskim Weather Underground. Można sobie wybrać miejsce i dla tego konkretnie miejsca podają przewidywany czas, ilość opadów (irytujące, bo w calach),



prędkość wiatru. Underground też się jednak czasem myli.

No cóż, w momentach, gdy opadów brak, pozostaje mi tylko aplikacja Calm z padającym deszczem. ©©



PREMIERA MCLARENA GRAN TURISMO

Recepta na sukces tego auta jest prosta. Jest szybki, lekki – dzięki konstrukcji z włókna węglowego z aluminiowymi elementami nadwozia – i fantastycznie wygląda. Najnowszy McLaren od zera do pierwszej setki przyspiesza w zaledwie 3,1 s. Kierowca wyposażonego w czterolitrowy silnik V8 o mocy 620 KM i momencie obrotowym wynoszącym aż 630 Nm drugą setkę na liczniku może zobaczyć zaledwie 9 s po starcie. Prędkość maksymalna wynosi zaś aż 327 km/godz.

Samochód jest wykończony luksusowymi materiałami. Przyszły właściciel do wyboru ma nie tylko skórę Nappa, lecz także na przykład aksamit lub miły w dotyku kaszmir. Bagażnik powinien spokojnie zmieścić dwie walizeczki na weekendowy wypad i torbę golfową.

Model Gran Turismo można już zamawiać. Cena powyżej miliona złotych. Pierwsi klienci odbiorą swoje egzemplarze pod koniec obecnego roku.



FOT. ADRIAN STOK, MATERIAŁ PRASOWE (4)

ULICE TYLKO DLA „ELEKTRYKÓW”

Przybywa krajów i miast, których władze deklarują, że chcą wprowadzić zakaz wjazdu dla samochodów napędzanych silnikami benzynowymi i wysokoprężnymi. Tylko w maju do „zielonych” miejsc dołączyło Los Angeles, po którym od 2050 r. będą mogły poruszać się wyłącznie samochody elektryczne. Do tego czasu władze Miasta Aniołów chcą ograniczyć posiadaczom aut z silnikami spalinowymi możliwość poruszania

się po ulicach do ok. 21 km dziennie do 2025 r. I do ok. 15 km do 2035 r. Jeszcze wcześniej restrykcje dotkną kierowców tradycyjnych aut w Amsterdamie. Władze stolicy Holandii chcą, aby już od 2030 r. po jej ulicach mogły poruszać się wyłącznie samochody elektryczne. W Paryżu zakaz wjazdu dla aut z silnikiem Diesla ma zacząć obowiązywać od 2024 r., a z jednostką benzynową – od roku 2030.

E-UŁATWIENIA

Już niedługo kierowcy będą mogli zostawić w domu nie tylko dowód rejestracyjny, lecz także prawo jazdy – tak przynajmniej wynika z zapowiedzi ministra cyfryzacji Marka Zagórskiego. W maju jego resort uruchomił usługę mPojazd, która w ramach stworzonej na smartfony aplikacji mObywatel pozwala na łatwy dostęp (zarówno on-line, jak i off-line) do najważniejszych danych samochodu: numeru rejestracyjnego, numer VIN, danych ubezpieczenia (w tym nazwy ubezpieczyciela, a także serii i numeru polisy) oraz ważności badania technicznego. Nowa usługa przypomni kierowcy także o konieczności opłacenia składki OC czy wykonania badania technicznego. Niestety, na razie usługa mPojazd jest dostępna wyłącznie na smartfonach z systemem Android. Nie wiadomo, kiedy posiadacze urządzeń z nadgryzionym jabłkiem skorzystają z e-udogodnień. Zapewne jeszcze dłużej będzie trzeba poczekać na to, aby tylko w smartfonie wozic także ważne prawo jazdy. Aby kawałek plastiku można było zostawić w domu, ustawodawca musi bowiem najpierw znieść kary za brak fizycznego dokumentu podczas kontroli drogowej. © © **Jacek Przybylski**



Dziennikarski Poker

19:00

Dorota Kania
Tomasz Sakiewicz
Adrian Stankowski
Maciej Kożuszek



Mówi się

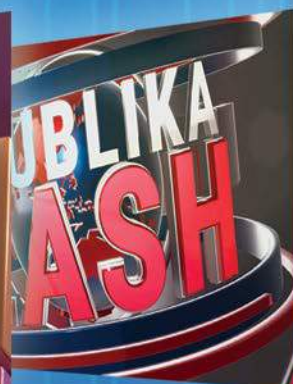
20:25

Jacek Sobala



Suma Dnia

22:50



Republika Flash

popołudniu

NOWOŚCI

w Telewizji Republika

Oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl



ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Sekta w sekcji

Profesor – to brzmiało dumnie. O nadaniu tego tytułu rozstrzyga Centralna Komisja do spraw Stopni i Tytułów. Ciało to podzielone jest na sekcje, które zajmują się wnioskami o profesurę z poszczególnych dziedzin. Sekcja Nauk Humanistycznych i Społecznych przegłosowała ostatnio negatywnie taki wniosek Andrzeja Zybortowicza.

W sekcji zasiadają przedstawiciele rozmaitych dziedzin i dyscyplin. Nie mają szczegółowej wiedzy, która pozwoliłaby im rzetelnie ocenić dorobek danego kandydata. Dlatego wybierają, spoza swego składu, pięciu fachowych recenzentów. Wybierając, okazują zaufanie do kompetencji i wynikającego z nich werdyktu recenzentów. Każda recenzja musi kończyć się jednoznacznym werdyktem: dorobek zasługuje na profesurę lub nie. Kiedy wynik recenzji nie jest jednoznaczny, np. trzech recenzentów opowiada się za nadaniem tytułu, a dwóch przeciw, wtedy sekcja ma pole do uprawnionej debaty. W przypadku Andrzeja Zybortowicza zdarzyło się jednak coś niesłychanego: pięciu wybranych recenzentów orzekło, że powinien on otrzymać

tytuł profesora. Sekcja tymczasem zdecydowała, wbrew wszystkim recenzjom, że Andrzejowi Zybortowiczowi tytuł się nie należy.

Oznacza to kompromitację sekcji (jej większości, która odrzuciła werdykt pięciu swoich recenzentów) oraz całej procedury. Przyznaje się bowiem w ten sposób albo to, że wybór recenzentów był błędny (nie umieli napisać recenzji i dlatego trzeba było zmienić radykalnie ich werdykt), albo że sekcja (jej większość) kieruje się innymi motywami niż merytoryczne.

Przyjrzałem się tym recenzjom. Trzy napisane rzetelnie i wyczerpująco spełniają wszystkie standardy analizy i oceny naukowej. Dwie jednak są rzeczywiście kompromitujące. Zgodnie z drugim punktem instrukcji, którą wydała sama Centralna Komisja, recenzent powinien zrezygnować z pisania oceny, „gdy występuje konflikt interesów pomiędzy nim a wnioskodawcą” (czyli kandydatem do tytułu). Sekcja tymczasem świadomie wybrała do recenzowania dorobku Andrzeja Zybortowicza, który poza swą działalnością naukową jest znany ze swej aktywności publicznej po stronie PiS, dwóch profesorów, którzy są znani z namiętnego zaangażowania po stronie przeciwnej. Jeden z tych recenzentów, prof. Marcin Król, prezes Rady Fundacji Batorego, „zasłynął” m.in. publicznym wezwaniem (w roku 2012) skierowanym do prezydenta Komorowskiego i premiera Tuska, by rozprawili się z opozycją (PiS) „zdecydowanie i twardo, nawet jeśli byłoby to niezgodne z prawem”. Mocniej zaznaczyć swojej wrogości wobec tej strony politycznej sceny Polski, z którą identyfikowany jest Andrzej Zybortowicz, nie można. Drugi recenzent, prof. Szymon Wróbel, który publikuje ideologiczne manifesty w gdańskim „Przeglądzie Politycznym” (ideowej kuźni

PO), nie umiał się nawet opanować w tekście swej opinii o naukowym dorobku ocenianego kandydata i napisał wprost: „Interesującym wątkiem w analizie publikacji naukowych Zybortowicza byłoby odszukanie tych momentów i decyzji epistemologicznych, które uzasadniłyby jego dalsze wybory polityczne. Z racji oczywistych, nie rekonstruuje tu tych momentów i decyzji, ale po analizie i ponownej lekturze Jego prac właśnie te »decyzje« dostrzegam”. Jeśli recenzent nie jest w stanie poprzestać na analizie naukowego dorobku, tylko musi dać upust swoim politycznym fobiom, to mamy oczywiście potwierdzenie przypadku, który określa sformułowanie „sprzeczność interesów”.

Można było założyć, że „interesem” wrogich wobec „państwa PiS” publicystów (bo w tych rolach występują prof. prof. Król i Wróbel) będzie takie przedstawienie dorobku naukowego autora uznanego za „sługę” tegoż państwa, by mu zaszkodzić. Profesor Król nie pofatygował się nawet, by udawać, że spełnił inny niż bezstronność oczywisty wymóg recenzenta, to jest „kompletność, rzetelność, dokładność, obiektywizm i odpowiednie uzasadnienie oceny”. Swoją pogardliwą recenzję ograniczył do zaledwie trzech stroniczek. Ponieważ nie wypadało wprost zanegować dorobku, uznanego za niezaprzeczalnie wartościowy nawet przez nich, gdy idzie o pracę organizacyjną i dorobek dydaktyczny Zybortowicza prof. prof. Król i Wróbel kończą swoje recenzje wnioskiem formalnie pozytywnym, ale w tonie tak ironicznym, szyderczym nawet, by ten wniosek podważyć. I z tej „furtki” skorzystała „większość trzymająca władzę” w Sekcji Nauk Humanistycznych. Ideał naukowego obiektywizmu sięgnął poziomu politycznej sekty. © ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Blisko ludu,
wręcz poniżej

Jest taki hitowy program w Internecie „Matura to bzdura”. Konwencja jest prosta – młody chłopak z mikrofonem pyta równie młodych ludzi (z wyglądu w wieku okołomaturalnym) o – zdawałoby się – rzeczy oczywiste, np. „Gdzie walczył Dywizjon 303?”, odpowiedź: „W książce”, „Ale gdzie działa się akcja?”, „W Polsce”. Dalej pytający pokazuje flagę Argentyny i mówi do innego chłopaka: „Jakiego kraju to flaga?”, chłopak odpowiada: „Iranu”, pytający zaprzecza i podpowiada: „Jest to kraj w Ameryce Południowej na literę A”, chłopak czuje się pewniej: „Arabia Saudyjska?”, „Nie”, „Armenia?”. I już ostatni przerażający przykład: „Czy znasz jakąś znaną osobę z Włoch?”, a atrakcyjna dziewczyna na to: „Jana Pawła II”. Takich interakcji są setki. Jest to oczywiście straszniejsze niż śmieszniejsze, a śmieszne jest to niestety bardzo. Poziom olej w głowach naszej młodzieży poddawanej okrutnym eksperymentom za pomocą rodzimego systemu edukacji bywa pustynny. Niestety.

Chciałem w tym momencie bardzo przeprosić, że mi się to skojarzyło z przesłuchaniem przed komisją śledczą w sprawie wyłudzeń VAT pani byłej premier Ewy Kopacz, która na pytanie jednej z posełek, czy zapoznała się z raportem służb na temat wyłudzeń, odpowiedziała: „Na pewno zapoznała się z takim raportem, jeśli takowy był, koordynator służb specjalnych”. Jednak ta namolna

posłanka dalej męczyła była panią premier: „A pani nie?”, „Wyraźnie odpowiedziałam, koordynator” – opędała się jak od bzykającej muchy Ewa Kopacz. Nie chcę tu przedłużać, ale to nie był koniec tego wątku. Pytającej bardzo zależało na prostej odpowiedzi „tak” czy „nie”. Niestety. Po serii bolesnych i nużących pytań o to samo nie udało się komisyjnym czynnikom złamać byłej premier i pewnie nigdy już się nie dowiemy, jak z czytaniem tego raportu było. Przewodniczący komisji na sam koniec uznał, że to w sumie taka nowa zabawa w pomidora, gdzie zamiast słowa „pomidor” występuje słowo „koordynator”.

W sumie to polityczne przesłuchanie (przed wyborami wszystkim, ale to wszystko robi się polityczne) uzmysłowiło mi, że politycy są dziś dużo bliżej ludu, niż nam się to wydaje, zresztą szczerze mówiąc, bardzo często są poniżej tego ludu...

Na koniec kolejny odcinek politycznej soap opery „W kleszczach Izabel”. Otóż, jak doniosła prasa, komornik aktualnie zainteresowany jest mieszkaniem Kazimierza Marcinkiewicza, które może zostać sprzedane, aby zaspokoić obowiązek alimentacyjny względem żony byłej, a potrzebującej pieniędzy także obecnie. Z pobieżnych badań Instytutu „Okiem Jastrzębia” wynika, że wektor publicznej sympatii powoli przenosi się z niej na niego. Rany, panie Kazimierzu, coś pan sobie narobił... ©©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Zielona
rewolucja

Polska bez węgla 2030” – wielkie czarne płachty z białymi napisami tej treści rozwiesili we wtorek 14 maja aktywiści Greenpeace. Rozwiesili nie byle gdzie, bo na siedzibach partyjnych Prawa i Sprawiedliwości oraz Platformy Obywatelskiej. Ponieważ włamywanie się na dachy biurowców i zakrywanie okien transparentami nie mieści się w granicach cywilizowanej debaty publicznej, „obrońcy i obrończynie klimatu” – jak mogliśmy przeczytać na Twitterze organizacji – zostali zatrzymani przez policję.

Oczywiście cały „ekologiczny” performance obłano przetestowanym wiele razy sosem martyrologii. Posuwamy się do aktywizmu społecznego, wskazujemy na statki, przykuwamy się do harwestorów, włączymy na dachy – bo walczyliśmy o większe dobro. A tylko spróbuj podnieść na nas rękę, świat dowie się, jak ślepy jesteś na los umierającej planety. „No, ale jak to, przecież faktycznie walczą. Bez litości dla byłej i obecnej partii władzy!” – zakrzyknie ktoś w uniesieniu ekologicznego symetryzmu. Ależ owszem, i to jak walczą! Wystarczy spojrzeć na media społecznościowe Sławomira Neumanna i zdjęcie z uśmiechniętą delegacją bezkompromisowych działaczy. Następnie przeczytać umieszczony pod nim podpis: „Aktywiści z Greenpeace z ciepłą herbatą w biurze Platformy. Mamy wspólny

cel: czyste powietrze i czysta energia. O konkretnych rozwiązaniach będziemy wspólnie rozmawiać”.

Tylko o czym tu rozmawiać? O odejściu od paliw kopalnych w 11 lat w kraju, który ma jedno z największych i nadal niewykorzystanych złóż na świecie? W sytuacji, w której nasz sąsiad – Niemcy – otwiera kolejne elektrownie węglowe i kopalnie? W momencie, w którym Stany Zjednoczone, Chiny i Indie emitują tyle dwutlenku węgla do atmosfery, że Polska stanowi w tym równaniu próg błędu statystycznego? To w ogóle ciekawe zagadnienie, gdy spojrzeć np. na rzeczy tak pragmatyczne, takie jak zarząd polskiej odnogi fundacji. Znajdziemy w nim wiele brzmiających prasłowiańsko nazwisk, np. Egít, Kublblock, Reindl czy Faber. Oczywiście to tylko dowodzi przesłanki z początku mojego wywodu – walka o Matkę Ziemię nie zna granic i narodowości – wszyscy gramy tutaj w jednej globalnej drużynie.

Askoło tak, to cieszymy się szczęściem naszego innego, wschodniego sąsiada. To bowiem Rosję, przy wycofaniu się Polski z węgla do 2030 r., będzie największym beneficjentem naszej zielonej rewolucji. Jeszcze bardziej zwiążemy się z jej gazem ziemnym, ropą, sieciami przesyłu energii, być może pokochamy również Nord Stream 2. Bo przecież za te 11 lat prąd z gniazdek nie popłynie dzięki wiatrakom i elektrowniom wodnym. I tutaj żarty się kończą. ©©



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Demokracja wyborcza

SYLWIA SPUREK: *Czy osoby z poglądami prof. Legutko powinny mieć bierne prawa wyborcze do PE? Co tacy ludzie chcą robić w Parlamencie Europejskim?*

Kiedy była zastępczyni Rzecznika Praw Obywatelskich chce karać za poglądy pozbawianiem biernego prawa wyborczego, wiedz, że kampania wyborcza weszła właśnie w fazę historyczną.

Sylwia Spurek, znana do tej pory ze swojej walki o prawa i wolności obywatelskie, swoim kuriozalnym i niebezpiecznym pomysłem ustawiła się właśnie w jednym szeregu z takimi szcze-

Marcin Król chętnie odebrałby inaczej myślącym prawo głosu. Swego czasu utyskiwał, że Internet jako przestrzeń, gdzie każdy może się wypowiedzieć, jest „złym zwycięstwem demokracji”

rymi demokratami jak prof. Wojciech Sadurski i prof. Marcin Król. I choć pewnie nie miałyby nic przeciwko takiemu zestawieniu, obaj panowie – podobnie jak ona – mają duży problem z demokracją, gdy trzeba ją cierpliwie znosić, a nie tylko głosić. Sadurski chciałby

na przykład po wygranych przez opozycję wyborach parlamentarnych wprowadzić zakaz pracy w mediach publicznych dla każdego, kto był w nich zatrudniony za rządów PiS, niezależnie od tego, czy i jaką osobistą odpowiedzialność ponosi za to, co Sadurskiemu się w obecnych mediach nie podoba. Z kolei Marcin Król w pomysłach czyszczenia debaty publicznej z inaczej myślących poszedł dużo dalej niż Spurek, która chce „tylko” odebrać im bierne prawo wyborcze. Marcin Król chętnie odebrałby im prawo głosu. Swego czasu utyskiwał, że Internet jako przestrzeń, gdzie każdy może się wypowiedzieć, jest „złym zwycięstwem demokracji”. „W Internecie każdy idiota ma takie same prawa do wygłaszania swoich sądów jak wybitni myśliciele, publicyści czy prawdziwi dziennikarze. Przez całe lata rozumni ludzie uważali, że cenzura powinna być dopuszczalna, i to nie tylko z powodów obyczajowych, ale też zgodnie z zasadą, że poważne pytania głupim ludziom mącą w głowie. Nie jestem zwolennikiem tego, by każdy mógł wyrażać swoją opinię publicznie w sposób nieograniczenie swobodny”. Niestety, konstytucja z jednej strony, a postęp techniczny z drugiej nie pozwolą w najbliższym

czasie zrealizować tych słusznych postulatów wypychania z debaty publicznej osób i poglądów, które są postępowym środowiskiem niemiłe, i czas już najwyższy, żeby nauczyli się z nimi żyć.

Jeśli Sylwia Spurek dostanie się do Parlamentu Europejskiego, to będzie zapewne w jednej frakcji z Zielonymi i reprezentującym ich w PE Danielem Cohn-Benditem, który przyznał się publicznie do czegoś, co w oczywisty sposób było czynem pedofilskim. „Moje przekomarzanie się z dziećmi nabrało powoli charakteru erotycznego. Wiele razy zdarzyło się, że rozpięły mi rozporek i mnie pieściły”. Wiosna, z której startuje Sylwia Spurek, odgrzała niedawno stary postulat Ruchu Palikota zniesienia przedawnienia przestępstwa pedofilii i niewykluczone, że na fali paniki moralnej PiS go przejmie i przepchnie. Jeśli tak się stanie, to Spurek będzie miała zaszczyt zasiadać z PE w jednej frakcji z człowiekiem, który w Polsce na mocy postulowanego przez jej partię prawa byłby do końca życia ścigany za pedofilię. Rozumiem jednak, że jego obywatelstwo i miejsce popełnienia czynu wyznaczają tu lewicy granicę moralnej akceptowalności. ©©

PODSŁUCHANE

Ważne i ważniejsze

Jarku, znowu mnie ten biskup męczył.

Który biskup, Rysiu?

No, ten... No wiesz, ten ważny, nawet nie chcę tu mówić.

Ale tu nikogo innego nie ma, sami jesteście.

Niby sami, a jednak właściciel

izraelski... Nigdy nie wiadomo.

No dobrze, wiem który. I co chciał?

„Proszę spytać pana prezesa – mówię do mnie – czy on koniecznie musi tak tego naszego Kościoła bronić, bo za każdym razem, jak on go broni, to potem my widzimy, że nam zaufanie spada”. Taki, rozumiesz, beczelny. Nie dość, że ty tu na pierwszej linii frontu, to się jeszcze nie podoba.

I co mu powiedziałeś?

„Niech będzie pochwalony”.

Na wieki wieków. Ale co mu powiedziałeś?

No właśnie to: „Niech będzie pochwalony”. Tak, wiem, trochę może dziwnie wyszło, ale nic mi nie przyszło innego do głowy.

A on co na to?

„Na wieki wieków”.

Amen. Dobrze, żeś mu nic więcej nie wyjaśniał. Ale sam rozumiesz, są rzeczy ważne i ważniejsze.

Kościół, biskupi, takie tam...

Ważne. Ale partia – partia jest najważniejsza. Weź no zobacz, czy ktoś znowu Kościół zaatakował, będziemy bronić. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„To dziwne, że policja chce inwigilować pokazy filmowe, »bo może dojść do zamieszek«, a nie inwigiluje kościołów, gdzie do zamieszek dojść powinno”.

ZBIGNIEW HOŁDYS, muzyk, na Twitterze

fot. Jerzy Gumowski



Sztuka mięsa?

Niedawno (w kwietniu) wybuchła afera z dwiema pseudoawangardzistkami (obscenodrobnymi hucpiarkami), Natalią Lach–Lachowicz i Katarzyną Kozyrą, które epatowały wewnątrz stołecznego Muzeum Narodowego, ta pierwsza wizjami oralnego seksu (banany sugestywnie „obciągane” przez panie; później TV pokazała nawet fragment bananowego filmu pani NL–L ze spermą ciekącą obficie między wargami damskich waginalnych ust), a dyrektor MN, prof. Jerzy Miziołek, został napiętnowany przez salonowców, bo usunął owo łajno udające sztukę. To nic innego jak kolejny „*signum temporis*” (znak czasu). Dzisiejsze „*plastyczki*”



kombinują: czym by tu jeszcze zaszokować publikę??... Własną goliznę jako eksponat wymyśliły już dawno temu, później to się ciut opatrzyło, więc „*performerka*” Annie Sprinkle przebiła koleżanki epatując widownie „*performance’ów*” demonstrowaniem wnętrza swych genitalnych intymności, potem zaś zostało już tylko obsceniczne świntuszenie zwane przed epoką „*minet*” i „*lodów*” hermetycznym łacińskim terminem „*fellatio*”.

Przywołałem skandal z Muzeum Narodowego jako pretekst do powiedzenia paru słów o dzisiejszej feministycznej „*awangardzie sztuki*”, starającej się prześcignąć/przelicytować równoległą męską pseudoawangardę. Jej wartość jest mniej więcej taka, jak „*Być albo nie być!*” w szkolnym przedstawieniu „*Hamleta*” na sali gimnastycznej. Francuski filozof i socjolog Jean Baudrillard: „*Współczesna «sztuka awangardowa» to pseudosztuka będąca jednym wielkim masowo produkowanym oszustwem*”. Kobiety stanowią dziś forpocztę tej hucpy, bo wymyślają największe wariactwa i zberzeźnienia. W Polsce też, czego ikonycznym (dla salonowców kultowym już) symbolem



stały się ukrzyżowane męskie genitalia autorstwa Doroty Nieznalskiej. Bardzo mi się podobało użyte przez pisarkę Manuę Gretkowską (wywiad prasowy 2019) wobec jej feministycznych koleżanek określenie „*walnięte artystki*” — nic dodać, nic ująć.

Roku 2008 „*Dziennik*” następująco streścił opinie ekspertów o współczesnych malowidłach pretendujących do miana awangardy: „*Trudno te obrazy zwać dziełami sztuki, nie mają one żadnej wartości artystycznej*”. Mają jednak — wskutek hochsztaplerskiego PR i tępoty nuworyszowych nabywców — dużą wartość rynkową (żeńskie bohomyzy często były rekordy cenowe). Tutdzież wartość laurową — są globalnie oceniane jako arcydzieła przez utytułowanych „*koneserów*” (nie brakuje bowiem profesorów–dewiantów takich jak historyk sztuki Tom Wilkinson, który właśnie zaproponował, by spaloną iglicę Notre Dame zastąpić na dachu katedry minaretem), a w konsekwencji globalnie nagradzane jako arcydzieła. Latem roku 2005 „*Daily Mirror*” pisał o Gillianie Carnegie: „*Świat artystyczny jest zbulwersowany, bo nominację do prestiżowej nagrody Turner Prize otrzymała artystka, która nie umie malować!*”. Tak jakby to było coś rzadkiego — większość nagród artystycznych dla pań (Suzanne Lacy, Caro-

∞
*Francuski muzeolog Jean Clair:
„Dzisiejsza pseudoawangarda
jest destrukcją sztuki”*
∞

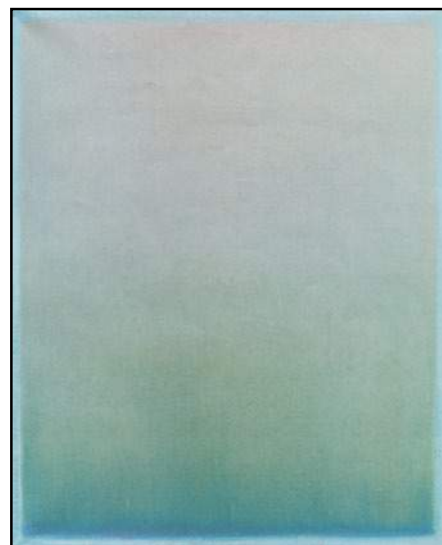
lee Schneemann, Valie Export, Judy Chicago) otrzymuje bądzie. Exemplum: roku 2016 prestiżową nagrodę przyznaną przez Muzeum Guggenheima dostała koreańska „*artystka konceptualna*” Anicka Yi za „*ekspozycję węchową*” (sic!). Następca-ami „*konceptualnych*” są arcymodne prace „*postkonceptualne*”, zwane dziś „*performance’ami*”, „*instalacjami*”, etc.

Grafik i teatrolog Jan Maria Tomaszewski: „*— Sztuka dla samego szokowania? Znam to z uczelni, na której studiowałem — z ASP. Jak ktoś nie potrafił malować, to robił «instalację artystyczną», bo to każdy głupi potrafi*” (2018). Krytyk Mirosław Winiarczyk: „*Czemu sztuka zmienia się dziś w idiotyczne instalacje, nadające się na śmietnik w sensie dosłownym i symbolicznym?*” (2017). Malarka figuratywna, Katarzyna Karpowicz, pytana o „*instalacje artystyczne*”: „*— Czasami nie czuję, żeby to w ogóle była sztuka, skoro przy niektórych instalacjach sprzątaczką w galerii zastanawia się czy ten obiekt odkurzyć, czy wynieść na śmietnik*” (2019).

Weteranką takiego zaśmiecania galerii i muzeów jest Yayoi Kusama (podług „*Guardiana*” „*ikona nowojorskiej awangardy lat 60-ych, która już wtedy urządziła performance i nawet orgie, będąc pionierką łamania seksualnych tabu*”), a teraz najmodniej-

szą „*performerką*” jest Jugosłowianka Marina Abramović, światowa celebrytka (Złoty Lew na weneckim Biennale, superprestiżowa retrospektywa w nowojorskim MOMA), która publicznie kaleczy, torturuje, tatuuje, podpala, „*wyzwala*” obscenami swoje nagie ciało, czasem bluźnierczo, co budzi (spodziewane/oczekiwane jako reklama) protesty katolików. Z braku miejsca nie zdołałam nawet wyliczyć jej polskich koleżanek (Teresa Murak, Maria Pinińska–Bereś, itd.), wspomnę jedynie — jako swoisty symbol — „*instalację*” Alicji Żebrowskiej w Centrum Sztuki Współczesnej (2009) pt. „*Grzech pierworodny*” (praca z r. 1993), ukazującą filmowo penetrowanie włochatej waginy różnymi przedmiotami (wibrator, plastikowa laleczka) i mazidłami (błoto, fusy). Ponieważ purytanin Lisicki nie zezwoliłby zilustrować felietonu tym „*dziełem*” czy „*dziełami*” pań Nieznalskiej, Kozyry, Lach–Lachowicz bądź Abramović (i miałby słuszność), zamieszczam niżej płody malarskie Aleksandry Jachtomy (1994) i Anny Okraso (2006). E viva l’arte! ©

Waldemar Łysiak



ALEKSANDRA GINTROWSKA | RENATA PRZEMYSK | JULIA GINTROWSKA | ŁUKASZ DRAPAŁA
MAREK PIEKARCZYK | ADAM SZERSZEŃ | RAFAŁ BARTMIŃSKI | KRZYSZTOF NAPIÓRKOWSKI | JAKUB WOCIAŁ
ORAZ ORKIESTRA AKADEMII BEETHOVENOWSKIEJ POD BATUTĄ JANA STOKŁOSY

*Niezapomniany
koncert*

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

KRAKÓW

NOWOHUCKIE CENTRUM KULTURY

4 CZERWCA 2019

GODZ. 20.00



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

BILETY DOSTĘPNE
W KASACH NOWOHUCKIEGO CENTRUM KULTURY

WWW.BILETYNA.PL

WWW.GINTROWSKI.PL |  [/GINTROWSKI.PRZEMYSLAW](https://www.facebook.com/GINTROWSKI.PRZEMYSLAW) | [#GINTROWSKI](https://www.instagram.com/GINTROWSKI)

niepodległa

Projekt realizowany w ramach obchodów
stulecia odzyskania niepodległości
oraz odbudowy polskiej państwowości

MECENAS KONCERTU:



WSPÓŁORGANIZATORZY:



PATRONI MEDIALNI:



eprasa.pl 4f1c770169